

# Neggers Carla

## Zbrodnia na klifie

*Cztery dni po ślubie Abigail Browning, detektyw wydziału zabójstw, przeżyła tragedię: jej mąż został zastrzelony na skalistym wybrzeżu wyspy Mount Desert. Czy był przypadkową ofiarą przemocy, czy też ktoś chciał jego śmierci?*

*To pytanie od siedmiu lat prześladowuje Abigail. Po otrzymaniu anonimowego telefonu, wraca na wyspę, żeby znaleźć zabójcę męża. Czy telefon okaże się kolejnym fałszywym tropem, czy też uda się w końcu udowodnić, że Chrisa zamordowano z premedytacją?*

*Owen Garison, przyjaciel rodziny, wciąż ma wyrzuty sumienia, że odnalazł Chrisa zbyt późno, by go ocalić. Teraz pomaga Abigail rozwikłać zagadkę zabójstwa...*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Abigail Browning polala rozpałką stos kartek, które wyrwała z notesu, a następnie ułożyła na grillu w ogrodzie za domem.

Miała więcej kartek do spalenia. Jeszcze dwa kołonotatniki.

Postawiła butelkę z rozpałką na drewnianej półeczce obok grilla i wzięła z plastikowego krzesła za sobą pierwszy z wierzchu notes. Kiedy go otworzyła, starała się nie patrzeć na swoje koślawe pismo, naznaczone bólem w tym samym stopniu, co same słowa, ani na ślady dawnych łez, które rozmazały atrament, gdy spisywała tragiczną historię swojego miesiąca miodowego.

Każdy pamiętnik - w sumie było ich czternaście, po dwa na każdy rok - zaczynał się od tej samej litanii faktów, tak jakby ich kolejne opisanie mogło rzucić nowe światło na całą sprawę, wydobyć jakiś istotny szczegół, który wcześniej przeoczyła.

*Czwarty dzień mojego miesiąca miodowego w Maine.*

*Drzemię na sofie we frontowym pokoju domku letniskowego, który mój mąż odziedziczył po dziadku. Budzą mnie dwa głośne odgłosy - w pokoju z tyłu domu spadają z brzękiem na podłogę jakieś narzędzia. Młotek. I chyba łom. Przeżywam lekki szok, ale jednocześnie chce mi się śmiać, bo przez cały ranek pomagałam Chrisowi w łataniu przecieku.*

*Kiedy wstaję, żeby sprawdzić, co wywołało hałas, przychodzi mi na myśl niepisana zasada: nowożeńcy nie powinni latać przecieków podczas miesiąca miodowego.*

Abigail wyrwała z notesu pierwszą kartkę, podarła ją na cztery części i ułożyła starannie na wierzchołku stosu. Rozpałką natychmiast zaczęła przesiąkać - niczym świeże łzy - przez tani papier i stary niebieski atrament.

Anonimowy telefon z zeszłego wieczoru wszystko zmienił. Teraz Abigail musiała wymyślić kamuflaż dla działań, które zamierzała podjąć.

Musiała zachować trzeźwy umysł i obiektywizm.

Siedem lat wypełnionych pisaniem pamiętników. Siedem lat prób dojścia do ładu z własnymi emocjami.

*Wstając z sofy, czuję zapach róż i oceanu. Pewnie okno jest otwarte.*

Nawet teraz, w wieku trzydziestu dwóch lat - kiedy nie była już młodą żoną przystojnego agenta FBI ani studentką prawa nieobebraną w sprawach zabójstw

- Abigail widziała siebie, jak idzie do pokoju z tyłu domu, przekonana, że to podmuch wiatru zrzucił na podłogę narzędzia pozostawione nieopatrnie na krawędzi stołu przez nią i Chrisa, gdy tamtego ranka przerwali łątanie dziury w ścianie, żeby pójść na górę i kochać się w zalanej słońcem sypialni. Zauważyła, że drżą jej ręce, i zaklęła pod nosem, wyrywając kolejne kartki. Było bezwietrznie, trawa w małym ogródku za domem tchnęła wilgocią po nocnym deszczu. Idealne warunki do palenia. Abigail nie przeszkadzało, że ma na sobie koszulkę bez rękawów i szorty. Uważała, że jeśli oparzą ją iskry, dobrze jej to zrobi.

*Wchodząc do pokoju z tyłu domu, widzę, że to nie okno jest otwarte, ale drzwi na werandę i po raz pierwszy przeszywa mnie strach.*

*Nie zostawiłam otwartych drzwi.*

- Chris?

*Słyszę skrzypienie drewnianej podłogi. Potem ktoś zadaje mi cios w tył głowy.*

Czując ukłucie w piersi, Abigail rzuciła notes z powrotem na krzesło, zapaliła zapalniczkę i cisnęła ją na stos wyrwanych kartek.

Płomień wystrzelił na wysokość ponad pół metra.

- O rany, pożar!

Abigail podniosła wzrok na Boba O'Reilly'ego. Schodził właśnie z werandy trójpoziomowego domu, który kupił przed rokiem z Abigail i Scoopem Wisdomem. Wszyscy troje byli detektywami pracującymi w bostońskiej policji. Drakońskie ceny nieruchomości

zmusiły ich do kupienia domu na spółkę. Bob, dwukrotnie rozwiedziony ojciec trojga dzieci, mieszkał na ostatnim piętrze. Scoop, który pracował w wydziale wewnętrznym i cieszył się zasłużoną renomą wśród bostońskich kobiet, zajmował pierwsze piętro. Abigail, detektyw z wydziału zabójstw, miała do dyspozycji parter. Dobrze jej się układało z Bobem i Scoopem - między innymi dlatego, że obaj zdawali sobie sprawę, że nie zamierza sypiać ani z jednym, ani z drugim.

- Palenie śmieci na zewnątrz jest zabronione - ostrzegł Bob.

- Rozpalam grill. Będę piekła kiełbaski.

- Nie jadasz kiełbasek.

- W takim razie upiekę łososia.

Mierzący metr dziewięćdziesiąt detektyw był wyższy od Abigail o przeszło dwadzieścia centymetrów i chociaż dobijał już pięćdziesiątki, potrafił przebiec ponad dziesięć kilometrów bez większego uszczerbku na zdrowiu. Nauczył Abigail właściwego posługiwania się hantlami podczas ćwiczeń i technik badania miejsc zbrodni. Ona zaś uzmysłowiła mu, co przeżywa człowiek, któremu zabito kogoś bliskiego, oraz to że siedem lat może być jak mgnienie oka.

Kartkę zapisaną krwistoczerwonym atramentem strawił ogień.

*Odzyskując przytomność, czuję, jak ktoś przykłada lód do guza z tyłu mojej głowy, i omal nie wymiotuję z bólu.*

- Nie ruszaj się - mówi cicho mój mąż. - Zaraz przyjedzie karetka.

*Chcę mu powiedzieć, że nic mi nie jest, ale rezygnuję, dostrzegając malujący się na jego twarzy gniew.  
I potworne poczucie zdrady.*

*On wie, kto mi to zrobił.*

Bob wskazał na dwukilogramową puszkę po kawie marki Folgers, którą Abigail postawiła na plastikowym krześle za stertą notesów.

- Po co ci to?

- Na popiół.

- Słucham?

- Dokonuję rytuału oczyszczenia.

- Podpalacz, którego aresztowałem dziesięć lat temu, mówił to samo.

- Ale to nie jest to samo - zapewniła Abigail, patrząc na płonące kartki.

Zamierzała poczekać, aż Bob sobie pójdzie, a potem porwać do końca ostatnie dwa notesy, spalić pozostałe kartki i w ten sposób uwolnić się od negatywnych emocji z przeszłości.

Detektyw Bob O'Reilly z bostońskiej policji nie rozumiał rytuału oczyszczenia. Miał bladą cerę, piegi i rude, uroczo siwiejące włosy; jedynie chabrowe oczy zdradzały, że praca, którą wykonywał od trzydziestu lat, dawała mu się we znaki. Druga żona zostawiła go przed dwoma laty, mówiąc mu, że jest kłębkim nerwów i powinien się leczyć. Zamiast tego Bob upił się z kolegami policjantami, spakował manatki i przysięgając sobie, że już nigdy się nie ożeni, wyprowadził się, by po jakimś czasie kupić ze Scoopem i Abigail trzypoziomowy dom.

- To twój charakter pisma? - spytał. - Fioletowy atrament?

Abigail zerknęła na skrawek papieru, który się właśnie zapalił.

- Używałam atramentów w różnych kolorach, zależnie od nastroju.

- Czym się różni nastrój wyrażony fioletowym atramentem od tego, który wyraziłaś chociażby kolorem niebieskim?

- Nie wiem. Po prostu są inne.

- To jakieś pamiętniki czy co? - Starał się nie zdradzać tonem głosu swojego zdumienia.

- Zaczęłam pisać pamiętniki po śmierci Chrisa. Zasugerowała mi to terapeutka.

- Och!

- Powiedziała, żebym pisała, co mi przyjdzie do głowy, bez zastanowienia, w czasie teraźniejszym. Żebym pisała o chwilach spędzonych z mężem... i o tym, co się ze mną działo po jego śmierci.

Bob podrapał się po karku.

- Pomogło?

- Nie wiem. Chyba tak. Nie rzuciłam się ze szczytu góry Cadillac.

Abigail chwyciła częściowo porwany notes, otworzyła go i wyrwała garść kartek, starając się nie patrzeć na napisane tam słowa.

*Chris zostawia mnie z personelem karetki, która zawiezie mnie do szpitala w Bar Harbor. Nie mówi, dokąd zamierza iść. Nie obiecuje, że zaraz wróci. Niczego nie obiecuje.*

*Nie mam żadnych złych przeczuc.*

*Po prostu nie chcę, żeby mnie opuszczał.*

Bob zdjął z haczyka przy grillu szczypcę i poruszył szerniałymi kartkami, podsycając dogasający ogień.

- Nigdy nie myślałaś o samobójstwie - rzekł, nie patrząc na Abigail. - Myślałaś tylko o znalezieniu zabójcy męża.

Abigail cisnęła kolejne kartki do ognia.

*Po zapadnięciu zmroku jestem już mocno zaniepokojona. Podobnie jak Doyle Alden, miejscowy policjant, i Owen Garrison, bogaty sąsiad Chrisa. Poznają to po wyrazie ich twarzy.*

*Chris powinien już tu być.*

- Abigail? Przestałaś oddychać.

Wypuściła powietrze i uśmiechnęła się do Boba, który z początku nie chciał, żeby pracowała w policji, a tym bardziej z nim - w wydziale zabójstw. Za duży bagaż, mówił wszystkim, z nią włącznie. Nie chodziło tylko o śmierć jej męża, ale także o zarzucone studia prawnicze i o środowisko, z którego się wywodziła. Minęło trochę czasu, zanim zdobyła zaufanie Boba.

- Wszystko w porządku. Powinnam była zrobić to wcześniej.

- Dlaczego robisz to akurat teraz?

- Co?

Nic nie mogło umknąć uwagi Boba. Abigail wyrwała kolejne kartki i cisnęła je wszystkie do ognia, omal go nie dławiąc.

*Ignoruję przestrogi, by nie wychodzić z domu. Wkładam traperki i zapuszczam się w nieznaną okolicę.*

*W przeciwieństwie do Doyle 'a, Owena i mojego męża, nie znam tu każdej skały, korzenia czy wężowej ścieżki prowadzącej przez las albo wzdłuż nadbrzeża. Nie pochodzę z wyspy Mount Desert.*

Bob patrzył, jak Abigail spryskuje ogień rozpałką. Blask pomarańczowych płomieni bił mu prosto w twarz.

- Te pamiętniki to emocjonalny bełkot, moje nudne wynurzenia. - To, co mówiła, wydawało jej się przekonujące. - Jutro rano wyjeżdżam do Maine.

- Rozumiem.

- Muszę zrobić remont w domu letniskowym.

- Bierzesz urlop?

- Tak. Jest tutaj teraz dosyć spokojnie. Mogę wyjechać.

Bob pogrzebał szczypcami w ogniu. Z natury był niecierpliwym człowiekiem, ale kiedyś powiedział Abigail - osobie równie niecierplivej - że doświadczenie nauczyło go cenić strategiczne milczenie.

Abigail wiedziała, że gdyby teraz przerwała ciszę, Bob wszystkiego by się domyślił.

Rozpałka, płomień, żar i emocje sprawiały, że szczypały ją oczy, ale nie uroniła ani jednej łzy.

Nigdy nie płakała przy Bobie, Scoopie czy innych kolegach z policji.

*Widzę Owena Garrisona w dole na skalach, tuż nad wodą, poniżej ruin starego domu Garrisonów, który spłonął w wielkim pożarze, jaki nawiedził Mount Desert w 1947 roku.*

*Czuję w powietrzu zapach oceanu i kwaśny odór wilgotnej, torfowej ziemi.*

*Mój umysł nie chce przyjąć do wiadomości tego, co widzę.*

*Ciało mężczyzny.*

*Owen próbuje mnie zatrzymać, kiedy zaczynam biec.*

*- Abigail, nie...*

Sięgnęła po notes leżący wcześniej na spodzie sterty - ostatni do spalenia i pierwszy, który wypełniła swoimi zapiskami. Litery były duże i grube; ledwie mogła utrzymać długopis w ręku w tych pierwszych, okropnych tygodniach złości, rozpacz i smutku.

Wciągając gwałtownie powietrze, wyrwała za dużo kartek naraz, przez co zdeformowała metalową spiralę oprawy i kartki zostały wydarte nierówno. Wrzuciła je do ognia, po czym wyciągnęła ze spirali skrawki, które w niej pozostały. Potem chwyciła kolejne kartki i je także wyrwała.

Bob O'Reilly nadal bacznie się jej przyglądał.

*- Zawiozę popiół do Maine. Tyle, ile zmieści się w puszcze. Rozsypię go nad zatoką Frenchman. To część rytuału.*

*- Teraz jest tam pięknie - rozmarzył się Bob.*

*Biegnę. Nie ślizgam się na skalach, nie waham ani przez chwilę - nawet kiedy Owen chwyta mnie w pól.*

*- Chris został postrzelony. Nie żyje. Przykro mi. Już nic nie możesz dla niego zrobić.*

*Owen nie pozwala mi podejść do męża. Nie chce, żebym przypadkowo zatarła ślady na miejscu zbrodni.*

*- Jedyne, co możemy teraz zrobić - mówi - to znaleźć zabójcę.*

Bob zawiesił szczypce na haczyku.

- Nic z tego, pani detektyw. Nie zwiedzisz mnie. Rytuał oczyszczenia, bełkot emocjonalny... Bzdura! Abigail odchyliła głowę do tyłu i spojrzała na niego wyniośle. Czuła, że przepocona koszulka przykleiła jej się do pleców. Krótkie, ciemne włosy się poskręcały. Bob wytrzymał jej spojrzenie i w końcu Abigail westchnęła.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Popatrzył na nią swoimi chabrowymi, irlandzkimi oczami.

- Nie poddałaś się, Abigail. Nie spocznesz, dopóki nie znajdziesz zabójcy swojego męża.

- A ty byś się poddał?

- Nie rozmawiamy o mnie. - Nachylił się ku niej. - Coś się stało. Coś się zmieniło. Co?

Abigail odwróciła się.

- Bob...

Detektyw przerwał jej głośnym chrząknięciem.

- Jeśli nie możesz mi powiedzieć, co się dzieje, to nie mów. Ale nie wciskaj mi kitu o rytuałach oczyszczenia.

- Dobrze, ale jeśli chodzi o remont domu...

- To już lepsza bajeczka.

- To nie bajeczka...

- Abigail.

Postanowiła nie przeciągać struny, a Bob dłużej nie naciskał. Rzucił jej na odchodnym jeszcze jedno gniewne spojrzenie i poszedł do swojego mieszkania na drugim piętrze. Abigail patrzyła przez chwilę na dogasający ogień, niedopalone skrawki papieru w popiele. Potem zdjęła pokrywkę puszki po kawie i nagle - tak jakby stała z boku - zauważyła, że płacze.

Posługując się długą szpatułką, napełniła puszkę popiołem.

Niecały popiół się zmieścił.

Pogrzebała szpatułką w tym, co zostało na grillu. Co za pomysł - rozpalać ogień na posesji należącej do dwóch najbardziej cenionych bostońskich detektywów. Abigail pracowała jako detektyw od dwóch lat. W oczach Boba O'Reilly'ego i Scoopa Wisdomy - ale również we własnych - nadal uchodziła za żółtodzioba.

Wierzyli w nią, a ona starała się codziennie udowodniać swoją wartość, lecz postanowiła - mimo że nie obmyśliła jeszcze planu działania - nie mówić im o telefonie poprzedniego wieczoru.

Anonimowa informacja.

To nie była pierwsza taka informacja w ciągu ostatnich siedmiu lat ani najbardziej z nich wszystkich niedorzeczna, ale Abigail nie chciała, żeby jej najbardziej zaufani koledzy po fachu i zarazem najwierniejsi przyjaciele odwiedli ją od sprawdzenia tego tropu.

Szpatułką uderzyła w na pół spaloną kartkę przyklejoną do dna grillu, słowa napisane grubym, czarnym markerem zamajaczyły w popiele, przypominając Abigail o tym, o czym nie trzeba jej było przypominać.

*Jestem wdową.*

## ROZDZIAŁ DRUGI

Abigail otrzymała informację poprzedniego wieczoru w niecodziennych okolicznościach. To była druga sobota lipca, a więc dzień, który Abigail i Chris wybrali przed siedmiu laty na swój ślub. Abigail była tego dnia sama. Drugą sobotę lipca zawsze spędzała sama, mimo że rodzina i przyjaciele dzwonili, żeby zaprosić ją na grilla, kolację, do kina albo na mecz drużyny Red Sox. Kiedyś jej matka, prawniczka specjalizująca się w prawie korporacyjnym, żona wpływowego człowieka, kobieta lubiąca relaks, zaproponowała Abigail, że zarezerwuje jej na ten dzień pobyt w SPA. „Weź masaż. Zrób sobie pedikiur. Poczujesz się lepiej”. Tylko mamie mogło coś takiego przyjść do głowy, pomyślała Abigail. Ale Kathryn March udało się wywołać tą propozycją uśmiech na twarzy owdowiałej córki - cel zatem został osiągnięty. Z ojcem rzecz miała się zgoła inaczej. Nigdy nie próbował rozweselić córki w rocznicę jej ślubu. Wie-

dział, że nie mógłby. Sama Abigail dała mu to do zrozumienia.

- Czy Chris zginął przez ciebie?

- Abigail... przestań...

- Odpowiedz.

- Na twoim ślubie byłem ojcem panny młodej, nikiem więcej.

- Zleciłeś mu jakieś zadanie podczas miesiąca miodowego? Widziałeś akta dotyczące jego zabójstwa.

Co w nich jest? Co przede mną ukrywasz?

Tak naprawdę w aktach Chrisa nic nie było. Dlatego nie rozwikłano zagadki jego śmierci. Śledczy nie chcieli ujawnić rodzinie pewnych szczegółów sprawy, ale Abigail na ich miejscu też by nie chciała.

Policja stanowa z Maine i FBI niczego istotnego jednak przed nią nie zataiły. John March, ciężko pracujący człowiek, który do wszystkiego w życiu doszedł sam, były policjant, a obecnie dyrektor Federalnego Biura Śledczego, nie dysponował żadnymi cennymi informacjami na temat zabójstwa zięcia.

O zabójcy wiedział tyle, co Abigail. Po prostu brakowało tropów. Nie potrafił nawet pocieszyć córki. Ale ona nie potrzebowała pocieszenia. Już nie. Teraz zależało jej tylko na rozwiązaniu tej sprawy.

Chciała wiedzieć, kto to zrobił.

Jednak w drugą sobotę lipca myślała wyłącznie o mężczyźnie, którego kochała, i o chwilach, które wspólnie przeżyli. Tego dnia nie myślała o Chrisie jako o brutalnie zamordowanym agencie FBI, nie myślała też o licznych materiałach, jakie zgromadziła, prowadząc prywatne śledztwo w sprawie jego śmierci.

Wybrała się do ich ulubionej restauracji przy Newbury Street i poprosiła o stół przy oknie, żeby móc obserwować ludzi siedzących na zewnątrz

i korzystających z uroków ciepłego, lipcowego wieczoru. Przypatrywała się również zakochanym małolatom, którzy przechodzili obok restauracji, trzymając się za ręce, a także starszym parom, które być może świętowały tego dnia rocznicę ślubu.

Abigail nie świętowała, ale nie była też w nastroju żalobnym.

*Kocham cię, Abigail. Zawsze będę cię kochał.*

Pragnęła cofnąć czas i powiedzieć mu: „Nie! Nie kochaj mnie! Zakochaj się w kimś innym. Żyj, Chris. Żyj!”.

Ponieważ jednak nie mogła tego zrobić, zamówiła kieliszek wina Pinot Noir i pomyślała o swoim bukiecie ślubnym z hortensji i róż, o tamtym pięknym popołudniu w Maine i o tym, jak przystojnie wyglądał Christopher Browning, czekając, aż ona podejdzie do niego po dywanie rozwiniętym na trawniku uroczego nadmorskiego hotelu, w którym się pobrali.

- Przepraszam. Pani detektyw Browning? Słowa kelnera wyrwały ją z objęć wspomnień i przywołały do rzeczywistości.

- Tak, ale...

- Telefon do pani.

Telefon? Dlaczego ten ktoś nie wysłał jej informacji na pager albo nie zadzwonił na komórkę?

Spojrzała na kelnera. Był młody, nie znała go.

- Kto dzwoni?

- Nie wiem. Ja tylko... - Wskazał w kierunku baru. - Poproszono mnie, żebym zaniósł pani telefon.

- No dobrze, ale bądź w pobliżu. Może będę chciała jeszcze z tobą porozmawiać.

Kiwnął głową, po czym szybko się oddalił. Abigail przyłożyła słuchawkę do ucha.

- Słucham.

20

- Przepraszam, że przeszkadzam w kolacji. - Głos był bardzo niewyraźny, przypominał raczej szept. Abigail nie potrafiła nawet stwierdzić, czy to głos mężczyzny, czy kobiety. - Pijesz ulubione wino męża? - Z kim mam przyjemność?
- Pinot Noir, zgadza się?
- Cholera. Postanowiła odsunąć od siebie emocje, które wywołał w niej ten wieczór, i zrobić użytek z tego, czego nauczyła się na szkoleniach policyjnych i podczas dotychczasowej służby. Trzymaj rozmówcę jak najdłużej przy telefonie.
- Owszem. Jesteś tutaj? Przyłącz się do mnie.
- Może innym razem.
- Znaliście się z moim mężem?
- Óóó. Posłuchaj. Twój mąż za bardzo węszył. Coś wyszło na jaw. Został wyeliminowany. - Beznamiętny szept sprawiał, że słowa brzmiały jeszcze bardziej przerażająco i złowieszczo. - Jego śmierć nie była przypadkowa.
- Chciałabym wiedzieć coś więcej...
- Więc słuchaj. - Po raz pierwszy rozmówca położył nacisk na jakieś słowo. - Coś się dzieje na Mount Desert. Znowu.
- Komuś jeszcze grozi niebezpieczeństwo?
- Tylko ciebie boi się zabójca.
- Sugerujesz, że coś mi grozi?
- Sugeruję, że tylko ty możesz rozwikłać tę zagadkę, pani detektyw. - Krótka chwila milczenia. - Na-brałaś doświadczenia przez ostatnie siedem lat. Nadal pragniesz rozwiązać sprawę zabójstwa męża. Morderca wie, że nie spoczniesz, dopóki tego nie zrobisz. Lodowaty dreszcz przeniknął skorupę jej profesjonalizmu.
- Skąd wiesz, co wie morderca?

- Muszę kończyć.
- Zaczekaj. Co się dzieje na Mount Desert?
- Nic więcej nie powiem.
- Co wywęszył Chris? Co wyszło na jaw? Uchyl rąbka tajemnicy. W przeciwnym razie dopiję wino, zjem spokojnie kolację i zapomnę o tej rozmowie, uznając ją za kolejny głupi żart. Otrzymywałam już takie dziwne telefony.
- To jest telefon, na który czekałaś. Wiesz o tym.
- Nie rozłączaj się... Klik.

Koniec rozmowy. Abigail położyła telefon na stoliku i wygrzebała z torebki notes z przyklejonym do niego długopisem jednorazowym marki Bic. Kelner, który najwyraźniej ją obserwował, wrócił teraz do jej stolika, ale Abigail uniosła dłoń w wymownym geście, nie pozwalając mu nic powiedzieć, i zapisała każde słowo wypowiedziane przez jej niedawnego rozmówcę.

Kiedy skończyła, zamknęła notes, odchyliła się na krześle i popatrzyła na kelnera. Był bardzo młody.

- Jak się nazywasz? - spytała.

- Trevor... Trevor Baynor.

Zanotowała jego adres i numer telefonu, dowiedziała się, że pracuje w restauracji dwadzieścia godzin tygodniowo, a poza tym studiuje jazz w Berklee College of Music na wydziale fortepianu.

- Muszę wracać do pracy - powiedział.

- Oczywiście, ale najpierw powiedz, kto odebrał telefon. Barmanka?

Kiwnął głową.

- Ma na imię Lori.

- Co powiedziała, kiedy dawała ci telefon?

- Powiedziała... Nie pamiętam.

- Spróbuj sobie przypomnieć. Przeczesał dłonią gęste blond włosy.
- Powiedziała, żebym zaniósł pani telefon. Ze ktoś do pani dzwoni.
- Skąd wiedziała, jak się nazywam?
- Pewnie od osoby, która dzwoniła.
- Trevor, w tej restauracji jest mnóstwo ludzi. Skąd Lori wiedziała, że detektyw Browning to ja?
- No tak. - Wyszczrzył lekko zęby. - Nie pomyślałem o tym. Podała mi numer pani stolika i powiedziała: „To chyba ona”. Nie sądzę, by panią znała.
- Czy widziałeś kogoś jeszcze korzystającego z telefonu, kiedy ja rozmawiałam? Oczy Trevora rozszerzyły się ze zdumienia, a może strachu.
- Nie... To znaczy... Nie zwróciłem uwagi. Nie rozglądałem się. Ludzie ciągle rozmawiają przez komórki.
- Dobrze, Trevor. Dziękuję. - Abigail wstała od stolika. - Porozmawiam z Lori. Nie zabieraj mojego wina. Nie rezygnuję z kolacji.
- Lori - zgrabna, ubrana na czarno kobieta tuż po czterdziestce - wiedziała niewiele więcej niż Trevor. Osoba, która zadzwoniła, z nią też rozmawiała szeptem.
- Pomyślałam, że ten ktoś ma problemy z głosem. Z powodu raka gardła, zapalenia krtani czy innej przypadłości.
- To był mężczyzna czy kobieta?
- Trudno powiedzieć. Pani nie wie? - Lori zmarszczyła brwi. Czarne obwódki wokół jej oczu sprawiały, że wyglądała efektownie i trochę jak szop. - Może poproszę kierownika?
- Za chwilę. Proszę powtórzyć dokładnie, co ten

człowiek powiedział, póki ma to pani świeżo w pamięci.

- Dokładnie? No cóż... Podniosłam słuchawkę i powiedziałam „halo”. Tak po prostu. Wtedy osoba po drugiej stronie linii powiedziała, że chciałaby rozmawiać z panią detektyw Abigail Browning. To pani, prawda?

- Proszę mówić dalej.

- Zapytałam tę osobę, czy jest pewna, że zadzwoniła pod właściwy numer, i usłyszałam w odpowiedzi następujące słowa: „Jest sama. Ma krótkie, ciemne włosy”. - Lori wzruszyła ramionami, prostując się za lśniącym kontuarem z ciemnego drewna. - Rozejrzałam się i bingo. Zobaczyłam panią.

- Co było potem?

- Powiedziałam tej osobie, że panią wypatrzyłam, i dałam telefon Trevorowi.

Zjawił się kierownik - mężczyzna w średnim wieku, ubrany w przesadnie elegancki, czarny garnitur - i zapytał, o co chodzi. Abigail pozwoliła, by Lori wszystko mu wyjaśniła, sama zaś przyglądała się bacznie obojgu, szukając oznak, które mogłyby wskazywać, że któreś z nich jest w zмовie z jej tajemniczym rozmówcą. Wydawali się jednak szczerze zaskoczeni tym telefonem i na pewno nie poinformowali nieznajomego lub nieznajomej o przybyciu Abigail do restauracji.

A telefon w restauracji nie miał funkcji identyfikacji dzwoniącego.

Abigail zadzwoniła do swojego partnera, Lucasa Jonesa, bo był nie mniej doświadczonym detektywem niż Bob O'Reilly i Scoop Wisdom i miał tę zaletę, że nie mieszkał nad nią. Czekaając na niego, odsunęła na bok kieliszek z winem i zjadła pół kromki ciepłego

chleba. Jednocześnie przyglądała się młodej parze trzymającej się za ręce i spacerującej wzdłuż Newbury Street. Obrączka na palcu dziewczyny połyskiwała w blasku latarni ulicznych. Abigail miała ochotę klepnąć tę dziewczynę w ramię i zapytać, co by zrobiła, gdyby jej ukochanego zamordowano w czwartym dniu ich miesiąca miodowego, a po siedmiu latach morderca wciąż pozostawał nieuchwytny.

Czy mogłaby spać w nocy, bez obawy, że ten człowiek znów kogoś zabije?

Czy czytając o różnych morderstwach w prasie lub dowiadując się o nich z telewizji, zastanawiałaaby się, czy ich sprawcą nie jest przypadkiem zabójca jej męża i czy zrobiła wszystko, co mogła - wystarczająco ciężko pracowała i gorliwie się modliła - żeby znaleźć mordercę?

A może otrząsnęłaby się po śmierci męża i próbowała wieść normalne życie?

Akurat w chwili gdy młoda para zniknęła Abigail z pola widzenia, w restauracji zjawił się Lucas. Był niezbyt przystojnym mężczyzną, dobiegającym czterdziestki. Miał żonę policjantkę i małego synka.

Ot, zwykłe życie.

Usiadł po drugiej stronie stolika.

- Abigail, co się stało?

- Pewnie nic - odparła i opowiedziała mu o dziwnym telefonie.

Następnego dnia spaliła pamiątki i postanowiła ruszyć do Maine.

Abigail pojechała w okolice Massachusetts State

20

House, zwieńczonej złotą kopułą siedziby władz stanowych, i zaparkowała przed ceglanym domem naprzeciwko parku Boston Common. Jej palce wciąż pachniały rozpałką. Elegancki dom miał czarne okiennice i błyszczące, pomalowane na bordowo drzwi z mosiężnymi okuciami. Po każdej stronie frontowych schodków było dość miejsca na jeden rododendron i kilka wiecznie zielonych krzewów. Nad przyciskiem dzwonka widniała dyskretna tabliczka z napisem: Fundacja imienia Dorothy Garrison. Jak w każdą niedzielę biuro było zamknięte.

„Doe” - jak nazywała ją rodzina - utonęła w Maine w wieku czternastu lat. Owen Garrison miał wtedy zaledwie jedenaście lat i był świadkiem utonięcia siostry. Nic nie mógł zrobić, kiedy poślizgnęła się i spadła ze skały niedaleko miejsca, w którym jedenaście lat później Owen znalazł ciało Chrisa.

Abigail popatrzyła na wysokie, czyste okna z delikatnymi firankami i ciężkimi zasłonami. Formalny, starobostoński styl domu kontrastował z morderczą pracą Owena jako specjalisty od ratownictwa.

Przed trzema laty Owen założył Fast Rescue, organizację typu non profit, skupiającą świetnie wyszkolonych ratowników wolontariuszy, którzy mogli dotrzeć w ciągu dwudziestu czterech godzin na miejsce każdej katastrofy, naturalnej czy innej, w dowolnym punkcie na świecie.

Nie działali w sposób nieprzemyślany, wkraczali do akcji tylko wtedy, gdy organizacje lokalne nie mogły sobie poradzić z sytuacją. Stanowili część rozbudowanej krajowej i międzynarodowej sieci ratownictwa. Huragany, trzęsienia ziemi, tsunami, powodzie, pożary, tornada, lawiny błotne, bombardowania - jeśli

gdziekolwiek zaginęli lub ucierpieli ludzie, Owen i jego ratownicy spieszyli im na ratunek. Abigail powiodła palcami po zimnym, czarnym, metalowym ogrodzeniu. Czy kiedy przed stu laty Edgar Garrison kupował swój wymarzony dom w Bostonie, wyobrażał sobie, że jego wnuk będzie dyndał na linie spuszczonej z helikoptera, ewakuując z dachów ludzi podczas wielkiej powodzi, albo że będzie się przedzierał przez gruzy zawalonego budynku, żeby uratować uwięzione pod nimi sześćoletnie dziecko?

Trudno powiedzieć. Z tego, co Abigail wiedziała, Garrisonowie byli nieprzewidywalnymi ludźmi. Ale wszyscy mężczyźni w rodzinie byli przystojni. Bardzo przystojni. Widziała zdjęcia starego Edgara, człowieka z głową do interesów, miłośnika przyrody, który wspólnie z Rockefellerami i innymi bogaczami wypoczywającymi latem na wyspie przekształcił większość Mount Desert w park narodowy. Edgar był atrakcyjnym mężczyzną, ale nieco wyniosłym. Jego syn, Brennan, odznaczał się subtelniejszą, bardziej wyrafinowaną urodą. Zaskoczył rodzinę, kiedy ożenił się z teksańską piękną, która polowała na dziki i była od niego młodsza o dwadzieścia lat.

Osiemdziesięciodwuletnia Polly Garrison wciąż wzbudzała zainteresowanie prasy. Jej syn, także Edgar, był spokojnym człowiekiem i równie przystojnym jak ojciec i dziadek. Wkrótce po tragicznej śmierci córki Edgar i jego żona założyli fundację dla uczczenia jej pamięci i przekazali fundacji na siedzibę swój bostoński dom. Sami przenieśli się do Teksasu i tam wychowywali Owena.

Owen nie miał subtelnej ani wyrafinowanej urody. Abigail nie określiłaby go mianem przystojnego

w tradycyjnym sensie tego słowa. Z pewnością jednak do brzydkich nie należał.

Poza tym był jedynym Garrisonem, który jeszcze pomieszkiwał w Maine.

Jego rodzina sprzedała dom na Mount Desert Jasonowi Cooperowi, który był także właścicielem pięknej posiadłości nad fiordem Somes Sound. Młodszy, przyrodni brat Jasona, wzięty doradca polityczny z Waszyngtonu, spędzał co roku pięć miesięcy w dawnym domu Garrisonów. Znany również z tego, że parał się amatorsko projektowaniem terenów zielonych, Ellis Cooper stworzył tam imponujący ogród. Wyprawił w nim przyjęcie w dniu, w którym Abigail została zaatakowana, a Chris później zabity. Byli na nie zaproszeni, ale nie poszli.

Po włamaniu, kiedy Abigail była w drodze do szpitala, Chris wstąpił na chwilę na przyjęcie. Wiedziała, że szukał tam człowieka, który ją napadł. Ale przyjęcie już się wtedy skończyło, a Chris - z nieznanymi jej dotąd powodów - trafił na skaliste nadbrzeże, gdzie następnego ranka Owen Garrison znalazł jego ciało.

Garrisonowie i Cooperowie stanowili nie lada zagadkę dla Abigail. Znali Chrisa i jego dziadka znacznie dłużej niż ona. Wywarli bezpośredni i pośredni wpływ na życie obu Browningów. Will Browning, dziadek Chrisa, zamieszkał w domku byłego nadzorcy posiadłości Garrisonów po tym, jak pomógł w gaszeniu pożaru, który zniszczył ich poprzedni dom - dumę pierwszego Edgara. Policja uważała, że zabójca Chrisa ukrył się w jego ruinach.

Abigail była przekonana, że tragiczna śmierć Doe Garrison i bezradność, którą odczuwał piętnastoletni wówczas Chris po stracie przyjaciółki i sąsiadki, przy-

czyniły się do jego późniejszej decyzji o wstąpieniu do FBI.

Abigail nabierała coraz większej pewności, że jeśli chce się dowiedzieć, kto i dlaczego zabił jej męża, musi lepiej zrozumieć relacje łączące Chrisa z jego zamożnymi przyjaciółmi i sąsiadami z Mount Desert.

Polly Garrison, babcia Owena, rzadko tam teraz przyjeżdżała. Przed pięciu laty w upalny, lipcowy weekend Abigail odwiedziła Polly w Austin w Teksasie. Pamiętała swoje zdziwienie na widok prostego, klasycznego domu oraz miły zapach cienistego ogrodu i delikatną mgiełkę wody ze zraszacza, która sięgała jej do kostek.

Drzwi otworzyła sama Polly, siwiuteńka i wciąż oszałamiająco piękna.

- Abigail? Nie wiedziałam, że jesteś w Austin.

- Przepraszam za najście, pani Garrison. Poświęć mi pani chwilę? Chciałabym z panią porozmawiać o relacjach między pani rodziną a Cooperami.

Spojrzenie uroczych, szarych oczu staruszki spoczęło na Abigail.

- Dlaczego?

- Z ciekawości.

Starsza kobieta uśmiechnęła się.

- Właśnie dzięki niej jesteś dobrą policjantką. Dzięki swojej ciekawości. Sądzę, że kiedyś zostaniesz detektywem.

- Być może. Gorąco tutaj. Nie korci panią czasem, żeby spędzić lato w Maine?

- Często mnie korci, ale te wspomnienia... - Wzięła oddech. - Czasem odwiedzam tam mojego wnuka.

Nie jest to dla mnie łatwe, ale Owen... potrafi stawić czoło przeciwnościom.

Co do tego nie było wątpliwości.

- Nie wychowała się pani w Austin, prawda?
- Nie, w zachodnim Teksasie. Mój mąż i ja przenieśliśmy się tu po ślubie. Przez wiele lat mieliśmy dwa domy, w Maine i w Bostonie. Ten drugi przejął później nasz syn. Ale on też mieszka teraz tutaj.
- Z powodu pani wnuczki. Oczy Polly Garrison zaszyły mgłą.
- Tak. Z powodu Doe.
- Po jej śmierci Cooperowie kupili państwa dom na wyspie Mount Desert.
- Zgadza się.
- Ale nie pozbyli się państwo swojej ziemi i w końcu Owen postawił tam dom.
- Nie potrafił całkowicie rozstać się z Maine. Uważał, że to oznaczałoby zdradę Doe. Miał zaledwie jedenaście lat, kiedy ją straciliśmy.
- Wyobrażam sobie, jaki to był dla niego cios.
- No właśnie.
- Ale teraz jego domem jest Austin?
- Obawiam się, że Owen nigdzie nie czuje się jak w domu. Abigail... - Starsza kobieta wyciągnęła przed siebie rękę. - Wszyscy rozumiemy, że chcesz dociec, co się tak naprawdę stało, ale czy nie sądzisz, że Chris chciałby, żebyś była szczęśliwa?
- Jestem szczęśliwa, ale chcę wiedzieć, kto zabił mojego męża.

Kiedy sznur samochodów sunął Bacon Street za jej plecami, a rozhasane dzieci popiskiwały w parku Boston Common, Abigail zdała sobie nagle sprawę, że zrobiło jej się duszno od natłoku wspomnień, lipcowego upału i lęku przed tym, co zamierza zrobić.

Po rozmowie z Polly Garrison, która powiedziała niewiele o relacjach swojej rodziny z Cooperami, Abigail wróciła do skromnego motelu i wzięła prysz-

nic. Z jej długich włosów - bo takie wtedy nosiła - skapywały na obcisłą bluzeczkę kropelki wody, kiedy pod drzwiami jej pokoju zjawił się Owen.

Niedawno wyszedł z wojska. Był szorstki, nieokrzesany i nieszczególnie z niej zadowolony.

- Znajdujesz się poza swoją jurysdykcją, policjantko. I nie jesteś detektywem.

- Święta racja.

- Kiedy następnym razem przyjdzie ci ochota na wypytywanie mojej babci o jej zmarłą wnuczkę, nie rób tego. Zwróć się z tym do mnie.

Abigail nie zamierzała się bronić. Zamiast tego wskazała palcem na pięciocentymetrową bliznę pod jego okiem.

- Skąd to masz? Nabawiłeś się tej blizny podczas akcji ratowniczej?

- To pamiątka po bójkę barowej. Opuszczając motel, Owen zapłacił za jej pobyt.

Dowiedziała się o tym dopiero następnego dnia, tuż przed powrotem do Bostonu. To nie była uprzejmość ze strony Owena. Dał jej w ten sposób do zrozumienia, że wkroczyła na jego teren i podjęła się zadania, które ją przerasta.

Tyle że ona miała to w głębokim poważaniu. Wtedy i teraz.

*Coś się dzieje na Mount Desert. Znowu.*

Jeśli tak, to czy Garrisonowie i Cooperowie mają z tym coś wspólnego? Abigail zamierzała się dowiedzieć.

Kiedy wróciła do domu, wyjęła z lodówki sześć-pak piwa Otter Creek, zrobiła w mikrofalówce popcorn, zatemperowała trzy ołówki, rozpakowała trzy żółte bruliony biurowe i położyła to wszystko na małym kuchennym stole.

Potem zadzwoniła do sąsiadów z góry, a oni przyszli.

Scoop Wisdom miał ogoloną głowę i dzikie, niepoahamowane usposobienie, lecz przygarnął dwa bezdomne koty. Abigail nie wierzyła, że ktoś, kto opiekuje się kotami, może być szczególnie groźny. Wesole błękity i żółcie jej kuchni - a nawet piwo i popcorn - nie zrobiły większego wrażenia na obu mężczyznach.

- Potrzebuję pomocy - oznajmiła Abigail. Scoop zmrużył ciemne oczy, a Bob zrobił krzywą minę.

Abigail przeczesła dłonią swoje krótkie loki.

- Ktoś do mnie zadzwonił zeszłego wieczoru.

- Wreszcie puściłaś parę - prychnął Bob.

- A co? Lucas wam powiedział? Kiedy?

Scoop chwycił piwo, otworzył je i pociągnął solidny łyk.

- Zadzwonił do mnie, kiedy jechał na spotkanie z tobą. Potem ja zadzwoniłem do Boba.

- I żaden z was nic nie powiedział?

- Nie wtrącamy się w nie swoje sprawy - odparł Bob.

Abigail parsknęła śmiechem.

- Jesteście detektywami. Bez przerwy wtrącacie się w nie swoje sprawy. - Ale nie w jej, pomyślała. -

No dobra, powinnam była wam powiedzieć wcześniej. Potrzebowałam czasu, by pozbierać myśli.

Spalenie pamiętników mi w tym pomogło.

Scoop zmarszczył brwi.

- Spaliłaś pamiętniki?

- Nie stanowiły materiału dowodowego. - Wzruszyła ramionami. - Dawałam w nich upust swoim emocjom.

- Aha, rozumiem. - Nie chcąc drażnić tej kwestii, Scoop wskazał swoim piwem na stos akt. - To materiały dotyczące zabójstwa twojego męża?

- Moje zapiski, wycinki prasowe, zdjęcia, rysunki. Wszystko, co mogłam zebrać bez wchodzenia komukolwiek w drogę.

Bob też sięgnął po piwo.

- Poinformowałaś policję z Maine o tym telefonie?

- Tak.

- No i?

- Nie byli porażeni, ale podobno zajmą się sprawą.

- A tatuś?

Abigail spojrzała na stos akt. Nigdy nie poprosiła ojca, żeby je wspólnie przejrzyli, a on nigdy tego nie zaproponował. Nie chciał, żeby prowadziła prywatne śledztwo w sprawie zabójstwa Chrisa.

- Nie rozmawiałam z nim.

Scoop usiadł przy stole i wziął do ręki teczkę leżącą na wierzchu stosu.

Abigail przełknęła ślinę.

- Minęło dużo czasu. To stara sprawa.

- Więc ją odświeżymy i zobaczymy, co z tego wyniknie.

- Na pewno tego chcecie? Bob otoczył ją ramieniem.

- Najwyższy czas, żebyś wbiła to sobie do głowy, dziewczyno. - Puścił do niej oko. - Nie jesteś sama.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Owen Garrison nie przepadał za opalaniem, piknikami i wylegiwaniem się na plaży. Po trzech kwadransach spędzonych na Sand Beach już się niecierpliwił, mimo że ta piaszczysta plaża, wykrojona w kształcie podkowy z granitowego wybrzeża wyspy Mount Desert, należała do wyjątkowo pięknych, a woda w to wczesne, słoneczne, czerwcowe popołudnie miała turkusową barwę.

W porównaniu z większymi plażami w Maine, położonymi bardziej na południe - takimi jak York, Ogunquit czy Wells - Sand Beach była właściwie pusta.

Owen brnął przez piasek, nie spuszczać oczu z Seana i Iana Aldenów, jasnowłosych chłopców, którzy mieszkali od urodzenia na tej szerokiej na czternaście kilometrów wyspie. Pierwszy miał jedenaście lat, drugi - dziewięć. Ich ojciec był szefem miejscowej policji. Owen skomplikował życie Aldenom, kiedy poprosił Katie, żonę Doyle'a, żeby poprowadziła w Bar Harbor szkołę ratownictwa.

Chciał,

żeby kursy ruszyły jesienią, a Katie - doświadczona ratowniczką - podjęła wyzwanie. Przed dwoma dniami wyjechała na sześciotygodniowe szkolenie do Londynu. Chłopcy świetnie sobie bez mamy radzili, ale Doyle nie był zadowolony, że nie będzie jej w domu prawie przez całe lato.

Owen wrócił właśnie z dwutygodniowej akcji w południowej Azji, gdzie nastąpiło trzęsienie ziemi o sile 7,5 stopnia w skali Richtera, i chcąc choć trochę pomóc przyjacielowi, zaproponował, że zaopiekuje się czasem chłopcami.

Nagle któryś z nich - Sean albo Ian - krzyknął na całe gardło. Zanim Owen zorientował się, o co chodzi, stanął mu przed oczami obraz z przeszłości: na tej samej plaży jego siostra wbiegała do wody i z niej uciekała, piszcząc z uciechy i rozbijając rękami lodowate fale.

*Chodź, Owen. Nie bój się! Przyzwyczaisz się do zimnej wody.*

Ale ty się nie przyzwyczaiłaś, pomyślał. Chociaż tego nie czułaś, zimno przeniknęło twoje ciało, osłabiło je.

W dniu, w którym utonęła jego siostra, temperatura wody wynosiła trzynaście stopni Celsjusza. Na skutek wyziębienia organizmu dziewczynka szybko opadła z sił. Oczekując na pomoc, nie mogła utrzymać się długo na powierzchni.

Bezradny Owen widział, jak Doe znika pod wodą.

Wystarczy.

Wziął dwa ręczniki leżące na stercie rzeczy, które zabrali na plażę, i pomachał do chłopców. -

Wyjdźcie z wody!

Nie protestowali. Owen nie wiedział, czy zdecydował o tym jego stanowczy ton, czy obawa chłopców

przed wodą. W przeciwieństwie do większości plażowiczów bracia byli mokrzy od stóp do głów - mieli sine usta i cali się trzęśli. Owen okrył ich ręcznikami i rozłożył na lepkiem piasku koc.

- Usiądźcie i owińcie się ręcznikami. Musicie się rozgrzać.

Łan, młodszy i chudszy z braci, usiadł na kocu, podciągnął kolana pod brodę i otulił się całym dużym ręcznikiem.

- Czy wiecie, chłopcy, co należy robić, kiedy nie można się wydostać z zimnej wody? - spytał Owen. Był w dżinsach i koszulce polo. Suchutki. Sean, dzwoniąc zębami, usiadł na kocu po turecku.

- Wołać o pomoc?

- Kiedy jesteście w lesie albo pływacie łódką czy kajakiem, powinniście mieć przy sobie gwizdek. W razie kłopotów gwizdacie, wzywając w ten sposób pomoc. Poza tym na pokładzie każdej łodzi musicie być w kamizelkach ratunkowych. I prawie nigdy nie wolno płynąć do brzegu wplaw.

- Dlaczego? - spytał Sean.

- Kiedy pływacie, szybciej tracicie ciepłość ciała. Trzeba ją zachować jak najdłużej.

Łan zmarszczył brwi.

- Czemu?

- Żeby nie doszło do hipotermii, czyli obniżenia temperatury ciała. Najpierw sinieją wam usta i zaczynacie się trząść. Potem jest coraz gorzej: miasza wam się w głowach, bełkoczenie, wasze mięśnie słabną. To zwykle kończy się tragedią.

- Tak. - Sean kiwnął głową. - Mama nam mówiła, że jeśli ktoś źle się ubierze, wyruszając na wędrowną, może umrzeć z zimna. Nawet latem.

- A w wodzie jeszcze szybciej traci się ciepłość

ciała. Trzeba się starać, żeby ciało w jak najmniejszym stopniu było zanurzone w wodzie. Jeśli możecie dopłynąć do przewróconej łodzi, uchwycie się jej. Jeśli nie, trzymajcie głowy nad wodą i nie wykonujcie żadnych zbędnych ruchów. Jeśli macie na sobie kamizelki ratunkowe, unosić się tylko na powierzchni, przyjmując pozycję, która pozwala zmniejszyć utratę ciepła: ręce skrzyżowane na piersi, nogi podkulone. Przytulajcie się do innych ludzi w wodzie.

- Dryfowałeś kiedyś w zimnej wodzie? - spytał Sean.

- Nie.

- A czy ratowałeś kogoś, kto miał hipo... - Ian zmarszczył brwi. - Jak to się nazywa?

- Hipotermia. Tak, uratowałem mnóstwo ludzi w stanie hipotermii.

Wyławiał również ciała tych, którzy z jej powodu umarli.

Chłopcy nabrali kolorów i przestali się trząść. Owen wiedział, że szybko się rozgrzeją, ale zapewne nie powinien był im pozwolić tak długo przebywać w zimnej wodzie. Ich ojciec jednak nie przejmowałby się tym - Doyle wychował się na tej wyspie i nie lekceważył żywiołów natury, lecz nie obawiał się ich i nie chciał, żeby jego synowie się ich bali.

Sean i Ian wciągnęli bluzy i spodnie od dresu, ale nie włożyli butów, bo mieli zapiaszczone stopy. Potem pobiegli w stronę parkingu. Owen zawinął w koc nietknięte batony czekoladowe, butelkę wody, krem do opalania, spray przeciw owadom, buty i ręczniki, a następnie ruszył za chłopcami. Wciąż czuł adrenalinę, która towarzyszyła mu przez dwa tygodnie wytężonej pracy. Wiedział, że minie trochę czasu, zanim się odpręży.

W ciągu ostatniego roku wydarzyło się wiele katastrof. Owen potrzebował odpoczynku.

Rzucił koc na platformę swojej półciężarówki. Trzymał tam wszystko, co niezbędne do udzielenia pierwszej pomocy. Gdyby coś złego stało się na plaży, byłby gotowy.

Lubił wracać na Mount Desert. Jedna trzecia wyspy, mającej powierzchnię blisko, czterdzieści tysięcy hektarów, znajdowała się w granicach Parku Narodowego Akadia, który charakteryzował się polodowcowymi krajobrazami z różowymi granitowymi górami, podłużnymi stawami, wiecznie zielonymi lasami i skalistymi wybrzeżami. Owen tylko pomieszkiwał na wyspie, ale sercem był tam zawsze.

Chłopcy już zasnęli, kiedy dotarł do prywatnej drogi, odchodzącej od szosy numer trzy, a prowadzącej do miejsca, gdzie jego pradziadek, ekscentryk i wizjoner, wybudował w 1919 roku oszalałymi „dom letniskowy”, który spłonął w wielkim pożarze w 1947 roku. Gigantyczna pożoga strawiła tysiące arów lasów i setki letnich rezydencji. Jej szlak znaczyły obecnie młodsze, liściaste lasy. Po pożarze dziadek Owena postawił mniejszy dom - na wysokiej skale za ruinami pierwszego domu. Teraz ten budynek był letnią rezydencją ekscentrycznego Ellisa Coopera. Kiedy po śmierci Doe rodzina zdecydowała się na sprzedaż posiadłości na Mount Desert, Owen namówił dziadka, żeby zostawił dla niego kawałek ziemi nad samym oceanem. I właśnie tam Owen postawił potem swój dom. Budował go z przerwami przez dziesięć ostatnich lat.

Skreślił teraz w wąską, szutrową drogę, która wiodła do jego domu, a także do znajdującego się nieco dalej, wzniesionego na cyplu domu Browningów. Will Browning często pomagał Owenowi przy budowie jego

domu. Chris też starał się pomagać. Jego rodzice zginęli na morzu, kiedy był małym chłopcem. Od tego czasu wychowywał go dziadek.

Z początku dom Browningów był tylko domem gościnnym, ale pradziadek Owena sprzedał go Willowi z wdzięczności za jego ciężką, wielodniową pracę przy gaszeniu wielkiego pożaru, który szalał na wyspie.

Teraz ten dom należał do wdowy po Chrisie.

Abigail.

Starając się o niej nie myśleć, Owen zaparkował przed swoim domem. Orzeźwieni drzemką chłopcy pobiegli na przybrzeżne skały, żeby sprawdzić, co odpływ zostawił za sobą w kałużach pełnych przybrzeżków, małży i wodorostów. Było tu jeszcze zimniej niż na plaży, więc Owen przyniósł drewnianka na opali zaczął przetrząsać szafki kuchenne w poszukiwaniu produktów, z których mogłby zrobić chłopcom gorącą kolację.

Nikt nie wierzył, że Owen spędzi w Maine całe lato. Sądzone, że jeśli nie wydarzy się żadna katastrofa, znajdzie inny powód, by wyjechać.

Doyle Alden przyjechał po synów o zmierzchu. Był jasnowłosym mężczyzną o solidnej posturze.

Doyle i Owen zaprzyjaźnili się w dzieciństwie, kiedy nie miało znaczenia, kto skąd pochodzi i z jakiej rodziny. Chodzili razem na wędrówki i na ryby. Czasem przyłączał się do nich Chris Browning.

Chrisa zawsze gnało w świat, postanowił sobie, że nie będzie żył tak jak jego ojciec czy dziadek.

Chociaż szanował rodzinę, nie chciał być poławiaczem homarów ani złotą rączką i ciężko pracował na swoją przyszłość. Skończył studia prawnicze, został agentem FBI i ożenił się z córką człowieka, o którym było powszechnie wiadomo, że wkrótce obejmie stanowisko dyrektora FBI.

Gdyby Chris wybrał inne miejsce na miesiąc miodowy, zapewne nadal by żył. Niestety, pojechał z żoną na Mount Desert.

Doyle był świadkiem na ślubie Chrisa. Sean niósł obrączki.

Owen dostał przepustkę z wojska i udał się na dwutygodniowy urlop do Maine. Przyjechał tam trzy dni po ślubie przyjaciela.

W samą porę, by znaleźć jego ciało.

Głos Doyle'a przywołał Owena do terażniejszości.

- Katie przysłała maila - oznajmił Doyle, patrząc przez francuskie okno na ocean. Po zjedzeniu kolacji chłopcy znów wyszli na zewnątrz. - Pisze, że próbuje się tam zadomowić i że w Anglii są teraz piękne kwiaty.

- To nie mogło umknąć jej uwagi - powiedział Owen.

- Sześć tygodni szybko zleci.

Owen wyczuł w tonie przyjaciela z trudem skrywany żal. Doyle pozostawił decyzję w sprawie wyjazdu na szkolenie w rękach Katie, mówiąc żonie, że musi ją podjąć sama. Katie prosiła, żeby z nią porozmawiał na ten temat, ale odmówił. Teraz jednak był poirytowany, bo tak naprawdę nie chciał, żeby wyjeżdżała.

To wszystko było tak skomplikowane, że Owen nie mógł się w tym połapać, ale Doyle i Katie związali się ze sobą jeszcze jako nastolatki. Mimo swojego niełatwego charakteru Doyle zdawał sobie sprawę, że chociaż Katie nie potrzebowała jego pozwolenia na wyjazd do Anglii, zasługiwała jednak na wsparcie.

- Latem mam najwięcej pracy - rzekł. - Katie mogła wybrać lepszy czas, żeby uczyć się zbawiać świat.

- To ja wybrałem, nie ona.

Doyle uśmiechnął się krzywo.

- Tak? To chrzanię cię!

Na tarasie rozległy się głośne kroki chłopców. Wydawało się, że impet, z jakim wparowali do pokoju, poprawił ich ojcu nastrój. Palce łan były sinoczer-wone, co świadczyło o tym, że grzebał w kałużach zostawionych przez odpływ. Podobnie jak jego mama interesował się wszelkimi żywymi stworzeniami i bardzo je lubił. Sean z kolei czerpał frajdę ze wspinania się na granitowe głazy.

- Co się stało? - spytał Doyle, widząc zaaferowanie chłopców.

- Nic - odparł Sean. Jego policzki nabierały rumieńców, kiedy ogrzewał ręce przy zaopatrzonym w osłonę kominku.

- I dlatego jesteście tacy podnieceni?

Łan chciał coś powiedzieć, ale Sean rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Tato, możemy tu zostać na noc?

- Nie dziś. Może innym razem, kiedy będę miał jakieś spotkanie. Jeśli oczywiście Owen się zgodzi. Owen wzruszył ramionami.

- Nie ma sprawy. - Wiedział jednak, że Sean i łan ukrywają coś przed ojcem. - Zauważyliście mgłę na horyzoncie?

- No. - Łan kiwnął głową, ale obserwował bacznie starszego brata, spodziewając się zapewne kolejnego ostrzegawczego spojrzenia, gdyby za dużo powiedział. - Zbliża się. Sean mówi na nią Blob. Udajemy, że to potwór.

Łan ryknął na całe gardło i wyciągnął przed siebie ręce, udając, że jest Blobem. Sean przewrócił oczami. Owen odprowadził chłopców i ich ojca do samochodu. Sean powiedział, że chce siedzieć na przednim siedze-

niu, Ian zaś przypomniał mu, że teraz jego kolej - zanosilo się na sprzeczkę. Doyle rozwiązał problem, kazał obu usiąść z tyłu.

- Teraz kłóca się częściej niż zwykle - powiedział do Owena, a potem uśmiechnął się gorzko, otwierając drzwi auta. - To wina Katie. Kiedy są ze mną, na więcej sobie pozwalają.

Siedząc na tylnym siedzeniu przy otwartym oknie, Sean popadł nagle w zadumę.

- Tato, wierzysz w duchy?

- Nie - odparł bez wahania Doyle. - Dlaczego pytasz? Wydaje wam się, że widzieliście ducha?

Ian otworzył szeroko oczy i szturchnął łokciem brata.

- Sean, tata będzie wiedział, co trzeba zrobić. Sean zapiął pas.

- Niczego nie widzieliśmy. Doyle uruchomił silnik.

- Zapomnijcie o tym. - Wyglądał na wyczerpanego, wyraźnie brakowało mu Katie. - Nie zdziwiłbym się, gdybyście zobaczyli tam ducha. To był taki ponury dzień.

Ale kiedy Doyle ruszył spod domu, Owen dostrzegł pobladłą twarz i nieruchome oczy siedzącego na tylnym siedzeniu Iana i poczuł skurcz w żołądku.

*Wiedzieli o Chrisie Browningu.*

Doyle nigdy nie wspominał w obecności Seana i Iana o przyjacielu z dzieciństwa ani o tajemniczym zabójstwie, które tak nim wstrząsnęło. Milczenie ojca w tej sprawie wytworzyło pustkę, którą chłopcy starali się wypełnić własnymi domysłami.

Ale dlaczego wydawało im się, że zobaczyli ducha?

Doyle Alden skręcił w krótką alejkę prowadzącą do niewielkiego domu, który kupili z Katie na sześć tygodni przed narodzinami Seana i sami wyremontowali. Stał przy bocznej uliczce niedaleko komisariatu policji, kilka kilometrów od domu Owena. Miasto Bar Harbor, gdzie planowano stworzenie szkoły ratownictwa, było oddalone o dwanaście kilometrów i wiodła do niego malownicza trasa, którą żona Doyle'a miała wkrótce przemierzać każdego dnia.

Za autem zatrzymał się nieoznaczony radiowóz policji z Maine. Doyle dostrzegł za kierownicą porucznika Lou Beelera. Wiedział, że jego przyjazd oznacza kłopoty.

- Wejdźcie do domu, chłopcy - powiedział do synów. - Zaraz przyjdę.

W świetle lampy umieszczonej nad frontowymi drzwiami Lou wydawał się mizerny i zmęczony, a jego włosy wyglądały na bardziej siwe niż zwykle. Jesienią zamierzał przejść na emeryturę po trzydziestu latach służby, z których piętnaście przepracował w wydziale śledztw kryminalnych. Był porządnym facetem o wielkich zasługach dla policji, jednym z najbardziej cenionych detektywów w Maine. Ale to, że odchodził ze służby, nie rozwiązawszy sprawy zabójstwa Christophera Browninga, wyraźnie mu ciążyło.

Agent FBI, świeżo upieczony mąż córki Johna Marcha, człowiek bardzo lubiany na Mount Desert, którego postrzelono podczas jego miesiąca miodowego o rzut kamieniem od rodzinnego domu i zostawiono, żeby się wykrwawił na śmierć pośród skał, wodorostów, słonej wody i mew...

Któż nie chciałby znaleźć zabójcy Chrisa?

- Co słyhać, Lou? - spytał Doyle.

Lou pomasował się po krzyżu. Miał za sobą podróż z Bangor, gdzie mieszkał.

- Nadciąga mgła. Czuję jej zapach.

- Serio?

- Nie lubię jeździć we mgle. Już nie te oczy, co kiedyś. Co u Katie?

- W porządku. Jest w Anglii.

- Słyszałem. Zaczęła współpracę z organizacją Owena Garrisona?

- Tak. - Doyle wiedział, że Lou stara się być miły, ale od kilku dni brakowało mu cierpliwości i chciał, żeby starszy policjant przeszedł wreszcie do rzeczy. - Będziemy z chłopcami sami przez kilka tygodni. Czekają na mnie w środku.

- Jasne. Już mówię, o co chodzi. Czy kontaktowała się z tobą Abigail Browning?

*Cholera.* Doyle pokręcił głową.

- Ktoś do niej dzwonił zeszłego wieczoru. Pomyślałem, że powinienes o tym wiedzieć - oznajmił rzeczowym tonem, jakby chciał ukryć swoje osobiste zainteresowanie tą sprawą. Potem opowiedział Doyle'owi wszystko w szczegółach. - To pewnie kolejny fałszywy trop, ale... Sam nie wiem. Trochę to dziwne.

- Abigail wybiera się tutaj? Lou westchnął.

- Nic nie mówiła, a ja nie pytałem. Myślisz, że przyjedzie?

- Może już tu jest.

Lou wpatrywał się nieruchomo w Doyle'a.

- Nie wiem, jak ty, ale ja nie przypuszczałem, że za siedem lat będę jeszcze poszukiwał zabójcy Chrisa Browninga.

- Naprawdę? Powiem ci, jak ja to widzę. Siedem lat temu grasował na wyspie jakiś rabuś. Skradł mnóstwo

biżuterii z letnich rezydencji zamożnych ludzi. Potem włamał się do domu Browningów, sądząc, że to domek gościnny Garrisonów albo Cooperów, i natknął się tam na Abigail. Zaatakował ją, a Chris wziął sprawy w swoje ręce. Złodziej zabił go i czmychnął z wyspy, nie zamierzając tu nigdy wracać.

- To jeden ze scenariuszy.

- Jedyny, który ma sens i pasuje do faktów. Jeśli Abigail myśli, że przyjeżdżając na wyspę, dowie się czegoś nowego, jest w błędzie.

- Myśli tak od siedmiu lat...

- I od siedmiu lat jest w błędzie. Niepotrzebnie zawraca ludziom głowę.

Lou oparł się o maskę swojego samochodu.

- Jej rozmówca powiedział, że coś się tutaj dzieje.

- Tę wyspę odwiedzają co roku trzy miliony turystów - zauważył Doyle. - Jasne, że coś się dzieje. Nie trzeba być geniuszem, żeby wskazać tuzin przykładów.

- A co dzieje się u Garrisonów i Cooperów? Doyle zaśmiał się drwiąco.

- U nich zawsze coś się dzieje. Owen zakłada szkołę ratownictwa. Właśnie wrócił z akcji ratowania ofiar trzęsienia ziemi.

- A Cooperowie?

- Grace Cooper ma niebawem otrzymać nominację na wysokie stanowisko w Departamencie Stanu.

Jej ojciec przeprowadza jakąś skomplikowaną operację biznesową. Jej stryj zaprojektował nowy ogród dla jednego ze swoich bogatych przyjaciół. Jej brat przyjechał tu na wakacje. Wreszcie udało mu się ukończyć z powodzeniem pierwszy rok studiów. - Doyle spojrzał spod przymrużonych powiek na bardziej doświadczonego kolegę po fachu. - Ale ty to wszystko wiesz, prawda, Lou?

- Owszem, chociaż... - Uśmiechnął się. - Nie wiedziałem, że Linc Cooper nie wyleciał z kolejnej uczelni. Zadzwoń do mnie, kiedy pojawi się Abigail?

- Zadzwonię. Dzięki, że wpadłeś. A tak przy okazji, byłeś dzisiaj pod domem Browningów? Lou pokręcił głową.

- Nie, a co?

Doyle postanowił nie mówić mu o chłopcach i duchu.

- Nic, byłem ciekaw. Na pewno nie chcesz wejść?

- Muszę już wracać. Pozdrów ode mnie chłopców. Kiedy Lou odjechał, Doyle zamknął samochód i wszedł do domu, który bez Katie nie był taki jak zawsze. Nie wiedział, jak wytrzyma bez niej sześć tygodni. Dom wymagał częstego odkurzania. Doyle musiał wynosić śmieci, myć łazienki i zmywać mopem podłogę w kuchni. Zwykle on, Katie i chłopcy dzielili te obowiązki między siebie, ale teraz przekonał się, że wcześniej nie robił w domu tyle, ile powinien.

Nie chciał mieć teraz na głowie Abigail. Działała mu na nerwy.

Liczył na to, że dostanie jakąś sprawę w Bostonie i zapomni o anonimowym telefonie. Lepiej, żeby lokalna i stanowa policja przeprowadziła dochodzenie. Ty trzymaj się od tego z daleka.

Doyle prychnął, widząc, że nie wyłączył rano ekspresu do kawy.

Co się z nim działo?

Nigdy nie sprzyjało mu szczęście.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Abigail wyjechała z Bostonu w poniedziałek wczesnym rankiem. Kiedy jadąc szosą numer trzy, przekroczyła most Trenton i znalazła się wreszcie na Mount Desert, przywitała ją ściana mgły. Nie była to przyjemna mgła, ale taka, co wprawia w depresję i wywołuje myśli samobójcze. Na przednim siedzeniu pasażera stała puszka z popiołem. Mało brakowało, a Abigail wysypałaby popiół podczas postoju między Augustą i Bangorem - tak bardzo chciała się już go pozbyć. Było tak, jakby wszystkie wspomnienia dotyczące jej życia z Chrisem kryły się w tym popiele i wciągały ją do puszek wypełnionej przeszłością, chcąc ją tam na zawsze uwięzić.

Wstąpiła do baru w Bar Harbor i kupiła na wynos zupę z małży, sałatkę z homara, sałatkę z krabów i dwa ogromne ciastka z masłem orzechowym. Zmęczeni turyści uzalali się na mgłę. „Może się utrzymać jeszcze przez kilka dni”.

No cóż, pomyślała Abigail, wsiadając do auta, to niewykluczone.

Kiedy dotarła do swojego domu na południowym skraju wyspy, mgła - choć wydawało się to niemożliwe - jeszcze bardziej zgęstniała. Wysokie świerki i sosny tonęły w szarości, nic nie było widać.

Woda, skały i niebo zlały się w jedno.

Schody wejściowe były śliskie, powietrze miało smak soli i mokrych igieł sosnowych.

Dom zbudowano w 1920 roku, był zbyt mały i zbyt prosty jak na standardy obowiązujące obecnie na wybrzeżu. Gdyby wystawiła go na sprzedaż, ewentualny nabywca kupiłby go wyłącznie ze względu na lokalizację. Potem najpewniej kazałby go zburzyć i wybudował zupełnie nowy.

Może i słusznie.

Abigail przekręciła klucz w drzwiach, a potem musiała je mocno pchnąć, żeby się otworzyły. W środku jej dom przypominał grobowiec. Było tam zimno, ciemno i cicho. Już po południu odnosiło się wrażenie, że zapadł zmierzch.

Zapaliła światło w holu, weszła do kuchni i rzuciła klucze na blat. Cisza nie dawała jej ukojenia, tylko pogłębiała poczucie samotności.

Popiół wołał do niej.

Wydawało jej się, że słyszy głos Chrisa.

*Pałac to nie jest, ale nie potrafiłbym się pozbyć tego domu. Uwielbiam to miejsce, Abigail Nie chcę tu mieszkać na stałe, ale nie mógłbym sprzedać domu.*

Pragnął, by pokochała jego rodzinny dom, a może nie tyle dom, ile samą wyspę, jej zapierające dech piękno, proste przyjemności, jakie oferowała. Mówił, że to nie szkodzi, że Abigail nie ma żadnych wspomnień związanych z wyspą.

*Będziemy mieli nasze wspólne wspomnienia.*

Obróciła się na pięcie i wybiegła z domu. Ślizgając

się na schodkach wejściowych i na kamiennej alejce, a następnie gnając na złamanie karku po miękkim żwirze podjazdu, dopadła do drzwi samochodu po stronie pasażera. Otworzyła je gwałtownym ruchem i chwyciła puszkę po kawie.

*Będziemy tu przyjeżdżać z naszymi dziećmi.*

Schyliła się, przechodząc pod wilgotnymi gałęziami sosny rosnącej na poletku trawy, które pełniło funkcję ogrodu.

Potem ruszyła ścieżką wydeptaną w mokrej trawie i skalnym pyłe. Dotarła nią do miejsca, gdzie kłębiły się krzewy róży japońskiej i piętrzyły granitowe głazy, schodzące do oceanu. Nie było tam bagien ani moczarów, nie było łagodnego zejścia do wody. Przed dwoma wiekami Browningowie osiedli na tej skalistej wyspie i urządzili sobie życie w świecie szalejących wichrów, słonych mgieł, kwaśnych gruntów, piekielnie twardych granitów i niezwykłego, surowego piękna.

Abigail wetknęła puszkę pod pachę. W dole rozpościerał się szary, spokojny Atlantyk, ledwo widoczny we mgle. Usłyszała mewy, ale nie potrafiła stwierdzić, jak daleko są. Wziąwszy oddech, zaczęła schodzić po skałach, stawiając ostrożnie stopy - szczególnie tam, gdzie było bardzo stromo i ślisko. Kiedy oswoiła się z trudnym terenem, przyspieszyła kroku.

Był odpływ, więc mogła zeskoczyć z prostokątnego głazu na mniejsze kamienie, pokryte wodorostami i pąklami, regularnie zalewane przez zimne, szare fale. Czuła, że wilgoć przenikają na wskroś. Kiedy pakowała się poprzedniego wieczoru - już po tym, jak Scoop i Bob zostawili ją samą z notatkami, teczkami i bałaganem do posprzątania - wyobrażała sobie, że rozsypuje popiół w Maine w rześkie, pogodne popołudnie.

Podeszła ostrożnie do krawędzi płyty skalnej - woda była tutaj głębsza, wystarczająco głęboka, by wysypać do niej popiół. Trzymając przed sobą puszkę, zdjęła plastikową pokrywkę.

- Abigail?

- O Boże!

Odwróciła się gwałtownie na dźwięk głosu, prawdziwego czy urojonego, i puszka wypadła jej z rąk. Popiół rozsypał się na nią, na skały i wodę, a sama puszka odbiła się od granitowego podłoża i wpadła do szarego oceanu.

- Chris?

Otrząsnęła się. Co jej przyszło do głowy? Czemu woła męża?

Kucnęła na brzegu skały i próbowała dosięgnąć puszkę, ale ta już nieco odpłynęła. Nie chcąc dać za wygraną, wychyliła się mocno do przodu - za mocno. Oparła lewą rękę o skałę, żeby odzyskać równowagę, lecz wbiły jej się w dłoń ostre pąkle. A kiedy cofnęła rękę i usiłowała wstać, poślizgnęła się i wpadła do wody.

Kontakt z zimną wodą nie należał do przyjemnych, ale już po chwili Abigail zaczęła się wdrapywać z powrotem na skałę. Cała mokra, klęła na czym świat stoi. Czowała, że zaraz zamarznie. Jednak wspinając się na głaz, znów się poślizgnęła i uderzyła kolanem o granit.

Nagle nad nią wyłonił się z mgły jakiś człowiek i podał jej rękę.

- Masz złe buty.

- Złe... - Podniosła wzrok na Owena Garrisona, przystojnego jak zawsze, suchego. - Ja tu tonę, a ty mówisz o moich butach?

- Już nie toniesz. W tych butach będziesz się ślizgać i potykać przez całą drogę do domu.

Były to wsuwane tenisówki za pięć dolarów, które kupiła sobie na lato. Jasnoczerwone. Śliczne. Nieprzeznaczone jednak do wędrówek po bezdrożach Maine.

Ujęła dłoń Owena i poczuła ciepło jego mocnego uścisku, kiedy wciągał ją na płytę skalną. Gdyby nie skorzystała z jego pomocy, mogłaby zrobić sobie jeszcze większą krzywdę - chociażby skrócić kostkę. Musiała być rozsądna.

- Przestraszyłeś mnie - powiedziała. - Dlatego wpadłam do wody.

Owen wzruszył ramionami.

- Wybacz. Skaleczyłaś się o skałę?

- Zadrapałam sobie rękę. To nic takiego. Zimno ją znieczuliło.

Cała dygotała. Nie spodziewała się, że prosty akt rozsypania popiołu przerodzi się w taką udrekę. Na domiar złego wciąż miała na sobie szorty i koszulkę, czyli swój strój podróżny. Nawet gdyby nie dała nura do wody, byłoby jej zimno.

Owen był w dzinsach i cienkim polarze w kolorze mgły i - co teraz zauważyła - jego oczu.

- Chcesz, żebym wyłowił to, co wpadło do wody?

- To tylko puszka z popiołem.

- Z kominka? Pokręciła głową.

- Przywiozłam ten popiół ze sobą...

- Abigail...

- Nie, nie, to nie są ludzkie prochy. - Nie zamierzała mu jednak wyjaśniać, że to spopielone resztki pisanych przez siedem lat pamiętników, które spłonęły poprzedniego dnia na grillu. - To popiół z czegoś, co spaliłam. Przyjdę po puszkę później.

Owen jednak skoczył już lekko na mokry występ skalny tuż nad powierzchnią wody. Po chwili wyłowił

puszkę, zrobił dwa duże kroki i był z powrotem przy Abigail - suchy i niezdyszany. Zauważyła, że ma trochę popiołu na ręce i polarze.

- Dzięki - powiedziała, biorąc od niego puszkę. - Muszę iść do domu i przebrać się w coś suchego.

Woda jest cholernie zimna.

- Ma trzysta stopni. Abigail skrzywiła się.

- Teraz to już naprawdę umieram z zimna. Co ty tu robisz?

- Usłyszałem cię i postanowiłem sprawdzić, co się dzieje.

- Ale nie wiedziałeś, że to ja?

- Nie.

Nic więcej nie powiedział na ten temat. Abigail wyminęła Owena, poślizgnęła się, zakłęła i poczuła jego dłoń na swoim ramieniu. Potem zazgrzytała zębami.

- Miałeś rację co do moich butów.

- Spacerowicze często się przewracają, bo nie zdają sobie sprawy, jak śliskie są skały.

- Ja nie spacerowałam, tylko odprawiałam rytuał oczyszczenia. Zresztą nieważne. - Westchnęła. -

Będziesz mnie trzymał za ramię przez całą drogę?

- Chyba że wolisz się ciągle przewracać.

Nie puścił jej ramienia. Całe szczęście, że nie miała przy sobie broni. Pistolet został w samochodzie.

Wcześniejsza determinacja, by jak najszybciej pozbyć się popiołu, opuściła Abigail, kiedy przeżyła szok z powodu upadku do lodowatej wody i niespodziewanego spotkania z seksownym sąsiadem.

Jedyne, czego teraz pragnęła, to przebrać się i pokrzepić gorącą zupą z małży.

Ponieważ jej przemoczone buty były zupełnie bez-

użyteczne, Owen bardziej niósł Abigail, niż podtrzymywał.

- Pomoczyłam cię - powiedziała, kiedy dotarli do ścieżki.

- Nie szkodzi. Kiedy przyjechałaś?

- Przed godziną.

Wskazał ruchem głowy puszkę.

- I od razu musiałaś iść rozsypać popiół?

- Potrzebuję tej puszeki na farbę. Chcę zrobić remont.

- Aha.

Zignorowała jego sceptycyzm.

- Nie wiedziałam, że jesteś w Maine.

- Przyjechałem przed kilkoma dniami. Fast Rescue otwiera szkołę ratownictwa w Bar Harbor. Mamy nadzieję, że kursy ruszą jesienią.

Abigail przypomniała sobie słowa tajemniczego rozmówcy.

*Coś się dzieje na Mount Desert.*

Działo się to, że organizacja Owena Garrisona otwierała szkołę ratownictwa. Czy tajemniczy rozmówca dowiedział się o tym z gazety albo Internetu? A może od kogoś ze swoich znajomych?

I jaki związek mogła mieć obecność Owena na wyspie i powstanie nowego ośrodka szkoleniowego ze śledztwem w sprawie zabójstwa Chrisa?

- Dlaczego akurat w Maine? - spytała.

- Bo Katie Alden świetnie się nadaje na dyrektora takiej szkoły. - Dotknął jej ramienia. - Musisz się przebrać. Ton jego głosu w połączeniu z otaczającą ich scenerią, zmęczenie Abigail, emocje i mgła-wszystko to sprawiło, że słowa Owena wywołały ciarki na jej plecach. Cofnęła się o krok na śliskiej trawie i zrzuciła buty. Potem wzięła je i ruszyła dalej bosą. Kiedy dotarli do schodów przed jej domem, odwróciła się.

- Dziękuję za pomoc.

- Drobiazg.

- Następnym razem będę przewidująca w doborze butów.

Wbiegła do środka i pognąła prosto do łazienki na górze. Chwyła ręcznik i zaczęła się nim wycierać, ale wtedy zobaczyła swoje odbicie w lustrze.

Jej czoło i policzki były umazane sadzą.

Oto jak skończyła się zabawa w doświadczonego, pewnego siebie detektywa z Bostonu.

Abigail wytarła twarz i wybuchnęła śmiechem.

Wracając skalistym brzegiem do domu, Owen zobaczył mewę znikającą we mgle i pomyślał o swojej nieżyjącej siostrze.

Doe chciała zostać ornitologiem.

*Czy to nie jest wspaniałe słowo? Owen, powiedz je. Ornitolog.*

Chociaż siostra Owena nosiła imię Dorothy, ich babcia - niezrównana Polly Garrison - nadała jej przydomek „Doe”\*, ponieważ dziewczynka była niezwykle zwinna i miała włosy w kolorze sierści łani.

A także niewinne oczy, pomyślał Owen.

Tak bardzo niewinne.

Kiedy wpadła do Atlantyku, ześlizgnąwszy się z mokrego, porośniętego drzewami urwiska na tyłach domu Browningów, dalej na cyplu, jej włosy wyglądały w wodzie jak wodorosty.

Owen był około dwudziestu metrów za siostrą. Kiedy dobiegł do krawędzi urwiska, fale zdążyły już

\* **Łania**

znieść ją kawałek od brzegu. Nie mogąc jej pomóc, próbował zawołać rodziców, kogokolwiek, lecz nie mógł wydobyć z siebie żadnego dźwięku, a nie miał gwizdka.

Poszedł za nią, ponieważ wybiegła z domu z płaczem. Chciał ją pocieszyć, bo po obiedzie mieli się wybrać na wędrowkę.

Pierwsi na pomoc pospieszyli Browningowie, którzy akurat przepływali tamtędy swoją łodzią do połowu homarów. Ale spóźnili się. Wszyscy się spóźnili.

Owen westchnął! i zdjął polar. Był spocony, mgła powodowała u niego wrażenie klaustrofobii. To zresztą była jedytna słabość, która przeszkadzała mu w pracy ratownika: źle się czuł w zamkniętych przestrzeniach. Z czasem nauczył się nad tym panować - skupiać całą uwagę na wykonywanym zadaniu.

W tym problem, pomyślał. Nie mam tu nic do roboty. Moje myśli mogą podążać, dokąd chcą.

Poza tym nigdy nie czuł się komfortowo, kiedy w pobliżu była Abigail Browning.

Stanął na szorstkiej, granitowej płycie skalnej nad samą wodą, przy wąskiej szczelinie, w której znalazł kiedyś o świcie ciało Chrisa Browninga. Zaczynał się wtedy pogodny lipcowy dzień. Niebo było różowo-lawendowe.

Najpierw znalazł łuski po nabojach - nieco dalej, w ruinach pierwszego domu, jaki zbudowała na tej wyspie jego rodzina. Nawet teraz, w gęstej mgle widział zarys częściowo ocalałego komina. To była doskonała kryjówka dla zabójcy Chrisa.

Potem zabójca mógł bez trudu przekraść się przez las do drogi dojazdowej, gdzie czekał na niego ukryty wśród drzew samochód albo rower, a może nawet wspólnik. Kto by go zauważył?

Chris był agentem FBI i znał wyspę jak mało kto.

Zbyt długo nikomu nie przyszło do głowy, że może być w tarapatach.

Jego ciemnooka żona, ranna w głowę, ledwo trzymająca się na nogach, odnalazła miejsce zbrodni instynktownie - tak jakby martwy Chris ją tam przywołał, żeby położyć kres jej niepewności.

*Znajdę zabójcę mojego męża.*

Owen nigdy nie wątpił w słowa Abigail. Już wtedy, gdy wbiła palce w jego ramiona, kiedy ją trzymał, nie pozwalając podejść do męża, bo mogła niechcący zatrzeć ślady zbrodni, wierzył w jej determinację.

Ona się nie podda. Nie ona, Abigail March Browning.

A teraz wróciła na wyspę.

Owen nie dał się zwieść pozorom - umazanej sadzą twarzy, śliskim butom ani kąpieli w oceanie.

Abigail była twardym i niezłomnym detektywem.

Nie przyjechała do Maine, żeby wyremontować dom ani rozsypać popiół. Przyjechała z tego samego powodu, co zawsze - z powodu, dla którego przez siedem lat nie sprzedała domu i nie przecięła więzów łączących ją z wyspą.

Przyjechała, żeby znaleźć zabójcę Chrisa.

Owen odwrócił się plecami do oceanu i skierował w stronę ścieżki wiodącej do jego domu. W ruchomej mgle świerkowe gałęzie i stare ruiny wyglądały nienaturalnie i złowieszczo.

Nic dziwnego, że chłopcom wydawało się, że zobaczyli ducha.

W Maine roiło się od duchów. Owen nie zamierzał pozwolić, żeby przepędziły go z tej wyspy.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

*Widzę jego oczy, kiedy pociągam za spust. Widzę je, chociaż jest dość daleko ode mnie. Są szeroko otwarte. Wyzywające. Świadome.*

*Wypowiada imię żony, ale tylko ja jestem wystarczająco blisko, żeby go usłyszeć pośród szumu wiatru i fal.*

*„Abigail”.*

*Woła jej imię, ponieważ ją kocha. A nie dlatego, że myśli, że to ona do niego strzeliła.*

*On wie, że to ja.*

*Trochę mnie to martwi.*

*A trochę cieszy.*

*Tak, to ja, bezczelny draniu.*

*Kiedy po raz drugi pociągam za spust, odczuwam ulgę. Już nic mi nie grozi. Stało się to, co musiało się stać.*

*Nie sądzę, by jego żona tropiła mnie bez końca. Nie sądzę, by pociągnięcie za spust oznaczało dla mnie wyrok, psychiczną udrękę.*

*Siedem lat.*

*Abigail nigdy się nie podda. To było słyszeć w jej głosie podczas naszej rozmowy telefonicznej. Poszła na kolację w kolejną rocznicę ślubu. Te coroczne, samotne kolacje stały się już dla niej tradycją.*

*To było celowe - telefon w tamten wieczór.*

*Nie jestem potworem. Nie zabijam, kogo popadnie.*

*Zabijam, żeby rozwiązać problem, którego w inny sposób nie da się rozwiązać.*

*Zabijam, kiedy muszę.*

*Nie sprawia mi to przyjemności.*

*Nie wywołuje jednak wyrzutów sumienia.*

*Abigail*

*Kochał ją.*

*Ona kochała jego.*

*Co Chris wiedział o miłości?*

*Co wie o niej Abigail?*

*Ale ona dowie się, czym jest miłość.*

*Gwarantuję.*

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

*Słuchaj, Linc. Daję ci tylko jedną szansę.*

Linc Cooper spojrział przez wysokie świerki na rozpościerający się w dole Ocean Atlantycki. Był jasny, chłodny poranek. Słońce przeganiało resztki mgły. Młodzieniec stał na zygzakowatych schodach, które Edgar Garrison wykuł w granitowym zboczu za swoim domem prawie sto lat wcześniej. Kiedyś wiodły do staromodnego pawilonu herbacianego, a obecnie - do domu, wzniesionego przez Garrisonów po pożarze ich poprzedniej letniej rezydencji, usytuowanej niżej, nad samym oceanem.

Nowy dom - z elewacją z niebiesko-szarych desek i z czarnymi okiennicami - był mniejszy i skromniejszy od poprzedniego, ale Linc, który nie widział nawet zdjęć pierwszego domu Garrisonów, nigdy nie lubił tego drugiego.

Jako dziecko uwielbiał za to bawić się na wyrytych w skale schodach, choćby dlatego, że nikt go tam nie widział. Jego wuj, Ellis, uważał dom za swój, ale

formalnie stanowił on własność ojca Linca, Jasona Coopera.

Wszystko należy do ojca, pomyślał Linc. Jason Cooper był bystry, odpowiedzialny i bezwzględny. Natomiast jego młodszy, przyrodni brat Ellis był osobą spokojniejszą i mniej obrotną, choć niepozbawioną ambicji - po prostu miał skromniejsze potrzeby i wymagania.

*Nikommu nie daję drugiej szansy. Pamiętaj o tym.*

Kiedy przed laty Chris wyłonił się z ciemności i położył rękę na ramieniu Linca, ten zsiąkł ze strachu w spodnie. Chris był nieugięty.

Linc nigdy nie przeżył takiego wstydu jak wtedy, gdy jako trzynastoletni chłopiec spojrzął w oczy swojego idola i wyczytał z nich, że on o wszystkim wie.

*Nie musisz niczego udowadniać, Linc. Ani mnie, ani swojemu ojcu i siostrze.*

Chciał być taki jak Chris Browning. To nic, że Chris miał dużo więcej lat. Chciał być samodzielny, zaradny. Chris nie mógł liczyć na pieniądze rodziny. Jego rodzice umarli, kiedy był małym chłopcem. Sam musiał do wszystkiego dojść.

*Jakim człowiekiem chcesz być?*

Linc usiadł na kamiennej ławeczce na wąskim podejściu stromych schodów. Ileż to razy myślał o tym, żeby odnaleźć Abigail Browning i powiedzieć jej wszystko, co wie o wieczorze poprzedzającym napad na nią i zabójstwo jej męża?

Powiedzieć, co zrobił jako głupi dzieciak przed siedmiu laty.

Usłyszał nad sobą kroki na schodach i spojrzął w górę. Właśnie wtedy w polu jego widzenia znalazł się Mattie Young - przyjaciel Chrisa, ogrodnik Cooperów, miejscowy pijaczyna. Menda.

Mattie wylądował na podeście, przeskoczywszy dwa najniższe stopnie.

- Cześć, Linc. - Wyszczrzył zęby w sarkastycznym uśmiechu, zadowolony z siebie. - Co za spotkanie!

To spotkanie nie było jednak dla niego żadnym zaskoczeniem. Sam powiedział Lincowi, kiedy, gdzie i po co mają się widzieć. Poza tym zagroził konsekwencjami niestawienie się w umówionym miejscu. Żeby utrzyć Mattiemu nosa, Linc postanowił podkreślić różnicę w ich statusie społecznym. Włożył więc na spotkanie drogi sweter i spodnie khaki. Mattie przyszedł prosto z pracy, czyli z ogrodu Ellisa, ale nawet gdyby nie to, i tak wyglądałby jak nieszczęście. Jego tłuste, strąkowate włosy były związane w kucyk. Miał na sobie poplamiony t-shirt i porwane dżinsy, które na nim wisiały z racji jego mizernej postury.

Wyciągnął z tylnej kieszeni spodni paczkę papierosów i stuknął w nią palcem, żeby wysunął się papieros.

- Twój szalony stryj kazał mi przesadzić rododendron. Uważa, że tam, gdzie jest teraz, nie rozkwitnie. Nie podzielam tych obaw. - Wetknął papierosa do ust. - A co ze mną? Ja też chcę rozkwitnąć.

- To przestań palić. Powinno pomóc.

- Ej, żartowniś, czyżbyś zapomniał o swojej sytuacji?

Linc zacisnął zęby.

- Nienawidzę cię. Mattie roześmiał się.

- Z wzajemnością. Przez ciebie zginął mój najlepszy przyjaciel...

- Najlepszy przyjaciel? Nie pofatygowałeś się nawet na jego ślub. Spałeś w jakimś rowie, obaliwszy wcześniej dwie butelki taniej gorzały.

- Ano spałem. - Mattie zapalił papierosa za

pomocą małej zapalniczki, zaciągnął się głęboko, a potem schował zapalniczkę i papierosy do kieszeni. - Masz forszę?

- Tysiąc dolarów. Nie mogę zdobyć od razu dziesięciu, nie budząc podejrzeń. Mówiłem ci...

- Pokaż tego tysiąka.

Linc sięgnął do leżącego u jego stóp plecaka i wyjął z niego zaklejoną kopertę. Przewracało mu się w żołądku. Na plecach pojawił się pot. Nie mógł uwierzyć, że robi coś takiego, ale nie miał wyboru. Zwłaszcza teraz, gdy jego siostra, Grace, spodziewała się nominacji na wysokie stanowisko w Departamencie Stanu.

Podał kopertę Mattiemu.

- Śmiało. Przelicz, jeśli chcesz. Nie brakuje ani centa.

- To zbyt wiele. Jeśli kłamiesz, złożę ci wizytę w domu.

- Jesteś kanalią. Nie wiem, co Browningowie w tobie widzieli. To byli dobrzy ludzie. Ty jesteś śmieciem.

Tym razem wyjątkowo Mattie nie wpadł w złość i nie próbował się bronić.

- Chris i jego dziadek widzieli nie tylko moje błędy. Potrafili dostrzec, jaki jestem naprawdę. Zamierzam wrócić do fotografowania. - Złożył pękata kopertę na pół i ścisnął w dłoni, jakby zawierała nie tyle pieniądze, ile panaceum na jego problemy. - Twoje pieniądze nie zmarnują się. Dla ciebie to będzie pokuta, a dla mnie nowy początek.

- Tak naprawdę jesteś zwykłą szumowiną - rzucił z pogardą Linc. - Zawsze nią byłeś i będziesz.

- Nigdy nie okradłem ludzi, którym na mnie zależało.

Linc poczuł palący wstyd.

- Skoro jesteś taki szlachetny, to dlaczego nie

chcesz powiedzieć policji, co wiesz? O mnie. O włamaniach. Po co mnie szantażujesz?

- Taki człowiek jak ja nie dostaje od losu wielu szans.

- Czemu tak długo czekałeś?

- Nie chciałem przyciskać do muru nastolatka. Teraz jest odpowiedni moment. Nie pójdziesz na policję, kiedy twoja siostra ma objąć tak ważną posadę. - Mattie uśmiechnął się. Znów był w świetnym nastroju. - Jak myślisz? Co powiedziałyby Grace, widząc teraz swojego młodszego braciszka?

Linc wołał nie myśleć o rozczarowaniu, jakie przeżyłaby siostra. Osiemnaście lat od niego starsza, bardziej ciocia niż siostra, była jedynym dzieckiem ich wspólnego ojca i jego pierwszej żony. To małżeństwo skończyło się tego samego lata, podczas którego utonęła Doe Garrison. Linc i Grace nie mieli innego rodzeństwa. Mieli tylko siebie.

Mattie wypuścił dym nosem.

- Spokojnie, młody. Nie jestem chciwy. Kiedy dostanę dziesięć tysięcy, będziemy kwita.

Mattie miał czterdzieści dwa lata, ale wyglądał na starszego. Grace powiedziała Lincowi, że pamięta czasy, kiedy był utalentowanym, obiecującym fotografikiem. Ale Mattie Young już dawno wkroczył na ścieżkę autodestrukcji.

- Zwróciłem to, co ukradłem - powiedział niepewnym głosem Linc. - Dlaczego mnie dręczysz?

- A czemu nie miałbym tego robić? - Mattie spojrział na niego wymownie. - Czy ty siebie nie dręczysz?

Linc nie odpowiedział.

- Poza tym nie zwróciłeś wszystkiego. Naszyjnik Abigail nigdy nie wrócił do właścicielki.

- Już ci mówiłem. Nie ukradłem go. Nie uderzyłem Abigail. Nie zabiłem Chrisa.  
- Kto ci uwierzy, jeśli nie potrafisz udowodnić, kto ukradł naszyjnik, uderzył Abigail i zabił Chrisa?  
- Mattie rzucił na ziemię wypalonego do połowy papierosa i przydeptał go podeszwą ciężkiego buta. -  
Muszę się teraz zająć rododendronem twojego stryja. Zdobądź resztę pieniędzy. Chcę je mieć  
najpóźniej za dwa dni. Całą sumę.  
- Zdobędę je tylko po to, żeby zobaczyć, jak je przepuszczasz.  
- Po co ta złość? Ona zje cię żywcem.  
- Mam nadzieję, że się udusisz własnymi wymiocinami.  
Mattie wzruszył ramionami.  
- Nie ty jeden. - Przykucnął, podniósł zdeptany niedopałek i wstając, schował go do przedniej  
kieszeni. - Lepiej nie zostawiać śladów. Twój stryj nie pozwala mi palić na terenie posiadłości.  
Pamiętasz, co masz powiedzieć, jak twój stryj, ojciec lub siostra dowiedzą się o pieniądzach?  
Linc był już zmęczony tą kłótnią.  
- Ze kupiłem twoje stare fotografie.  
- Bardzo dobrze. - Mattie uśmiechnął się. - Do zobaczenia wkrótce.  
Kiedy szantażysta poszedł, Linc odwrócił się w stronę oceanu i spojrzał w dół niemal pionowego  
zbocza. Półki skalne, mech, nagie korzenie drzew - świerków, sosen, jodeł, kilku buków i brzoź - trzy-  
mały się kurczowo stromej ściany, pokrytej cienką warstwą kwasowej gleby.  
*To mój miesiąc miodowy, Linc. Nie chcę, żeby zakłóciły go twoje wybryki.*  
Linc wziął płytki oddech. Czuł się pusty i niespeł-

niony. Miał dwadzieścia lat i niczego jeszcze nie osiągnął. Był dobry tylko w grach wideo i wylatywaniu z kolejnych szkół.

A także w błaganiu ojca o przebaczenie.

I w chronieniu siostry przed rozczarowaniem.

Czy Grace dostałaby nominację, gdyby świat dowiedział się, co Linc robił przed siedmiu laty i że teraz płacił szantażyście? FBI prześwietlało właśnie przeszłość jego siostry. Mogło to potrwać kilka miesięcy. Grace błagała brata, żeby nie rozrabiał. Między innymi dlatego Linc zdecydował się spędzić lato na Mount Desert.

Ale przed trzema dniami, kiedy Mattie Young zażądał od niego za milczenie dziesięciu tysięcy dolarów, wszystko się skomplikowało.

*Wierzę w ciebie. Nie zawieź mnie.*

Wielokrotnie, w chwilach największego zwątpienia Linc przypominał sobie słowa Chrisa. Dodawały mu otuchy. Pomagały się podźwignąć po porażkach.

Linc wiedział, co doradziłby mu w tej sytuacji jego nieżyjący przyjaciel.

Wyznaj wszystko.

Nie pozwól, żeby Mattie tobą manipulował. Linc nie był jednak do tego zdolny. Bał się powiedzieć o szantażu i o tym, co do niego doprowadziło.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Grace Cooper stąpała ostrożnie w bujnej trawie, jakby nie chciała zostawić żadnych śladów.

- Ellis włożył wiele wysiłku w to, by ogród wyglądał naturalnie. To brzmi jak sprzeczność, prawda? Abigail uśmiechnęła się, spacerując z przyjemnością po nagrodzonym w niejednym konkursie ogrodzie.

- Wszystko jest tutaj takie piękne. Ja miewam problemy z utrzymaniem przy życiu doniczkowej pelargonii.

- Znam ten ból - powiedziała ze śmiechem Grace. Ellis przesadzał z Mattiem Youngiem jakiś krzew, więc poprosił bratanicę, żeby zajęła się niespodziewanym gościem - żeby oprowadziła Abigail po ogrodzie. Grace, trzydziestoosmioletnia blondynka o wyrazistych rysach, wciąż imponowała urodą. Największe wrażenie robiły jej błękitne oczy. Była osobą uprzejmą, ale zachowującą wobec ludzi pewien dystans.

Różne rośliny wieloletnie i jednoroczne, których barwy i kształty to kontrastowały ze sobą, to uzupeł-

niały się nawzajem, połyskiwały w słońcu rześkiego poranka. Abigail przysła tam pieszo, ledwie już pamiętając o swojej eskapadzie z poprzedniego dnia-tej, w której główne role odegrali popiół i Owen Garrison.

Grace pochyliła się i musnęła koniuszkami palców piękną, ciemnoróżową naparstnicę.

- Ten ogród to duma i radość Ellisa. Niełatwo mu będzie się z nim rozstać.

- Rozstać?

- Och! Myślałam, że już o tym słyszałaś. Sprzedajemy posiadłość.

- Tę? - Abigail nie próbowała ukryć zaskoczenia. - Nie słyszałam.

Grace doskonale wiedziała, że Abigail o tym nie słyszała. Chciała jej w ten sposób przypomnieć, że nie wie o Cooperach wszystkiego. Abigail nie miała złudzeń co do swoich relacji z tą rodziną. Nie były wrogie, ale Cooperowie zdawali sobie sprawę, że Abigail stara się śledzić każdy ich krok i że robi to z powodu ich dawnych związków z Chrisem. Znali go przez całe życie. Ellis urządził przyjęcie w dniu, w którym Abigail została napadnięta i okradziona, a Chris - zabity. Ktoś obrabował tamtego lata nie tylko ich, ale także sporą garstkę ich przyjaciół. Nadal jednak nie było wiadomo, czy to ta sama osoba, która zaatakowała Abigail i ukradła jej naszyjnik.

- To dobry moment - podjęła Grace. - Linc i ja dorośliśmy, a nasz ojciec spędza tu tylko kilka tygodni w ciągu roku. Utrzymywanie dwóch posiadłości na jednej wyspie nie ma już sensu.

- Czemu nie sprzedacie tej nad Somes Sound? Grace wzruszyła ramionami, przechodząc między kępami żurawki krwistej i złocieni różowych.

- Znajduje się nad samą wodą i należy do naszej

rodziny znacznie dłużej. Ellis nie sprzeciwia się tej decyzji. Myślę, że chce kupić własny dom. Jest sporo młodszy od mojego ojca. Nie miał pieniędzy, kiedy ojciec kupował posiadłość Garrisonów.

- Nie będzie mu brakowało tego ogrodu?

- Przypuszczam, że trochę tak, ale on uwielbia projektować ogrody. Na pewno chętnie popracuje nad czymś nowym. Tutaj nie może już dużo zrobić.

- Ale propozycja sprzedania domu nie wyszła od niego?

- Ma zaufanie do mojego ojca w tych kwestiach. - Grace zatrzymała się na chwilę, uśmiechnęła, po czym ruszyła w kierunku skapanej w słońcu części ogrodu, w której dominowały peonie. - Wszyscy ufamy mojemu ojcu.

- To inteligentny człowiek - powiedziała Abigail.

- Owszem. A co ty tutaj robisz?

- W Maine? Chcę odmalować dom. - Abigail uzgodniła z Lou Beelerem, że ograniczą do minimum liczbę osób, którym powiedzą o anonimowym telefonie. - Byłam już dzisiaj w sklepie z farbami.

- Świetnie. Mam nadzieję, że któregoś dnia wpadniesz do nas na obiad. Tata na pewno chciałby się z tobą zobaczyć. Poza tym jest tu Linc...

- Widziałam go na schodach. Rozmawiał z Mat-tiem, kiedy ten palił papierosa.

Grace przewróciła oczami.

- Mattie wie, że Ellis nie pozwala palić na terenie posiadłości. No cóż, Linc go nie wyda.

- Ja też. Nie chcę nikomu sprawiać kłopotów.

- Na pewno? - wyraziła wątpliwość Grace, ale potem szybko dodała: - Muszę już iść. Mam do wykonania kilka telefonów. Możesz spacerować po

ogrodzie tak długo, jak chcesz. Sprawisz tym Ellisowi przyjemność.

- Gratuluję nominacji. Grace rozpromieniła się.

- Dziękuję. Jestem taka podekscytowana. Nie mogę się doczekać, kiedy zacznę nową pracę. - Ruszyła w stronę domu swojego stryja, po czym przystanąła i spojrzała przez ramię. - Cieszę się z naszego spotkania. Naprawdę.

Abigail skierowała się do małej szopy na końcu ogrodu. Dojrzałe zioła i wysokie polne kwiaty sięgały małych okienek z czterema szybkami. Polly Garrison jako młoda mężatka, nieoswojona jeszcze z Maine ani z zamożnością Garrisonów, chciała tam pewnie hodować kury.

Abigail zajrzała za szopę - rzeczywiście w ścianie był zasłonięty deską otwór wielkości kury. Mattie Young przywłókł pod szopę szlauch.

- Cześć, Abigail, co u ciebie?

- Wszystko dobrze. Piękny dzień. A u ciebie?

- Zarabiam na życie.

- Właśnie rozmawiałam z Grace. Nie wiedziałam, że Cooperowie chcą sprzedać posiadłość.

- Nie Cooperowie, tylko Jason.

- Ale Ellis...

- On nie ma nic do gadania. Nie waży się sprzeciwić swojemu braciszкови. - Mattie zwinął szlauch i położył pod kranem przy rogu szopy. - Mnie tam wszystko jedno. Nowi właściciele też będą potrzebowali ogrodnika.

Abigail nie skomentowała tych słów. Już dawno straciła cierpliwość do chronicznego zgorzknienia i cynizmu Mattiego. Nawet Chris, który długo pozostawał wierny swojemu przyjacielowi z dzieciństwa mimo

jego kolejnych pijackich wyskoków, skreślił w końcu Mattiego, kiedy ten nie pojawił się na ślubie.

- Nie wiedziałam, że Linc tu jest. Rozmawialiście...
- Wolno nam rozmawiać! - przerwał jej Mattie, ale szybko się pohamował. - Przepraszam. Po prostu... jesteś gliną. Zawsze, gdy z tobą rozmawiam, mam wrażenie, że jestem przesłuchiwany.
- To zrozumiałe - powiedziała neutralnym tonem. Mattie podrapał się po nadgarstku, w który ukąsił go komar.
- Linc jest jakiś nieswój. Chyba nie podoba mu się, że ojciec sprzedaje posiadłość. Odkąd pamięta, należała do jego rodziny. Nie sięga czasów, kiedy właścicielami byli Garrisonowie.
- Nie przyszło mi to do głowy. Ale przecież dom Cooperów nad Somes Sound jest większy i bardziej okazały...
- Myślisz, że nie wiem? - Mattie wyszczerzył zęby, ale ani na jotę nie zmienił swojej cierpiętniczej postawy. - Co tydzień koszę tam trawę.

Przyłączył się do nich tęgawy Ellis Cooper. Był schludnie ubrany - w spodnie khaki i jasnoniebieską koszulkę golfową. Trzymał pod pachą składaną laskę do chodzenia. Jego ulubionym zajęciem było spacerowanie po dwóch hektarach ogrodu. Poza tym w pobliżu przechodziły szlaki leśne prowadzące do Akadii. Była też ścieżka, która wiodła skalnymi schodami w dół, a potem nad ocean, przecinając drogę dojazdową. Posiadłość obejmowała również skały, przy których utonęła Doe Garrison. Ellis mógł spacerować do woli.

- Abigail, przepraszam, że dopiero teraz przyszedłem się przywitać. Chciałem najpierw skończyć pracę w ogrodzie i trochę się odświeżyć. - Wyciągnął rękę i uściśnął serdecznie jej dłoń. - Cudownie cię widzieć.

- Ciebie też, Ellis. Twój ogród nigdy jeszcze nie wyglądał tak pięknie.
  - Wiosna była chłodna. Wszystko zakwitło równocześnie. Grace cię oprowadziła?
  - Tak. Nie chcę dłużej zwracać ci głowy. Czy Linc jest gdzieś tutaj? Nie miałam okazji się z nim przywitać...
  - Poszedł\* gdzieś kilka minut temu - oznajmił Mattie.
- Ellis wydawał się lekko zirytowany, że ogrodnik wtrącił się do ich rozmowy, ale wziął Abigail pod rękę i się uśmiechnął.
- Odprowadzę cię. Weszłaś po schodach, prawda? Bałem się, że mgła utrzyma się kilka dni, ale zniknęła tak szybko, jak się pojawiła.
- Kiedy doszli do domu, Abigail uśmiechnęła się do Ellisa.
- Byłbyś niezłym wykidajką. Roześmiał się.
  - Jestem tylko doradcą politycznym i ogrodnikiem.
  - Nie wiem, jak dobrym jesteś doradcą, ale ogrodnikiem znakomitym.
  - Grace mówiła ci, że chcemy sprzedać posiadłość? Mógłbym pracować w tym ogrodzie bez końca, ale z drugiej strony pociąga mnie perspektywa stworzenia czegoś nowego. Pielęgnowanie dwuhektarowego ogrodu to nie przelewki. Przez ostatnie kilka lat udało się nadać mu naturalny charakter, ale wciąż jest dużo do zrobienia.
  - Robicie z Mattiem wszystko sami?
  - Od czasu do czasu przywożę fachowców. A Mattie... Sama wiesz, jaki on jest. Przykłada się do roboty tylko na tyle, bym nie mógł go zwolnić. Ale teraz chyba nie pije. W sumie jest mi go żal. -
- Wyraz twarzy

Ellisa wyraźnie złagodniał. - Bardzo przeżył śmierć Chrisa. Potem już nigdy nie był taki jak wcześniej.

- Wrócił do picia, zanim zabito Chrisa.

- To prawda, ale tamtego lata można było u niego zauważyć pewną zmianę na lepsze, tak przynajmniej większość z nas sądziła. Trudno uwierzyć, że minęło siedem lat. Jason uważa, że to wystarczająco długi okres, by to, co się wtedy wydarzyło, nie odstręczało potencjalnych nabywców. Chris nie zginął na terenie posiadłości, ale jednak w jej pobliżu... - Urwał, bo zrobiło mu się głupio. - Wybacz, Abigail. Dla ciebie to pewnie jest jak wczoraj. Nie chciałem...

- Spokojnie, Ellis. Nic się nie stało.

Abigail przywykła do tego, że ludzie peszyli się w jej towarzystwie. Zastanawiała się, czy byłoby inaczej, gdyby wyszła powtórnie za męża albo nie owdowiała tak młodo.

Pożegnała się z Ellisem i poszła zacienioną kamienną ścieżką, wiodącą wśród tymianku do skalnych schodów. Pomyślała o ekscentrycznym pradziadku Owena, który nie żałował czasu, pieniędzy i energii, żeby wykuć schody w granitowym zboczu tylko po to, by można było nimi dotrzeć do pawilonu herbacianego. Pod względem zamożności dalece ustępował niektórym swoim sąsiadom z Maine, takim jak chociażby Rockefellerowie, ale miał wizję i optymizm, czyli to, co zdaniem wielu posiadał także jego prawnuk. Abigail wątpiła jednak, by pięciocentymetrowabliżnapod okiem Owena Garrisona była pamiątką po bójce barowej.

Kiedy schodziła zygzakowatymi schodami, muskana delikatnymi podmuchami wiatru, zastanawiała się, czy ona również nie powinna sprzedać swojego domu na Mount Desert. Czy po odejściu na emeryturę Lou Beelera miejscowi detektywi będą chcieli za-

przątać sobie głowę morderstwem sprzed siedmiu lat? Kto zaangażuje się w to śledztwo tak jak on? Może już należało pożegnać się z Maine?

Odepchnęła od siebie tę myśl i zeskoczyła z ostatniego schodka na wąską, zadbaną, prywatną drogę. Owen i Cooperowie płacili za jej utrzymanie. Nigdy nie przysłali Abigail nawet najmniejszego rachunku. Byli tak dobrze sytuowani, że nie musieli nikomu wynajmować swoich domów. Abigail musiała. Gdyby nie wynajmowała domu kolegom z policji, nie byłoby jej stać na zapłacenie podatku, opłat za media i pokrycie kosztów koniecznych napraw.

Chris nigdy nie dbał o pieniądze i pozycję społeczną. Przed jego śmiercią wszyscy wiedzieli, że jego przyszły teść zostanie niebawem dyrektorem FBI. Dla Chrisa nie miało to żadnego znaczenia - po prostu nie myślał takimi kategoriami.

Ale inni tak. Abigail często zastanawiała się, czy sąsiedzi Chrisa z Mount Desert akceptowali go w takim samym stopniu jak on ich.

*Tylko ciebie boi się zabójca.*

A czy bał się Chrisa?

Abigail przeszła na drugą stronę cichej, ustronnej drogi i znalazła się w miejscu, z którego rozchodziły się dwie alejki dojazdowe - jedna prowadziła do domu Owena, a druga do jej domu. Ruszyła nią. W miarę zbliżania się do oceanu czuła coraz mocniejsze podmuchy wiatru.

Przyjechała na wyspę z czymś w rodzaju misji, ale bez konkretnego planu.

A właśnie planu potrzebowała teraz najbardziej.

Postanowiła, że wymyśli go podczas malowania.

Linc Cooper chodził nerwowo po tarasie Owena. Zaczynał coś mówić, a potem znów przerywał. Owen próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio z nim rozmawiał. Minęły od tego czasu co najmniej dwa lata. Linc opuścił wtedy Uniwersytet Browna, a raczej został z niego usunięty. Był inteligentny, więc sądzono, że w końcu weźmie się w garść.

Lincoln James Cooper miał wszystko, pomyślał Owen, oprócz tego, czego każde dziecko potrzebuje najbardziej - rodziny, która by w niego wierzyła i uważała za kogoś więcej niż spóźnionego potomka. Oczekiwano, że Linc będzie żył sukcesami i marzeniami ojca i siostry. Nikogo nie interesowało, czy ma własne. Zresztą nie wynikało to ze złych intencji. Po prostu takie w tej rodzinie panowały reguły. Rodzina Owena była mniej wymagająca. „Tylko się nie zabij” - mówiono mu.

W końcu Linc klapnął na drewniane krzesło i spojrzał na Owena, ale nie w jego oczy.

- Chciałbym, żebyś mi przekazał swoją wiedzę i umiejętności, nauczył mnie ratować ludzi. Podobno masz teraz dużo wolnego czasu.

- Linc...

- Zapłacę ci. Jesteś najlepszy, Owen. Chcę się od ciebie uczyć.

- Nie chodzi o pieniądze. Zgłoś się do szkoły ratownictwa. Będziemy prowadzili różne kursy.

Chłopak pokręcił głową, z miejsca odrzucając tę propozycję.

- Odpada. Rodzina nigdy się nie zgodzi, żebym dojeżdżał z uczelni na kurs ratownictwa.

- Skąd wiesz? Poza tym jesteś pełnoletni...

- Myślisz, że to ma jakieś znaczenie? - Linc rozparł się na krześle i wysunął przed siebie nogi,

robiąc zrezygnowaną minę. - Moja rodzina nie jest taka jak twoja. Ja nie mogę pójść własną drogą.

- Możesz. Przecież przyszedłeś do mnie z tą sprawą.

- Niech ci będzie.

Owen uśmiechnął się do dwudziestolatka.

- Nie poddawaj się tak łatwo. Jeśli się ze mną nie zgadzasz, walcz o swoje...

- Nie chcę o nic walczyć. - Nagle z jego oczu popłynęły łzy. Zerwał się z krzesła, odwrócił plecami do

Owena i popatrzył na ocean. - Mam dość bycia ofiarą losu.

- Pojedź się przebrać. - Owen zerknął na zegarek. - Spotkamy się tu o pierwszej i pójdziemy na wycieczkę.

- Nie musisz...

- Jeśli się spóźnisz, pójdę sam.

Linc zeskoczył z tarasu i pobiegł do swojego zdezelowanego auta. Jego podły nastrój, rozdrażnienie i de-fetyzm jakby się ulotniły. Owen pamiętał czasy, kiedy miał dwadzieścia lat. Postępował wbrew oczekiwaniom rodziny, ale ona rozumiała jego potrzebę odnalezienia własnej drogi w życiu.

Popatrzył na nurkującego do wody kormorana. Nie wiedział, dokąd zabierze Linca, ale miał ochotę na wędrowkę po wyspie. Spotkanie z Abigail - świadomość, że ta kobieta mieszka teraz zaledwie kilkaset metrów od niego - wzbudziło w nim niepokój.

Nic, co dotyczyło Abigail, nie było proste.

Z wyjątkiem jej determinacji, by znaleźć zabójcę męża. To akurat było oczywiste i niezmiennie.

Właśnie dlatego przyjechała znowu na Mount Desert.

To był jedyny powód jej przyjazdów.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Abigail usiadła na drewnianej ławce naprzeciwko Lou Beelera w małym portowym barze. Stary detektyw, który przybył tam wcześniej, miał już przed sobą kubek z czarną kawą.

- Dziękuję, że przyszedłeś - powiedział.
- Cieszę się, że zadzwoniłeś. Właśnie położyłam w holu pierwszą warstwę.
- Mówisz o malowaniu? Kiwnęła głową.
- Dzięki niemu lepiej mi się myśli.
- A poza tym nie pakujesz się w kłopoty. Kelnerka o twarzy nałogowego palacza przyszła, żeby przyjąć zamówienie.
- Poproszę to samo, co Lou - powiedziała Abigail. Kobieta uniosła brwi.
- Półmisek rybaka?

Abigail spojrzała na starszego detektywa.

- Jakim cudem jesteś szczupły, skoro zamawiasz takie dania? - Potem zwróciła się do kelnerki: - Poproszę bułkę z krewetkami, frytki i mrożoną herbatę.

Kelnerka odeszła bez słowa. Lou odchylił się do

tyłu i popatrzył na Abigail. Szczerść była czymś, czego zawsze mogła się po nim spodziewać. Poważne przestępstwa popełniane poza obrębem miast Portland i Bangor podchodziły pod jurysdykcję wydziału kryminalnego policji z Maine. Lou Beeler sumiennie wykonywał swoją pracę co najmniej tak długo, jak Abigail żyła, i znał ten fach od podszewki. Dobrze się rozumieli. Lou współczuł jej jako wdowie po ofierze zabójstwa i szanował ją jako detektywa, ale to wcale nie znaczyło, że kiedykolwiek podzielił się z nią informacjami ze śledztwa w sprawie śmierci Chrisa. Abigail nie sądziła, by Lou dużo przed nią zataił. Chodziło głównie o balistykę - nigdy jej nie powiedział, co wie o broni, z której strzelano. Na jego miejscu Abigail postąpiłaby tak samo. Podejrzewała jednak - mimo sporej odległości i dużej precyzji strzału - że zabójca strzelał z broni krótkiej.

Zawsze wydawało jej się, że te dwa przestępstwa sprzed siedmiu lat, włamanie i morderstwo, nie pasują do siebie. Tu cios w głowę i kradzież naszyjnika. Tam morderca czekający w ukryciu na swoją ofiarę. Jedno z drugim nie mogło mieć nic wspólnego. Ale czy na pewno?

Jeśli nic się nie zmieni, Lou Beeler odejdzie na emeryturę, zanim sprawa zabójstwa mieszkańca wyspy Mount Desert, agenta FBI, Christophera Browninga, zostanie rozwiązana.

To musiało ciążyć staremu detektywowi. Abigail liczyła więc, że tego lata wyciągnie od niego jakieś informacje.

- Nic nie wiem o człowieku, który do ciebie dzwonił - oznajmił Lou.

- Nie dziwię się. Ktokolwiek to był, umiejętnie

zatarł ślady. Nie wiemy nawet, czy to mężczyzna, czy kobieta.

Kelnerka wróciła ze szklanką mrożonej herbaty i dzbankiem, z którego dołała Lou kawy. Abigail posłodziła herbatę, która wyglądała na mocną, ale nie świeżo zaparzoną.

- Jestem tu niecałą dobę i już zdążyłam ustalić, że dookoła sporo się dzieje. Na wyspie jest Owen Garrison. Jego organizacja, Fast Rescue, otwiera w Bar Harbor szkołę ratownictwa. Grace Cooper zaproponowano wysokie stanowisko w Departamencie Stanu, które obejmie, kiedy FBI dokładnie ją prześwietli. Jest tu także Linc Cooper, a Jason Cooper sprzedaje dom swojego brata.

- Nie próżnowałaś - rzekł Lou.

- Byłam parę razy na spacerze i odwiedziłam sąsiadów.

- Jeśli chcesz, żebym wyraził zgodę na twoje prywatne śledztwo w sprawie tego telefonu, to proszę bardzo. Wiesz, co ci wolno, a czego nie.

Podano jedzenie. Półmisek ze smażonymi owocami morza, który zamówił Lou, był tak wypełniony, że część krewetek spadła na stół. Lou nadziewał je na widelec, maczał w sosie tatarskim i wkładał do ust.

- Niesamowite, w domu nie da się tak przyrządzić owoców morza.

- To chyba dobrze, nie sądzisz? Im mniej pokus, tym lepiej. - Abigail pozwalała sobie na takie uczy tylko raz w roku. - Czy Doyle Alden zaszczyci nas w końcu swoim towarzystwem?

- Będzie tu lada chwila. Ale ostrzegam, nie jest w najlepszym nastroju.

- Widziałeś kiedyś Doyle'a w dobrym nastroju? O co chodzi tym razem?

- Katie wyjechała. Fast Rescue zaproponowało jej stanowisko dyrektora w swojej nowej szkole. Jest na sześciotygodniowym szkoleniu w Anglii.

- Fajnie. Dla Doyle'a nie będzie to łatwy okres, ale poradzi sobie.

- Przyszedł. - Lou kiwnął głową w stronę wejścia.

- On też uważa, że tamten telefon nie stanowi żadnego przełomu. Brakuje konkretów.

- Wiem. To była zwykła paplanina.

Lou posunął się i Doyle usiadł na ławce obok niego. Potem pokręcił głową, widząc dwa talerze ze smażonymi owocami morza, choć talerz Abigail był mniejszy.

- Nie mogę już jeść takich rzeczy. Mam potem zgałę.

- Świetnie - nie krył zadowolenia Lou - już się bałem, że będę musiał się z tobą podzielić.

Doyle spojrzał na Abigail.

- Nie widziałem cię od zeszłego lata. Dobrze wyglądasz.

- Ty też, szeryfie.

- Przyjechałaś wczoraj?

- We mgle. Maluję hol na niebiesko. O ile wiem, zawsze był biały.

- Przecież nie przyjechałaś tutaj, żeby malować

- zakpił Doyle.

- Masz rację. Wolałabym się dowiedzieć, kto zakłócił moją rocznicową kolację. Przypuszczam, że Lou powiedział ci o telefonie.

- Sprawdzamy to - zapewnił Doyle. - Jak się czegoś dowiemy, damy ci znać.

Abigail wbiła zęby w bułkę, żeby nie rzucić gorącymi krewetkami w Aldena, który najwyraźniej nie życzył sobie, żeby weszła w jego miście.

Lou zabrał się do jedzenia smażonego plamiaka.

- Słuchajcie, mamy ten sam cel.

Doyle nie spuszczał wzroku z siedzącej naprzeciwko niego Abigail.

- Nie jestem pewien, Lou. Ty i ja wiemy, że ten telefon to najprawdopodobniej wierutna bzdura.

Abigail też to wie, ale wykorzysta okazję, żeby narobić zamieszania. Mogą przez to ucierpieć niewinni ludzie. Zabójca Chrisa wyjechał z Maine siedem lat temu i pewnie nigdy więcej nie postawił tu stopy, ale ona nie przyjmuje tego do wiadomości. Chce znaleźć mordercę wśród nas.

*Przyjaciele i sąsiedzi twojego męża skrywają zbyt wiele tajemnic.*

Chris nie miał lepszego przyjaciela od Doyle'a Aldena, ale Abigail była przekonana, że ten człowiek od razu kiedy wyszła za Chrisa, zapalał do niej niechęcią. Ten ślub oznaczał bowiem, że Chris nigdy nie wróci na stałe na Mount Desert.

Lou chciał coś powiedzieć, wyraźnie zdenerwowany i oburzony obcesowością Doyle'a, lecz Abigail dotknęła jego dłoni.

- W porządku. Doyle ma sporo racji. Odkąd zginął Chris, nie dają im ani chwili spokoju. Ale to nieprawda, że chcę, by zabójca pochodził z wyspy. Tak nie jest.

- Jednak uważasz, że to ktoś stąd - rzekł Doyle.

- Po prostu staram się mieć otwarty umysł. Tobie też to polecam.

Zanim Doyle zdążył zerwać się z ławki i rzucić do gardła Abigail, Lou zanurzył frytkę w miseczce z keczupem i podał ją szeryfowi.

- Zjedz. Jeśli po jednej frytce będziesz miał zgagę, idź do lekarza, a jeśli ja dostanę zgagi od słuchania waszej kłótni, to przed pójściem do apteki zderzę was głowami. Jasne?

Abigail nie wątpiła, że Lou Beeler jest do tego zdolny.

- Z tego, co wiem, twoja żona jest w Anglii

- zwróciła się do Doyle'a. - A mój tajemniczy rozmówca mówił, że coś dzieje się tutaj.

- Nie mieszaj do tego mojej żony.

- Ja tylko stwierdzam fakt.

- Faktem jest również to, że w zeszłym tygodniu pewien poławiacz homarów złowił u brzegów wyspy Beals niebieskiego homara.

- Serio? Co z nim zrobił? Lou podniósł kubek z kawą.

- Żałuję, że nie zamówiłem piwa. Podarował go tutejszemu oceanarium. Czytałem o tym w gazecie.

Abigail, jesteśmy po twojej stronie. Wszyscy. Doyle, ja, cała policja z Maine. Wszyscy chcemy znaleźć zabójcę twojego męża. Teraz zależy nam na tym nie mniej niż siedem lat temu. Sprawdzimy każdy trop.

Abigail próbowała wejść w skórę Lou jako głównego śledczego w ciągnącej się siedem lat sprawie, ale nie potrafiła. Była detektywem dopiero od dwóch lat. Nie zajmowała się starymi sprawami.

Rodziny ofiar nie zadreślały jej przez długie lata pytaniami o postępy w śledztwie, nie domagały się natarczywie, żeby wreszcie ujęto sprawców.

- Wiem, że to zrobicie - powiedziała chłodno. - Ale żaden z was nie wierzy, że ten telefon może coś zmienić.

- To pięćdziesiąty siódmy taki telefon w ciągu lat.

- Ale pierwszy od dwóch lat - zauważyła Abigail.

- Pierwszy, który dostałam w Bostonie, podczas kolacji, w rocznicę ślubu.

Doyle wziął niepostrzeżenie smażonego małża z talerza Lou. Wydawał się teraz spokojniejszy, mniej wrogo nastawiony.

- Jesteś córką Johna Marcha i detektywem z Bostonu, a więc nie byle kim. Chyba nie muszę cię przekonywać, że to komplikuje sytuację, sprawia, że trudno odróżnić fałszywe tropy od prawdziwych. Abigail odsunęła talerz na bok. Nie była już głodna.

- Jestem pewna, że tego telefonu nie można lekceważyć.

- Tak. - Doyle wstał ciężko od stołu. - Znasz numer na komisariat, mój domowy i na pager. Dzwon, kiedy chcesz.

- Dobrze. Dzięki.

Wyszedł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

- Musiałaś go wkurzyć? - zapytał Lou z nachmurzoną miną.

- A co ja takiego zrobiłam? - Westchnęła i pokręciła głową. - Nigdy mnie nie lubił.

- Ty jego też.

- To nie...

- Znał Chrisa znacznie dłużej niż ty. Może jesteś trochę zazdrosna?

Abigail odchyliła się na porysowane oparcie drewnianej ławki i przyjrzała badawczo mężczyźnie siedzącemu po drugiej stronie stołu.

- Umiesz walczyć z grubą rurą, co, Lou?

- Nie przychodzi mi to łatwo, jeśli to dla ciebie jakaś pociecha.

- Niewielka. Co będziesz robił na emeryturze?

- Kupiliśmy z żoną używaną przyczepę kempingową. Właśnie ją remontujemy. Zamierzamy się wybrać w trzymiesięczną podróż. A co potem? Któż to wie?

- Będzie ci brakowało tej pracy?

- Kocham ją, ale chętnie zajmę się czymś innym. A ty? - Odstawił kubek i spojrzał na Abigail. -

Widzisz

siebie w tej pracy za dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat?

- Pytasz, czy się wycofam, kiedy znajdę zabójcę Chrisa?

- Pytam, czy za dwadzieścia lat nadal będziesz chciała ścigać przestępców, nawet jeśli sprawa zabójstwa twojego męża nie zostanie rozwiązana.

- Nie robię tak dalekosiężnych planów.

- Może powinnaś - powiedział Lou, ale nie rozwinął tej kwestii, tylko kiwnął głową w stronę talerza Abigail.

- Bierzesz krewetki do domu?

- Nie, możesz je wziąć. Smacznego. Lou uśmiechnął się.

- Wezmę.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

O zmierzchu Abigail kończyła nakładanie w holu drugiej warstwy jasnoniebieskiej farby. Stała na chybotliwej drabinie, której używał kiedyś dziadek Chrisa, i maczała pędzel w puszcze po kawie. Nalała do niej niewiele farby, na głębokość pięciu centymetrów, żeby w razie czego - gdyby puszka spadła z drabiny - było mniej sprzątanina. Jeszcze tylko kilka muśnięć pędzlem i gotowe. Potem czekało ją mycie. Musiała umyć pędzel, kuwetę i wałki. A przede wszystkim sama musiała się porządnie wyszorować. Była ubabrana farbą od stóp do głów.

Bob, Scoop i inni koledzy z policji, którym wynajmowała dom na wakacje, chętnie pomogliby jej w malowaniu lub wręcz sami je zrobili, nie prosząc nawet o zmniejszenie opłaty za wynajem, bo dobrze wiedzieli, że Abigail mogłaby brać od nich dwa razy więcej - nie zależało jej na zysku.

Ale ta praca - jej miarowy rytm, szczególny rodzaj skupienia, jakiego wymagała - pozwalała Abigail myśleć produktywnie. Nie do końca rozumiała, czemu tak jest, ale mogła się z tego tylko cieszyć.

Nie znaczyło to jednak, że wpadła na jakiś genialny pomysł, odkąd po raz pierwszy zanurzyła pędzel w niebieskiej farbie.

Otworzyła wszystkie okna, dzięki czemu słyszała mewy, fale i przepływające łodzie, a czasem także szelest liści w poruszanych wiatrem gałęziach. Te kojące dźwięki sprawiały, że czuła się mniej samotna.

Pomyślała o Owenie. Czy on też czuł się czasem samotny, czy - wręcz przeciwnie - wolałby mieć to nadbrzeże tylko dla siebie?

Nagle usłyszała jakiś szmer. Zastygła z pędzlem w ręku i wyteżyła słuch.

Po chwili znów coś usłyszała.

Doszła do wniosku, że to czyjś szept. Ktoś był na zewnątrz.

Położyła pędzel na puszcze, zeszła z drabiny i wyjęła pistolet z małego sejfu we frontowym pokoju.

Potem zapięła na biodrach pas z kaburą. Gdyby nie tamten anonimowy telefon, nie byłaby taka ostrożna. Przeszła do drugiego pokoju i zaczęła nasłuchiwać przy otwartych tylnych drzwiach.

Płaczliwy szept. Potem drugi - karcący.

*Dzieciaki.*

Abigail schowała broń do kabury i wyszła na zewnątrz. Powietrze było chłodne, niemal zimne. Na granatowym niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy.

- Ćśś. - Kolejny szept. - Nie hałasuj.

- To ty hałasujesz.

Głosy dobiegały od strony trzech sosen, które Abigail miała po swojej prawej ręce. Zeszła po schodach werandy.

- Wyjdźcie zza drzew. Komary was zjedzą.

- Nie powiesz tacie?

Mali Aldenowie, pomyślała Abigail. Któż by inny?

Doyle i Owen, o dziwo, byli ze sobą w bliskiej przyjaźni, zwłaszcza od śmierci Chrisa.

- Chodźcie, chłopcy. Sean i Ian, tak? Robi się ciemno.

Chłopcy wyłonili się zza najmniejszej sosny i podeszli do Abigail. Starszy z nich, Sean, wyglądał raczej na wrogo usposobionego niż zawstydzonego czy przestraszonego, Ian trzymał się pół kroku za swoim bratem.

- Pamiętacie mnie, prawda? Jestem Abigail... Abigail Browning.

Kiwnęli jednocześnie głowami, ale nic nie powiedzieli.

- Przyjechaliście z tatą odwiedzić Owena?

- Tata nas tylko przywiózł - odparł Sean.

- Jesteście z Owenem? Został w tyle za wami? Ian jedynie westchnął, ale Sean pokręcił głową.

- Wykonujemy pewne zadanie - oznajmił z powagą.

- Sean. - Ian szarpnął brata za rękę. - Nie możemy jej powiedzieć. Tata nas zabije.

Sean milczał przez chwilę, a potem rzekł:

- Ćwiczmy z Ianem orientację w terenie.

- To jest to zadanie? Chłopcy kiwnęli głowami.

- Jak tutaj trafiliście? To część waszego zadania? Ian zrobił krok do przodu. Abigail zauważyła, że jest błydy i zdenerwowany. Czyżby z jej powodu? Wyraźnie zbierało mu się na płacz.

- Chłopcy - powiedziała łagodnie. - Co się dzieje?

Zanim zdążyli odpowiedzieć - lub skłamać - poruszyły się za nimi sosnowe gałęzie. Sean i Ian skoczyli jak oparzeni i skulili się z przerażenia za plecami Abigail.

- To tylko ja - uspokoił ich Owen, wychodząc na otwartą przestrzeń. - Przepraszam, że was przestraszyłem. Był doświadczonym ratownikiem, więc bezszelestne poruszanie się miał już we krwi. Abigail położyła ręce na ramionach chłopców, którzy stali teraz po obu jej stronach.

- Wejdźcie na chwilę - powiedziała. - Ocenicie, czy ładnie pomalowałam hol, a ja tymczasem zrobię gorącą czekoladę. Rozgrzejecie się trochę.

Owen popatrzył na chłopców surowym wzrokiem.

- Powiedzieliście, że idziecie na górę poczytać.

- Poszliśmy - odparł Sean. - Tylko że...

- Nie będę was do siebie zapraszał, jeśli będziecie się wymykać z domu. - Potem, już nieco spokojniej, zwrócił się do Abigail: - Spuścili się z okna po prześcieradle. Rozpalałem wtedy ogień w kominku.

Nic nie słyszałem.

- Powiedzieli, że ćwiczą orientację w terenie

- oznajmiła Abigail, nie ukrywając swojego sceptycyzmu, a potem ścisnęła na chwilę ramiona chłopców.

- Chyba nie byliście do końca szczerzy, co, chłopaki?

Ilan wyswobodził się i odezwał do Owena:

- Mówiłem Seanowi, że...

- Każdy odpowiada za swoje decyzje.

- Ale on mnie zmusił! Sean zaśmiał się drwiąco.

- Do niczego cię nie zmuszałem. Chciałeś iść.

- Nie wiedziałem, że to prawdziwy duch. - W głosie Iana dało się wyczuć strach. - Myślałem... Myślałem...

- Spokojnie - powiedział Owen.

Abigail odwróciła Seana twarzą do siebie i schyliła się, żeby spojrzeć mu prosto w oczy.

- Opowiedz mi o tym duchu. Wszystko, co pamiętasz.  
Twarz mu pobladła, dolna warga zaczęła drżeć, ale nic nie powiedział.  
- Słyszeliśmy go - rzekł z płaczem Ian. - Słyszeliśmy ducha!  
Abigail wciąż patrzyła na Seana, który potwierdził słowa brata skinieniem głowy.  
- Słyszeliśmy jego oddech.  
- Gdzie? - spytała Abigail.  
- W ruinach.  
- W ruinach?  
- Spalonego domu - wyjaśnił Owen. - Już wcześniej kogoś tam słyszeliście, prawda, chłopcy?  
- Tak - odparł Sean.  
- Może to było jakieś zwierzę? - powiedziała Abigail. - Lis albo wiewiórka?  
Starszy z chłopców, już mniej blady, pokręcił głową.  
- To był człowiek. Wydaje nam się... że to był... *Chris*, pomyślała Abigail.  
Położyła dłoń na ramieniu Seana.  
- Wydaje wam się, że słyszeliście ducha mojego męża?  
Po policzku chłopca spłynęła łza.  
- Chcieliśmy się upewnić. Już tamtej nocy wydawało nam się, że to on. Ale teraz... - Wytarł łzę wierzchem dłoni i wziął wdech. - Jesteśmy tego pewni.  
Abigail wyprostowała się i spojrzała na Owena. Było mu przykro nie tylko dlatego, że chłopcy się przestraszyli, ale również ze względu na nią.  
- Wybacz. Mają bujną wyobraźnię.  
- Może naprawdę coś tam słyszeli?

- Ale nie ducha.

Abigail nie zamierzała teraz tego roztrząsać.

- Zaczekajcie w moim domu - powiedziała. - Pójdę się rozejrzeć. Potem was odwiozę.

- Nie idź - rzekł spokojnie Owen. - Zajrzemy tam z chłopcami w drodze powrotnej.

Abigail pokręciła głową.

- Wątpię.

- W takim razie pójdziemy z tobą.

Widziała, że Owen jest tak samo zdeterminowany jak ona. Napięcie między nimi, o dziwo, uspokoiło chłopców. Abigail westchnęła.

- No dobrze. Pójdę po latarkę. - Uśmiechnęła się do Owena. - Nie martw się, tym razem jestem w odpowiednich butach.

Przyroda powoli, ale konsekwentnie odzyskiwała teren, na którym niemal sto lat wcześniej pradziadek Owena zbudował letnią rezydencję, nie mogąc - rzecz jasna - wiedzieć, że kiedyś morderca ukryje się w jej ruinach, by popełnić zbrodnię. Większość gruzu dawno już usunięto.

Drzewa i krzewy zarastały stary fundament. Tylko niewielkie fragmenty murów rysowały się na tle krajobrazu.

Owen trzymał chłopców przy sobie. Ich opowieść o duchu obudziła w Abigail instynkt detektywa.

Szła teraz dziarsko przed siebie ścieżką wiodącą między niskimi krzakami czarnej borówki i jałowca.

Praktyczna Abigail Browning nie wierzyła w duchy. Czego więc tam szukała?

Na pewno wie, co robi, pomyślał Owen, kiedy Abigail przeciskała się między jodłą a długim na ponad

metr kawałkiem zwalonego komina. Snop światła z latarki przeciął ciemność.

- Co ona widzi? - spytał Ian, biorąc Owena za rękę.

- Nie wiem. Abigail? Wyglądała na odprężoną.

- No cóż, staram się mieć otwarty umysł, ale podejrzewam, że duchy nie palą papierosów i nie piją piwa. - Poświeciła latarką w stronę małej kryjówki, a potem skierowała ją z powrotem na Owena i chłopców. - Chodźcie, pokażę wam.

Owen nie zatrzymał Seana, kiedy ten pobiegł do Abigail. Ian spojrział pytającym wzrokiem na opiekuna i gdy Owen kiwnął głową, puścił się w pogoń za bratem.

Świecąc latarką w różne miejsca, Abigail dzieliła się z chłopcami swoimi obserwacjami.

- Ktoś wykorzystał ten kamień jako popielniczkę

- oznajmiła. - Widzicie niedopałki papierosów? A tam leży puste, zgniecione pudełko marlboro.

- Czuć jeszcze dym papierosowy - powiedział Ian.

- Czuliście dym, kiedy byliście tu wcześniej?

- spytała.

Sean pokręcił głową.

- Spójrzcie na te puszki po piwie. Ile ich jest?

- Policzmy. Raz, dwa, trzy...

- Osiem - powiedział Ian. - Jest ich osiem! Owen szedł jeszcze ciemną ścieżką. Wcześniej tego dnia wędrował po Akadii z Linkiem Cooperem, który zamknął się w sobie i nie chciał lub nie mógł powiedzieć, co go trapi. Owenowi nie podobało się, że dwudziestoletni chłopak ma tak poważne problemy ze sobą. Ale gdyby zrezygnował z wędrowki po górach, może nie byłby potem taki rozkojarzony i zauważył, że chłopcy próbują się wymknąć z domu, a tym samym oszczędziłby Abigail nocnej pogoni za duchem.

Stanąwszy za nią, zwrócił uwagę na jej zgrabną figurę. Wyraźnie dbała o formę.

- Wygląda na to - powiedział Owen - że ktoś urządził tu sobie niezłą imprezę.
- I to niejedną. - Abigail poświeciła latarką w inne miejsce. - Tam też są niedopałki i puszki po piwie.
- To znaczy, że słyszeliśmy jakiegoś pijaka? - rzucił z niesmakiem Sean.
- Nie wiemy, kto nim jest - powiedziała Abigail.
- Nie wyciągajmy wniosków, zanim ustalimy wszystkie fakty. Znacie kogoś, kto pali marlboro i pije budweisera?

*Mattie Young.*

Owen był pewien, że Abigail pomyślała właśnie

o nim. Chłopcy pokręcili głowami. Znali Mattiego, który dorastał z ich rodzicami, ale nigdy nie zwracali uwagi, co kto pali i pije.

Abigail położyła dłoń na ramieniu Owena i uśmiechnęła się.

- Tym razem nie będziesz musiał mnie prowadzić
- zapewniła, po czym prześlizgnęła się obok komina i stanęła na ścieżce, którą przyszli. - Kiedy po raz pierwszy wydawało się wam, że usłyszeliście ducha?
- zwróciła się znowu do chłopców.
- W niedzielę wieczorem - odpowiedział za nich Owen, ruszając za Abigail.

Kiwnęła głową.

- Myślicie, że ten ktoś was słyszał? Rozmawialiście i hałasowaliście, bawiąc się na skałach?
- Och - odezwał się Sean, jakby nie od razu zrozumiał pytanie. - Tak, zachowywaliśmy się dosyć głośno. Ale kiedy usłyszeliśmy, że ktoś tu jest, uciszyliśmy się.
- A dzisiaj? Myślicie, że ten człowiek zorientował

się, że tu jesteście? Byliście cicho, próbowaliście się do niego podkraść?

- Próbowaliśmy, ale nie udało nam się go zobaczyć.

Sean był teraz spokojniejszy. Rzeczowe pytania Abigail pozwalały jej uzyskać niezbędne informacje, ale jednocześnie działały na chłopców kojąco, pomagając im spojrzeć na całą sprawę z jej perspektywy.

- Może ten człowiek nie chciał, żebyście go zobaczyli - mówiła dalej Abigail. - Może to był ktoś, kogo znacie?

- Czyli kto? - spytał Sean.

- Porozmawiajcie o tym ze swoim tatą. Zobaczymy, co powie. - Abigail machnęła ręką, żeby odpędzić komara. - To piękne miejsce, ale następnym razem wezmę ze sobą aerozol przeciw owadom.

- Ja też mam już dość tych komarów - powiedział Ian.

- Skończyłam inspekcję. Odprowadzić was do domu? Mogę wam pożyczyć latarkę...

- Mamy swoją - odparł Owen, wyciągając małą latarkę z tylnej kieszeni spodni.

Abigail uśmiechnęła się do niego.

- Zawsze przygotowany.

- My odprowadzimy ciebie. Jesteś sama.

- Nie trzeba - powiedziała, ale potem obejrzała się na Owena i zmieniła zdanie. - No dobrze. Możecie mnie odprowadzić. Ruszajmy, zanim te komary wypiją kolejny litr mojej krwi.

Ponieważ to Abigail miała broń, Owen nie był pewien, kto eskortuje kogo, ale jego latarka świeciła jaśniej, a poza tym znał lepiej teren.

Abigail pozwoliła się odprowadzić do sosen, za którymi ukryli się wcześniej Sean i Ian.

- Przepraszamy, pani Browning - wymamrotał Sean.

- Za co? Lubię towarzystwo. Następnym razem wpadnijcie na gorącą czekoladę. Mówcie mi Abigail. Ale nie Ab ani Abbie. Po prostu Abigail. - Puściła do chłopców oko, po czym dodała konspiracyjnym szeptem: - Przepróście Owena za wybryk z prześcieradłem.

Zupełnie o tym zapomnieli. Odwrócili się z niepokojem w stronę Owena.

- Powiesz tacie? - spytał Ian. Owen uśmiechnął się.

- To zależy, jak ciężko będziecie pracowali przed jego przyjazdem. Możecie też oczywiście poczytać książki.

- Poczytamy - zapewnił Ian. Jego brat kiwnął głową.

- Będziemy czytać przez całą noc!

Abigail roześmiała się, a kiedy w chwilę potem ruszyła w stronę domu, Owen zawołał do niej:

- W razie kłopotów krzyknij! Przecież byli sąsiadami.

W drodze powrotnej Sean i Ian zamęczali Owena pytaniami na temat Abigail - co tu robi sama, czemu nie ma męża, dlaczego została detektywem.

- Wybaczcie, chłopcy - odparł Owen. - Nie wiem o niej zbyt wiele.

Odpowiedź, choć wymijająca, była w sumie prawdziwa. Owen niewiele o niej wiedział, ale musiał przyznać przed sobą, że chciałby to zmienić.

Chłopcy wbiegli na taras, a potem do domu.

Owen ociągał się w chłodnym, nocnym powietrzu.

Chciał lepiej poznać swoją sąsiadkę. Od dawna.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Mattie Young wsunął łopatę do głębokiej na siedemdziesiąt centymetrów dziury i stuknął nią w coś twardego. Położył narzędzie na ziemi, kucnął i sięgnął jedną ręką do wnętrza dziury, lecz nie mógł wymacać brzegów tego, w co uderzył.

- To płyta skalna - zawyrokował. Ellis Cooper zajrzał do dziury.

- Nie, to tylko kamień. Wykop go. Dół jest za płytki.

Mattie chętnie walnąłby Ellisa łopatą w głowę, gdyby nie to, że ten zawsze go dobrze traktował.

Mattie miał zszargane nerwy i źle sypiał. Za dużo pił, za dużo palił. Do tego jeszcze Linc. Pieniądze.

Stres związany z tym, czy chłopak wytrzyma presję i nie powie nikomu o szantażu.

*Powinienem był zażądać, żeby dał mi całe dziesięć tysięcy od razu.*

Dla Cooperów dziesięć tysięcy było drobną sumą. Nawet Linc mógłby skombinować taką kwotę bez wzbudzania większych podejrzeń, gdyby się tylko postarał. Najwyraźniej potrzebował motywacji.

Dla Mattiego dziesięć tysięcy oznaczało nowy początek.

Nowe życie.

- Musi być przynajmniej dwadzieścia centymetrów głębsza - powiedział Ellis, wciągając na dłonie irchowe rękawice robocze. Nie znaczyło to jednak, że zamierza sam wziąć się do pracy. - Spróbujesz, prawda?

Mattie kiwnął głową. Kwaśny pot ściekał mu po twarzy i plecach, pod pachami utworzyły się mokre plamy. Wciąż czuł w ustach posmak alkoholu i papierosów z poprzedniego wieczoru. Wystraszył synów Doyle'a nie na żarty, ale czy miał inne wyjście? Nie mógł pozwolić, żeby go zobaczyli.

Powiedzieliby o tym ojcu i Owenowi. Może też Abigail. W obecnej sytuacji nie mógł się narażać na czyjekolwiek wścibstwo.

Niech myślą, że spotkali ducha.

Zabrał wtedy ze sobą tylko tyle piwa, żeby się nie odwodnić po długim dniu kopania, dźwigania i przycinania w ogrodzie Cooperów. Niezależnie od tego, co ludzie myśleli, znał granice swoich możliwości. Miał nadzieję, że dym papierosowy odpędzi komary. Nie lubił zapachu środków przeciwko owadom.

Wbijając pod kątem ostrze łopaty, Mattie skruszył ziemię wokół tajemniczej przeszkody, która okazała się kamieniem, nie płytą skalną. Tyle że był to piekielnie duży kamień. Mattie znów odłożył łopatę i wsunął obie ręce do dziury, próbując chwycić bryłę z jednej strony. Pracował bez rękawiczek. Miał tak zgrabiące dłonie, że kilka dodatkowych zadrapań nie robiło mu różnicy.

Ellis pochylił się nad nim.

- Podważ łopatą.

Mattie zignorował tę radę. Przykucnąwszy, wsunął

palce pod kamień i pociągnął z całej siły, sapiąc i zapierając się nogami. Udało mu się poluzować kamień z jednej strony, ale był za duży, żeby dało się go, ot tak, wydobyć z dziury. Ogrodnik usiadł, z trudem łapiąc oddech.

Ellis wciąż krążył wokół niego. Mattie otarł usta wierzchem brudnej dłoni.

- Możesz się zająć czymś innym - powiedział. - To trochę potrwa.

- Nie, zostanę na wypadek, gdybyś mnie potrzebował.

Mattie omal nie wybuchnął śmiechem. Ellis miałby mu pomóc? Owszem, lubił pracować w ogrodzie, ale wykonywał tylko najłżejsze prace. Wykopywanie kamienia z ziemi z pewnością do nich nie należało.

Mattie ukląkł, chwycił łopatę i wsunął ją pod kamień, poluzowując go z drugiej strony. Potem - używając w tym celu rąk i łopaty - zdołał złapać całą granitową bryłę, wyciągnąć ją z dziury i cisnąć na nieskazitelnie czystą trawę.

- Ładny kamień - orzekł Ellis, pchnąwszy go stopą. - Oczyszczyć go. Może mi się przyda.

*A może chcesz dostać nim w łeb?*

Jednak Mattie tylko kichnął, kiwnął głową i usiadł na trawie. Jego mięśnie drżały, dudniło mu w głowie. Poprzedniego dnia wypił chyba o jedno piwo za dużo.

- Teraz dół jest wystarczająco głęboki - powiedział Ellis. - Trzeba zasadzić tę hortensję jak najszybciej. Nie chciałbym, żeby korzenie uschły na słońcu.

*A co byś zrobił, szefie, gdybym narzygał do tego twojego dołka?*

- Już się biorę - powiedział Mattie. Ellis kiwnął głową, wyraźnie zadowolony.

- Tylko się nie przemęcz.

Facet chce dobrze, pomyślał Mattie, biorąc się znowu do roboty. Ellis zapewniał mu stałą pracę i nawet kiedy nie było nic do zrobienia, wymyślał mu różne zajęcia, żeby mógł zarobić. Poza tym Ellis był perfekcjonistą. Czasem Mattie dorabiał w innych miejscach na wyspie, ale nie spotkał drugiego takiego pasjonata ogrodów jak Ellis Cooper. Było trudno uwierzyć, że tak łatwo wyrzekł się swojego ogrodu.

Z drugiej strony Ellis nigdy by nikomu nie zdradził, że ma o cokolwiek żal do swojego brata, Jasona. Pewnie nie przyznałby się do tego nawet przed samym sobą.

Jason miał władzę, pozycję, charyzmę, pieniądze. Ellis miał talent, wizję, takt i życzliwy stosunek do ludzi. Dobrze sobie radził. Był cenionym waszyngtońskim doradcą politycznym - pomógł w karierze również swojej bratanicy. Nigdy się nie ożenił, ale był osobą towarzyską, chętnie zapraszaną na przyjęcia. Lubił się chwalić swoim ogrodem w Maine.

Jeśli Linc się komukolwiek zwierzał, to nie ojcu, ale stryjowi albo siostrze.

*Grace.*

Mattie sięgnął po hortensję, której korzeniom wcale nie groziło uschnięcie. Nie mógł myśleć o Grace Cooper. Ani teraz, ani nigdy więcej.

Myślał za to o pieniądzach i lepszym życiu, które mu zapewnią.

*Pomyśl, co mógłbyś zrobić z dwudziestoma tysiącami.*

Linc bez problemu skombinowałby kolejne dziesięć. I dałby mu je, odpowiednio przyciśnięty.

*Abigail...*

Mattie wrzucił hortensję do dołu, który po usunięciu kamienia był za duży. Jeśli nawet Ellis to zauważył, nic nie powiedział.

*I bardzo dobrze, pomyślał Mattie. Siedź cicho. Pilnuj własnego nosa.*

- Pójdę po szlauch - rzekł Ellis. Mattie kiwnął głową.

- Dzięki.

Potem zasypał dół ziemią i odpowiednio ją uklepał. Wiedział, że jeśli się za siebie nie weźmie, wkrótce ktoś zasypie jego zwłoki, grzebiąc je w zimnej, kamienistej ziemi.

Komu będzie go brakowało?

Nikomu. Nie bez powodu.

Abigail pokonała jednym skokiem trzy najwyższe schodki werandy i wbiegła do tylnego pokoju, w którym dzwonił telefon.

- Halo...

Sygnał.

Nie zdążyła.

Cisnęła słuchawkę na widelki i przeklęła siebie za to, że nie kupiła jeszcze przenośnego telefonu.

Komórka nie miała tu zasięgu, a przenośny telefon mógłby leżeć na werandzie, co pozwoliłoby

Abigail dotrzeć do niego przed rozłączeniem się dzwoniącej osoby. Abigail przyjęła jednak typową dla Browningów postawę

- nie wymieniaj tego, co działa. Telefon działał, więc go nie wymieniła.

Nie kupiła też automatycznej sekretarki. Bywała tu zbyt rzadko, żeby jej potrzebować. Zresztą urlopowicze - nawet tacy jak Bob O'Reilly i Scoop Wisdom

- wystrzegali się tego rodzaju pułapek.

Może to właśnie Bob próbował się do niej dodzwonić?

Abigail zastanawiała się, czy nie zadzwonić do niego i nie powiedzieć mu o „duchu” odkrytym przez chłopców, a także o niedopałkach i puszkach po piwie.

Jeśli nawet Sean i Ian nie powiedzieli ojcu o przygodzie z zeszłej nocy, to na pewno uczynił to Owen, a Doyle - jeśli był prawdziwym policjantem i przyjacielem - postanowił spotkać się z Mattiem, żeby zapytać, co robił na terenie posesji Garrisonów. I czemu tam pił.

Abigail zamknęła tylne drzwi na klucz i wyszła z domu frontowymi. Wcześniej schowała pistolet z powrotem do sejfu. Rano poszła obejrzeć ruiny spalonego domu. Nic się nie zmieniło. Puszki po piwie i niedopałki wciąż tam były. Nie znalazła żadnych nowych śladów. Ktoś - najprawdopodobniej Mattie Young

- palił tam papierosy i pił piwo.

Mógł też szpiegować ją lub Owena - albo ich oboje.

Abigail wsiadła do wozu i ruszyła drogą dojazdową. Odkręciła szybę, bo nagle zrobiło jej się gorąco, ale nie dlatego, że nie zdążyła odebrać telefonu albo że myślała o Mattiem Youngu.

Zrobiło jej się gorąco, ponieważ myślała o Owenie.

Kiedy zobaczyła go na skałach w dżinsach i wyciągniętej ze spodni, znoszonej koszulce polo, poczuła jego pragnienie samotności i zmęczenie po ciężkim roku, wypełnionym licznymi akcjami ratowniczymi.

Czy Doyle powiedział mu o anonimowym telefonie?

Abigail wiedziała, że jej reakcja emocjonalna na obecność Owena nie wynika z sąsiedzkiej sympatii - nie ma też nic wspólnego z tym, że jest detektywem i szuka zabójcy Chrisa. Chodziło o coś innego.

Ten facet był po prostu cholernie seksowny. Tego nie dało się nie zauważyć.

Abigail przejechała przez malowniczą miejscowość Northeast Harbor, stosunkowo spokojną jak na tak piękny, letni dzień, i skierowała się w stronę Somes Sound, jedyne go fiordu na Wschodnim Wybrzeżu. Długi jezior słonej wody wrzynał się w wyspę tak głęboko, że prawie przecinał ją na pół. Przed trzydziestu laty Jason Cooper - jako młody jeszcze przedsiębiorca - kupił skromny dom nad tą zatoką. Potem w ciągu lat rozbudowywał swoją posiadłość, tak że z czasem stała się jedną z najbardziej okazałych na wyspie Mount Desert.

Brama wjazdowa była otwarta. Abigail skręciła na brukowany podjazd prowadzący do kamienno-drew-nianego domu, stojącego samotnie pośród wiecznie zielonych drzew i starych klonów. Ta prosta sceneria raczej koła, niż przytłaczała. Kiedy Abigail zaparkowała za srebrnym mercedesem należącym do Grace, zauważyła turkusowe i pomarańczowe kajaki oparte o garaż. Cooperowie mieli jacht, a także niedużą żaglówkę i motorówkę. Jason - podobnie jak jego dzieci - uwielbiał przebywać na wodzie.

Wysiadłszy z samochodu, Abigail poczuła w ciepłym popołudniowym powietrzu zapach róż. Kiedy stając po kamiennej ścieżce, podeszła do frontowego ganku, wybiegł jej na powitanie biały pudel.

- Cześć, maleństwo - powiedziała, głaszcząc psa. - Cindy, prawda?

- Nie, Sis. Musieliśmy oddać Cindy do uspienia. Abigail podniosła oczy na Jasona Coopera, który schodził właśnie z ganku.

- Przykro mi. Nie wiedziałam.

- Miała osiemnaście lat. Już była pora.

Jason pstryknął palcami. Pies podbiegł posłusznie do swojego pana i usiadł przy jego nodze, sapiąc

i wpatrując się w Abigail takim wzrokiem, jakby zazdrościł jej, że nie musi wykonywać poleceń tego człowieka. Gdy Jason się uśmiechnął, Abigail dostrzegła, jak bardzo jest podobny do Grace. Nie wyglądał na swoje sześćdziesiąt dwa lata ani na kogoś, kto ma trzydziestoosmioletnią córkę.

- Jak się masz; Abigail? - spytał.

- Dobrze, dziękuję. A ty?

- Rozkoszuję się pięknym dniem. - Potem skinął na nią głową. - Zdaje się, że coś malowałaś.

Abigail zerknęła na swoją zachlapaną farbą koszulę. Na butach też jej nie brakowało. Na szczęście to były te tanie buty. Jason, rzecz jasna, prezentował się nienagannie w swoim swobodnym, acz eleganckim stroju - ciemnych spodniach i koszulce golfowej.

Abigail uśmiechnęła się do niego.

- Pomalowałam hol, nie tylko siebie. Reszta ścian wygląda teraz obskurnie.

- Takie są uroki remontu.

- No właśnie. Przyjechałam w poniedziałek. A ty jak długo tu jesteś?

- Ponad tydzień. Grace i Linc przyjechali na weekend. - Schylił się i wziął Sis pod pachę. - To wizyta towarzyska czy prowadzisz jakieś dochodzenie?

- Nie moja jurysdykcja. - Wskazała gestem kamienne urny z zadbanymi roślinami. - Wszystko wygląda teraz tak pięknie. Byłam wczoraj u Ellisa. Nigdy w życiu nie widziałam tak doskonałego ogrodu. Podobno chcesz wystawić jego posiadłość na sprzedaż?

- To jest tak samo jego posiadłość jak moja.

- Jesteście współwłaścicielami?

- Jesteśmy rodziną. - Jason uraczył Abigail pobłażliwym uśmiechem. - Pytaj, o co chcesz. Wiem, że

każda zmiana w naszym życiu budzi twoje żywe zainteresowanie.

Zwłaszcza, pomyślała Abigail, po takim dziwnym telefonie. Zignorowała jednak uszczypliwy ton Jasona oraz to, że udzielił wymijającej odpowiedzi na pytanie.

- Dlaczego sprzedajecie posiadłość właśnie teraz? Jestem ciekawa, to wszystko.

- To najważniejszy moment. Wejdiesz do środka?

Zapraszając ją, dawał do zrozumienia, że to koniec rozmowy. Oczekiwał, że Abigail odczyta ten sygnał i odjedzie. Abigail korciło, by przyjąć rzekome zaproszenie, ale ostatecznie zdecydowała się zmienić temat.

- Na pewno wszyscy jesteście szczęśliwi z powodu nominacji Grace. Czy w związku z nią wzięto was pod lupę?

- Niespecjalnie. Grace czeka jeszcze wywiad środowiskowy, ale to nieistotne. Abigail...

- Było tu FBI?

Twarz Jasona przybrała chłodny wyraz.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Będą chcieli ze mną porozmawiać, Jason. Ze względu na Chrisa.

- I na to, kim jest twój ojciec. Abigail pozostawiła to bez komentarza.

Sis się wierciła, więc Jason postawił ją w końcu na ścieżce i znów pstryknął palcami. Suczka wbiegła błyskawicznie na ganek, nie oglądając się ani razu na swojego pana. Jason nie spuszczał jej z oka, jakby obawiał się, że zrobi coś nieoczekiwanego.

- Trudno uwierzyć, że minęło już siedem lat - odezwał się wreszcie. - Grace i Chris poznali się, kiedy mieli po osiem lat. Jego śmierć była dla nas strasznym

ciosem. No i wciąż pozostaje pytanie, kto... - Urwał, kierując wzrok z powrotem na Abigail. - Przykro mi, że nominacja Grace przywołała bolesną przeszłość, ale to nie nasza wina.

- Nie przywołała jej, bo ona cały czas wypełnia moje myśli.

- Nawet po siedmiu latach? Abigail - wydawał się bardzo zatroskany - musisz żyć swoim życiem.

- Żyję nim.

- Może ci się zdaje, ale gdyby naprawdę tak było, już dawno sprzedałabyś dom na wyspie. To nie jest twoje miejsce. - Nie mówił tego niegrzecznym tonem.

- Zatrzymałaś ten dom tylko ze względu na Chrisa. Ze względu na przeszłość.

Abigail nie zamierzała analizować swojej duszy z Jasonem Cooperem. Żałowała, że ta rozmowa zaszła tak daleko.

- Może masz rację, ale malowanie to chyba dobry znak, nie sądzisz? - Nie dała mu szansy na odpowiedź.

- Nie ma tu przypadkiem Mattiego Younga?

- Dzisiaj pracuje u Ellisa. Będzie tu jutro.

- Czym teraz jeździ? - spytała, wracając myślami do popijawy w starych ruinach. Co wtedy zrobił z autem? Czy ktoś je widział? Pojechał do domu pod wpływem alkoholu?

- Rowerem - odparł Jason. - Mattie stracił ostatniej zimy prawo jazdy.

- Za jazdę po pijanemu? Jason kiwnął głową.

- Niestety. Ciemne zimy oraz izolacja dały mu się we znaki. Chodzi na spotkania odwykowe. Pracuje nad sobą.

Niezbyt konsekwentnie, pomyślała Abigail, przypomniawszy sobie puszki po piwie. Chyba że to

nie były puszki Mattiego. Nie miała na to żadnego dowodu.

- Mieszka tam, gdzie dawniej?

- Wynajmuje dom niedaleko Doyle'a Aldena. Zresztą dlatego został złapany najeździe po pijaku.

Doyle widział, jak Mattie śmignął koło jego domu. Czemu pytasz?

- Z ciekawości.

Jason uśmiechnął się, ale jego wzrok pozostał chłodny.

- Zawsze ciekawska, co?

- To rodzinne.

Aluzja do ojca nie zachwyciła Jasona.

- Pewnie tak. Nie wejdiesz?

- Nie, dzięki. Muszę wracać. Miło było cię zobaczyć.

- Ciebie też.

Zanim zdążyła coś dodać, Jason wszedł na ganek i pstryknął palcami na swojego małego pieska.

Po powrocie do domu Abigail włożyła szorty, t-shirt i dobre buty sportowe, a następnie poszła pobiegać. Potruchtowała swoją alejką dojazdową, po czym skręciła w główną drogę. Powoli łapała rytm, mówiąc sobie, że musi dbać o formę. Czuła, że jej wewnętrzny niepokój przeradza się we frustrację, w głowie zaczęły się tłoczyć pytania, strzępy rozmów, nowe hipotezy.

Oraz wspomnienia. Ale nie tylko jej wspomnienia - związane z krótkim małżeństwem, wdowieństwem, siedmioma latami bezowocnych prób znalezienia zabójcy męża. Także wspomnienia Chrisa. Jego opowieści o dzieciństwie spędzonym na wyspie - opowieści,

które z biegiem lat tak mocno wryły się w pamięć Abigail, że były niczym obrazy z jej własnej przeszłości.

Chris i Doyle Alden... Mattie Young... Cała trójka pływała łodzią do połowu homarów z dziadkiem Chrisa, starym człowiekiem, który przekazywał im swoją wiedzę na temat przyływów i odpływów, prądów morskich, ukrytych zagrożeń, wszelkich tajników pracy na morzu, która zapewniała utrzymanie ich rodzinom przez pokolenia.

Abigail widziała oczami wyobraźni tych trzech chłopców na łodzi Willa Browninga w chwili, gdy zdali sobie sprawę, że ktoś jest w wodzie. Doe Garrison, dziewczynka z zamożnej rodziny, spędzająca wakacje na wyspie. Śliczna i szczęśliwa. Miłośniczka przyrody jak jej pradziadek.

Chłopcy też byli wtedy nastolatkami. Siedemnastoletni Mattie był najstarszy. Doyle miał piętnaście lat. Chris czternaście, jak Doe.

Wyciągnęli ją z wody, ale było już za późno.

*Widziałem jej brata na brzegu. Patrzył, jak próbujemy ją uratować. Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy, Abigail Nigdy.*

Will Browning popłynął szybko do portu. Karetka już czekała.

*Garrisonowie i Cooperowie stali na nabrzeżu. Polly Garrison, rodzice Doe i Owen byli w szoku.*

*Wiedzieli, że ona nie żyje. Jason Cooper i Ellis starali się trzymać z boku. Ale Grace... Miała zaledwie trzynaście lat i właśnie utonęła jej najlepsza przyjaciółka.*

Utrzymując równe tempo biegu, Abigail wyobraziła sobie tragedię, która miała miejsce tamtego pięknego letniego popołudnia, i zastanawiała się, ile z tego, co się wtedy zdarzyło, pamiętał Owen. Pewnie każdą sekundę.

Abigail nie dziwiło, że Owen przyjeżdżał regularnie do Maine i że postawił dom w odległości kilkuset metrów od miejsca, w którym utonęła jego siostra. To wynikało nie tylko z potrzeby cenięcia tego, co Doe kochała, ale przede wszystkim ze świadomości, że jeśli Owen chce być sobą, musi oswoić się z tą tragedią, uczynić ją częścią swojego życia, a nie odciąć się od niej i wiecznie uciekać.

Ale czy Abigail myślała o postawie Owena... czy raczej o swojej? Co ona właściwie wiedziała o Owenie Garrisonie?

Kiedy przytruchtała z powrotem alejką dojazdową, niemal odetchnęła z ulgą na widok czarnego rządowego samochodu oraz elegancko ubranych, wyprostowanych agentów - mężczyzny i kobiety - którzy pukali właśnie do jej drzwi.

FBI.

Przedstawili się jako agent specjalny Ray Capozza i agentka specjalna Mary Steele. Chociaż Abigail zaprosiła ich do środka, nie chcieli wejść, tylko dołączyli do niej na alejce. Capozza - krępy, zasadniczy mężczyzna - pokazał odznakę.

- To rutynowa wizyta, pani Browning - oznajmił.

- Przeprowadzacie wywiad środowiskowy dotyczący Grace Cooper. Tak, wiem. Ale proszę, mówcie mi po imieniu. Mój ojciec wam powiedział, że tu jestem?

- Nie - odparł zdawkowo Capozza.

Steele, brunetka o ostrych rysach, która miała taką minę, jakby się spodziewała, że łąda moment zza drzew wyskoczy niedźwiedź, kiwnęła głową w stronę oceanu.

- Ładne miejsce, pani Browning... Abigail. Teraz rozumiem, dlaczego jesteś do niego taka przywiązana.

Twój mąż... - Przerwała zakłopotana, po czym brnęła dalej. - Wiemy, co go spotkało. Nikt nie zapomniał. I nie zapomni.

Capozza potwierdził kiwnięciem głowy, choć może sam nie był skłonny do takiej szczerości.

- Nie prowadzimy tu śledztwa w sprawie jego śmierci, ale jesteśmy w stałym kontakcie z policją stanową. Jeśli dowiemy się czegoś nowego, prześlemy im.

- Cieszę się. Dzięki. - Abigail zdała sobie sprawę, że to wizyta kurtuazyjna. - Dziękuję, że wpadliście.

- Wkrótce przyjedziemy, żeby porozmawiać

o twoich relacjach z Grace Cooper - powiedział Capozza.

I bez wątplenia o relacjach Chrisa z nią. Chris

I Grace znali się prawie całe życie. Ale gdyby umarł z przyczyn naturalnych, to w raporcie z wywiadu środowiskowego, który przeprowadzało tych dwoje agentów, pojawiłby się najwyżej przypis na jego temat. W obecnej sytuacji agenci byli gotowi na wszystko - mieli nadzieję, a nawet spodziewali się, że natrafiają na jakiś nowy ślad. Abigail mogła to wyczytać z ich twarzy. Marzyli o odkryciu czegoś, co pomogłoby w rozwiązaniu tej starej sprawy i zmieniłoby ich rutynowe zadanie w poważne śledztwo.

- Oczywiście - odrzekła. - Będę tutaj co najmniej do końca tygodnia.

Agentka specjalna Steele otworzyła drzwi samochodu od strony pasażera, po czym spojrzała przez ramię na Abigail.

- Dlaczego tu teraz jesteś? Masz wakacje? Capozza poruszył stopą luźny kamień na podjeździe.

- Zaskakujący zbieg okoliczności, prawda?

- Rozmawialiście z porucznikiem Beelerem i szeryfem Aldenem - domyśliła się Abigail.

Kiwnęli głowami.

- Wiemy o telefonie - oznajmiła Steele, oparta o otwarte drzwi samochodu.

- Chcecie poznać szczegóły?

- Jeśli nie masz nic przeciwko...

- Nie mam. - Abigail uśmiechnęła się, widząc, że każde z nich, niemal w tym samym momencie, trzepnęło ręką komara. - Zapraszam do środka.

Abigail zanurzyła się w starym skórzanym fotelu w tylnym pokoju, pełniącym w jej domu wielorakie funkcje. Przez otwarte drzwi wpadały do środka zimne powiewy znad oceanu. Wiatr przybierał na sile wraz z nadchodzącym przypiływem. Abigail lubiła szum wiatru, jego słony smak, ale wiedziała, że w końcu będzie musiała zamknąć drzwi. W nocy temperatura miała spaść poniżej dziesięciu stopni.

Czy tej nocy Mattie znów urządzi sobie w ruinach tajemną popijawę?

Agenci FBI wysłuchali uważnie opowieści o telefonie. Zadawali te same pytania, co wcześniej Lucas, Bob, Scoop i Lou, a także ona sama. Abigail miała nieśmiałą nadzieję, że gdy znów na te pytania odpowie, dojdzie do jakichś nowych wniosków, ale tak nie było.

Kiedy Capozza i Steele odjechali, Abigail zeszła do zatechłej piwnicy, wzięła z niej różne narzędzia i rozłożyła na podłodze w tylnym pokoju. Zestaw śrubokrętów i kluczy, dwa młotki, dłuta, skrobaki, poziom-nica, łom, nożyk przemysłowy, piła do płyt gipsowych i ciężki młot.

Browningowie dbali o swoje narzędzia. Abigail

zostawiła w piwnicy wiertarkę elektryczną i dużą piłę oraz te narzędzia, których przeznaczenia nie znała. Chris i jego dziadek byli nieskorzy do wyrzucania czegokolwiek. Jeśli jakieś narzędzie się rozleciało, wykorzystywali dobre części do zrobienia nowego.

W tylnym pokoju nie wystarczyło pomalować ściany. Wymagał gruntownego remontu - wymiany płyt ściennych, instalacji elektrycznej i podłogi. Abigail przez lata zbierała książki typu „zrób to sam”. W którejś z pewnością był rozdział na temat remontu pokoju. To nie mogło być trudne. Abigail musiała tylko uważać, żeby nic nie spadło jej na głowę i żeby nie poraził jej prąd.

Wzmógł się wiatr. Pod wpływem silnego podmuchu lekkie plastikowe krzesło przesunęło się po werandzie, po czym przewróciło do tyłu z tak głośnym trzaskiem, że Abigail na chwilę zamarła, choć się tego spodziewała.

Wyskoczyła z fotela i chwyciła oburącz wielki młot. Nagle przypomniało jej się, jak Chris trzymał go kiedyś w dłoniach, uśmiechając się do niej. Do czego był mu wtedy potrzebny? Tego już nie pamiętała.

Spojrzała na fragment ściany, gdzie był przeciek, który łatali ostatniego ranka, jaki razem przeżyli. Naprawa nigdy nie została dokończona jak należy. Widać było ślady po taśmie i wyschnięty gips, a biała farba, którą z grubsza zamalowali ten obszar, nie pasowała odcieniem do tej, która pokrywała resztę ściany.

Abigail mogła to poprawić sama, poprosić przyjaciół albo kogoś wynająć, ale jakoś nigdy się do tego nie zabrała.

- Och, Chris.

Jej głos poniósł się echem ku ciemniejącym skałom.

Wzięła zamach, a potem uderzyła na wydechu młotem, ale nie w prowizorycznie załataną ścianę, tylko w węższą, obok drzwi na werandę.

Gips pękł. Biały pył wystrzelił z miejsca, w które huknął młot.

Abigail łupnęła ponownie. Tym razem młot przebił gips.

Jej oczy łzawiły od pyłu.

- Mam wobec ciebie dług, przyjacielu. Siedem lat...

- Tobie zawdzięczam to, kim teraz jestem.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nocne powietrze wypełniała cierpka woń zimozielonych drzew i torfu oraz zapach oceanu. Owen stał na tarasie i nasłuchiwał, świecąc latarką na skały. Wyszedł na zewnątrz, bo usłyszał jakieś głosy, dochodzące ze starych ruin. Głosy kłócących się ludzi.

Mattie Young wyłonił się z ciemności i zasłonił dłonią twarz.

- Oślepiasz mnie.

- Co ty tu robisz, Mattie?

- Uciekam przed Abigail. Jest uzbrojona. Myślałem, że chce mnie zabić.

- Nie chciałam cię zabić. - Abigail zeskoczyła lekko z głazu, lądując za Mattiem, który aż drgnął. - I nadal nie chcę, ale na twoim miejscu nie rzucałabym już we mnie puszkami po piwie.

Mówiła spokojnym głosem, jak na policjantkę przystało.

Owen skierował snop latarki na ziemię, oświetlając im drogę.

- Chodźcie. Wyjaśnimy to.

- Nic z tego - powiedział Mattie. - Wracam do domu.
- Jak? - spytała Abigail. - Chcesz jechać po ciemku rowerem?
- Owszem. Ciągle to robię. Jeśli ci się to nie podoba, zadzwoń do Doyle'a. Powiem mu, że groziłaś mi bronią.

Abigail westchnęła.

- Nie groziłam ci, Mattie.
- Jesteś uzbrojona...
- Pewnie, że jestem. Szpiegowałeś mnie?
- Dlaczego miałbym to robić?
- To nie jest odpowiedź. Kręciłeś się tutaj w niedzielny wieczór... Tuż przed moim przyjazdem. Wiedziałaś, że przyjeżdżam?
- Jasne, że nie. Skąd miałbym to wiedzieć? Abigail odczekała chwilę.
- Wiesz, że nie wolno ci pić, prawda?

Mattie nie odpowiedział. Owen zauważył, że żadne z nich nie kwapi się, by wejść do środka i wyjaśnić sprawę przy rozpalonym kominku.

- Pójdź na spotkanie odwykowe - powiedziała Abigail. - Wystarczy już tych samotnych posiadówek z sześciopakami, nie sądzisz?
  - Pieprz się, Abigail! Prowadź sobie dochodzenia gdzie indziej. Tutaj ci nie wolno.
- Mattie obrócił się na pięcie i ruszył w stronę alejki dojazdowej.
- Gdzie jest twój rower? - zawołała za nim Abigail.
  - Niedaleko. Już ty się nie martw...
  - Ukryłeś go?
  - Idź do diabła!
  - Dobrze przynajmniej, że używasz mniej wulgarnego języka. Jeśli ukryłeś rower...

- Niczego nie ukryłem. - Zatrzymał się nagle i odwrócił. - Nie będę kłaniał ci się w pas. Znałem rodziców Chrisa. Znałem jego dziadka. Znałem ich wszystkich, zanim przyszedł na świat. Myślisz, że tylko ty nie możesz zapomnieć, co spotkało Chrisa? Myślisz, że tylko ty chcesz, by znaleziono jego zabójcę?

- Mattie - odezwał się Owen - wystarczy. Wracaj do domu. Musisz odpocząć.

- Chciałeś powiedzieć „wytrzeźwieć”? Nie jestem pijany.

Po chwili jednak potknął się i zaklął. Niezrażony pokazał im środkowy palec. Potem zniknął za zakrętem.

Abigail milczała. Owen poświecił jej latarką w twarz i zobaczył, że zaciska mocno zęby. Miała na sobie bluzę sportową, ale było jej zimno.

- Wejdz do środka - powiedział. - Ogrzejesz się.

- Dzięki. - Weszła po schodach na taras, zerkając jeszcze raz na alejkę dojazdową. - On ma rację. Wy wszyscy znaliście Chrisa dłużej niż ja.

- Chciał ci po prostu dopiec.

- Może. Chris nie próbował go usprawiedliwiać, ale nigdy nie potępiał, nawet kiedy zerwał z nim kontakty. Wierzył w niego. On jest bardzo utalentowany.

- Sam talent to za mało. Trzeba umieć go wykorzystać.

- Chris mówił, że Mattie nie zdaje sobie sprawy z własnych ograniczeń. To ma swoją dobrą i złą stronę. Dobra to ta, że nie boi się podejmować ryzyka, kiedy fotografuje. Zła - że nie oszczędza pieniędzy i nie wyznacza sobie realistycznych celów. Wydaje mu się, że nie obowiązują go żadne reguły.

- Między innymi dlatego pije.

- Spotkania anonimowych alkoholików jemu nie pomogą. - Westchnęła. - To taka ciężka choroba. Gdyby udało mu się jakoś z niej wyzwolić...
- To kwestia silnej woli. Nikt nie zrobi tego za niego.
- Mówiłam to samo Chrisowi. Ale nie musiałam. Doskonale o tym wiedział. Wszyscy wiedzieliśmy. Owenowi też zrobiło się zimno, bo wyszedł na zewnątrz w t-shircie.
- Śmierć Chrisa była dla Mattiego wymówką, pretekstem, by dalej pić.
- Może. - Twarz Abigail znów stężała. - Ale Mattie wybrał tę drogę dużo wcześniej. Owen podszedł do Abigail i strzepnął dużego komara z jej czoła. Ona z kolei machnęła ręką, próbując odpędzić innego.
- Powinnam była spryskać się środkiem przeciwko owadom. Weszli do środka. Abigail nie była zmęczona pogonią za Mattiem, bo miała dobrą kondycję. Jako policjantka musiała ją mieć. Poza tym lubi aktywność fizyczną - pomyślał z przekąsem Owen, świadom, że Abigail zastrzeliłaby go, gdyby potrafiła czytać w jego myślach.
- Mam butelkę chianti, którą trzymałem na specjalną okazję.
- Czyli jaką?
- Taką jak ta. To był dla mnie ciężki rok, a nie lubię pić do lustra. Uśmiechnęła się, siadając na krześle przy kominku.
- W takim razie otwórz tę butelkę. Co dzisiaj robiłeś?
- Odwiedził mnie Linc Cooper. Chce, żebym w niespełna dwa tygodnie nauczył go wszystkiego, co

umiem. - Wziął wino ze stojaka w kuchni. - Pamiętam to uczucie. Linc ma problemy i myśli, że jak nauczy się skakać z helikoptera, one znikną.

- Tobie to nie pomogło? Otworzył butelkę.<sup>1</sup>

- Ja miałem inne problemy.

Ogień tak się rozbuchał, że zrobiło się znacznie cieplej, niż Owen chciał. Na policzkach Abigail wykwitły rumieńce, jej otoczona ciemnymi lokami twarz rozłuźniła się.

- Masz biały pył we włosach - powiedział Owen, nalewając wino do stojących na blacie kieliszków.

- Burzyłam ściany.

- Żeby odreagować?

- Nie wiem. Chyba tak. Po prostu czułam, że muszę to zrobić.

- Wypatrywałaś Mattiego czy poszłaś się rozejrzeć, kiedy go usłyszałaś? - Owen podszedł do Abigail z dwoma kieliszkami i podał jej jeden z nich. - Podejrzewam, że się na niego zaczałaś.

- To źle podejrzewasz. Usłyszałam coś i poszłam sprawdzić...

- Po ciemku?

- Tak.

- Bez latarki?

- Nie potrzebowałam jej. To bezchmurna noc. Kiedy mój wzrok przyzwyczał się do ciemności, było w porządku. Jedynie krótki odcinek przez las wymagał większej ostrożności.

Owen usiadł na krześle naprzeciwko Abigail.

- Poza tym światło latarki mogłoby spłoszyć Mattiego.

Abigail spróbowała wina.

- Owszem.

110

- Zawsze taka jesteś? Abigail zmarszczyła brwi.
- To znaczy jaka? Szalona? Narwana?
- Chodzi mi o to, czy potrafisz choć przez chwilę nie być detektywem.
- Aha, rozumiem. To nie jest moja jurysdykcja. Czemu pytasz?
- Po prostu chcę wiedzieć, kiedy rozmawiam z Abigail, moją śliczną, ciemnooką sąsiadką, a kiedy z panią detektywem Browning, śliczną, ciemnooką policjantką.
- To ta sama osoba. - Abigail wypiła trochę wina. - Jak Linc sobie radził podczas wędrówki?
- Dobrze. Jest w lepszej formie, niż myśli. Pytał o ciebie: po co przyjechałaś i tak dalej.
- To zrozumiałe. Zawsze, gdy tutaj jestem, ludzie wpadają w panikę. Przypominam im o nierozwiązanej sprawie. A co do Linca... - Poprawiła się na krześle, patrząc w ogień. - Bardzo przeżył śmierć Chrisa. Miał wtedy zaledwie trzynaście lat. Chris był jego idolem.
- Pamiętam.
- Pomożesz mu?
- Włączenie się z Linkiem Cooperem po górach to niezupełnie to, co planowałem na wakacje.
- A co planowałeś?

W głosie Abigail nie było ani odrobiny podejrzliwości czy frustracji - uczuć, które jej towarzyszyły podczas rozmowy z Mattiem na skałach. Jej oczy połyskiwały w blasku pomarańczowych płomieni. Widząc biały pył na jej rękach i włosach, Owen wyobraził ją sobie burzącą ściany w domu zmarłego męża.

- Nie wiem - odparł.
- Może właśnie tego ci trzeba, kilku niezaplanowanych tygodni.

Uśmiechnął się.

- Moja babcia uważa, że tak wygląda moje życie. Że jestem jak liść niesiony przez wiatr.
- Może dlatego lubisz Maine? Te granitowe skały nigdy się stąd nie ruszają. Odnajdujesz tu harmonię, której brakuje ci w życiu.
- Bardzo filozoficzne. Roześmiała się.
- Nie przesadzaj. - Wstała z krzesła, pociągnęła jeszcze jeden łyk chianti, po czym odstawiła kieliszek na stolik. - Pójdę już. Dzięki za wino.

Coś w wyrazie twarzy Owena przestraszyło Abigail, sprawiło, że poczuła się nieswojo.

- Linc uważa, że ty też sprzedasz dom. Powiedziałem mu, że byłoby jakoś dziwnie, gdyby tych skał nie odwiedzał już nikt z rodziny Browningów.
- Prawdziwych Browningów już nie ma. Wielu z nich zmarło młodo. Chris, jego rodzice i Bóg jeden wie, ilu przodków. Jestem pewna, że dziadek Chrisa dożył pięćdziesięciu pięciu lat, żeby zagrać na nosie losowi.

Owen dotknął palcem policzka Abigail. Czuł żar bijący od kominka, a z drugiej strony chłód nocnego powietrza, dostającego się do środka przez lekko uchylone drzwi. Jej skóra była ciepła, delikatna.

- Abigail...

Wciągnęła głośno powietrze.

- Nigdy już nie przeżyję takiej miłości jak tamta. To była moja pierwsza miłość. - Spojrzała Owenowi głęboko w oczy. - Ale nie myśl, że nikogo potem nie kochałam albo że nie jestem już zdolna do miłości.
- Zakochałaś się w kimś?
- Nie... Nie w takim sensie, jak myślisz. Ale nie narzekam na swoje życie. Mam wspaniałych przyjaciół, cudowną rodzinę, ciekawą pracę. To dużo.

- Niczego ci nie brakuje?

- Nie żyję przeszłością, jeśli o to ci chodzi. Chcę się dowiedzieć, kto zabił Chrisa. Chcę, by winny został ukarany. Ale nie myślę o tym od rana do wieczora.

Owen powiódł palcem wokół ust Abigail i zauważył, że przymknęła oczy na ułamek sekundy dłużej niż wtedy, gdy mrugała. Jego dotyk nie był jej obojętny.

- A twoje sprawy sercowe? - spytała. - Nie ożeniłeś się.

- Jeszcze nie.

- Ale pewnie masz jakieś plany...

Owen zbliżył się o krok i położył dłoń na karku Abigail, całkowicie ją dekoncentrując. Nie pamiętał, kiedy po raz pierwszy wpadła mu w oko. Może zawsze mu się podobała, ale wydawała się zbyt niedostępna, odległa. Wdowa po Chrisie Browningu. Czasem widywał ją na skałach, czasem zamieniali ze sobą kilka słów, spotkawszy się przypadkiem podczas spaceru, w sklepie, na poczcie. Nigdy nie przypuszczał, że kiedyś da wyraz swojemu zauroczeniu. A jednak dał.

Musnął ustami jej wargi. Wiedział, że nie może się posunąć za daleko. Ona jednak wbiła palce w jego ramię i to wcale nie po to, żeby się go przytrzymać, lecz po to, by dać mu sygnał, że chce tego samego. Rozchyliła usta i Owen przyjął zaproszenie. Ich języki splotły się w pocałunku, a jej dłoń jeszcze mocniej ścisnęła jego ramię.

Objął ją w talii i lekko uniósł, przyciskając do siebie. Jakże łatwo byłoby teraz ściągnąć szorty z jej wąskich bioder i posiąść ją tam - przy kominku.

Owen wsunął nieco dłoń w szorty Abigail i rozpostarł palce na jędrnych, ciepłych pośladkach.

- Do licha, Owen-powiedziała, odrywając usta od jego warg i zarzucając mu ręce na szyję. Miała nierów-

ny oddech, błyszcząły jej oczy, pod koszulą rysowały się wyraźnie sutki. Przywarła do niego i znów odnalazła jego usta. - Dó licha.

- Powiedz, czego pragniesz. - Wsunął dłonie głębiej w szorty. Jej ciało było coraz cieplejsze, coraz bardziej wilgotne. Jak to możliwe, że posunęli się tak daleko i że to się stało tak szybko? Mógł ją teraz rozebrać w mgnieniu oka. - Powiedz, Abigail.

Uśmiechnęła się.

- Jest oczywiste, czego oboje pragniemy. - Oparła stopy na podłodze i cofnęła ręce, którymi obejmowała szyję Owena. - Lubisz żyć niebezpiecznie, prawda?

- A ty nie?

- Cóż... - Nie bardzo mogła zaprzeczyć. - Nie o to chodzi. A może o to.

Oboje wiedzieli, że nie wolno im się poddać temu impulsowi - że to nie jest odpowiedni moment, choćby dlatego, pomyślał Owen, że oboje również wiedzieli, że to coś więcej niż impuls. Coś się rodziło między nimi i to od dawna.

Owen cofnął się nieco.

- Jeszcze jeden kieliszek wina? Abigail uśmiechnęła się.

- Bardzo chętnie.

Linc usłyszał w ciemności brzęk roweru na podjeździe i od razu domyślił się, że to Mattie Young.

Któż inny mógł to być?

Jego ojciec podniósł wzrok znad książki i zapytał:

- Co to?

- Przyjechał jeden z moich kumpli - odparł Linc, zerwawszy się z miejsca. Byli we frontowym pokoju i udawali, że są normalną rodziną. On, jego ojciec

i siostra. - Wybieramy się jutro w góry i chcemy wszystko ustalić.

- Świetnie.

Linc wiedział, że to się ojcu spodoba. Jason nie posiadał się z radości, ilekroć jego jedyny syn decydował się na podjęcie jakiegokolwiek aktywności fizycznej, odrywając się tym samym choćby na chwilę od gier wideo. Nie dopytywał wówczas o szczegóły, żeby go nie zniechęcić, i na to właśnie liczył Linc. Widział, jak ojciec zareagował, kiedy powiedział mu o wędrowce z Owenem. Bezwarunkowa akceptacja, żadnych pytań, byleby tylko Linc nie rozsiadł się z powrotem przed telewizorem.

Grace jednak odłożyła cicho książkę, którą czytała, i poszła za bratem na frontowy ganek.

- To Mattie, prawda?

- Chyba tak. Podejrzewam, że jest pijany.

- O Boże, miałam nadzieję, że tym razem zerwie z nałogiem na dobre. - Mówiła szeptem i wyglądało na to, że nie zamierza brać udziału w spotkaniu z Mattiem. - Proszę, postaraj się, by nie zrobił krzywdy sobie ani nikomu innemu.

- Na przykład tobie, Grace?

Nawet w nikłym świetle Linc zobaczył, że się zarumieniła.

- Na wyspie są agenci FBI, prześwietlają moją przeszłość. Wszyscy o tym wiemy. Ale nie o tym mówiłam...

- Wiem, że nie. Przepraszam. - Wskazał ruchem głowy frontowe drzwi. - Wracaj do środka. Zajmij czymś tatę. Nie dałby Mattiemu kolejnej szansy.

Linc poczekał kilka sekund, żeby Grace mogła wrócić do środka, po czym pokonał w dwóch skokach schody ganku i wybiegł na podjazd.

Mattie kopnął rower.

- Pieprzony złom!

- Uważaj na słowa - powiedział Linc. - Znasz mojego ojca.

- On też przeklina. Słyszałem.

- Sam nie zawsze kieruje się zasadami, których przestrzegania oczekuje od innych.

- Zwłaszcza od swojego pracownika, co? - Mattie zahaczył stopą o rower i omal się nie przewrócił. Z jego szeroko otwartych oczu biła wściekłość. Ale nie był pijany. - Chcę resztę pieniędzy.

- Nie tutaj...

- Wszystko. Co do centa.

- Mattie, nie mogę.

- Możesz, Linc. Twój ojciec ma taką sumę schowaną w materacu. Zdobądź kasę, zanim zażądam kolejnych dziesięciu patoli.

Lincowi żołądek podszedł do gardła. Myślał, że zaraz zwymiotuje - tam, na podjeździe. Wiedział jednak, że nie ma sensu kłócić się z Mattiem. Chciał tylko jak najszybciej się od niego uwolnić, nie zwracając uwagi swego ojca.

- W porządku, zobaczę, co da się zrobić. Dasz mi jeszcze dwa dni?

- Masz czas do jutra. Linc kiwnął głową.

- Dobrze, ale niczego nie obiecuję...

- Daj. Mi. Moje. Pieniądze.

- Dam.

Udobruchany Mattie wciągnął powietrze i kichnął, niemal łkając.

- Zrobię dobry użytek z tych pieniędzy. Wrócę do fotografowania. Możesz sobie myśleć, że jestem draniem. Ludzie zobaczą prawdziwego Mattiego.

Prawdziwego? Linc poczuł niesmak, ale nie dał tego po sobie poznać.

- Mam nadzieję, Mattie.
- Tak będzie. Przekonasz się.
- Na pewno. Zawsze mówiono, że masz talent.
- Nie tylko talent, ale i warsztat. Fotografowanie to coś więcej niż naciskanie guzika.
- Znasz się na tym lepiej niż ja.
- Żebyś wiedział.

Przez chwilę Lincowi było nawet szkoda Mattiego, życzył mu jak najlepiej - człowiekowi, który go szantażował.

- Słuchaj, może odwiozę cię do domu? Jest ciemno i zimno...

Mattie pokręcił głową.

- Pojadę swoim przeklętym rowerem. Ale kiedy odzyskam prawo jazdy... - Pociągnął nosem i podniósł rower. - Nigdy więcej, rozumiesz? Pokażę wszystkim, co jestem wart.
- Wierzę ci.

Za drugim razem Mattiemu udało się ruszyć rowerem i odjechać w noc. Linc poszedł podjazdem do bramy, zatrzasnął ją i zamknął na kłódkę, wiedząc, że tego oczekiwał ojciec. Poza tym Linc potrzebował trochę czasu, by ochłonać.

Bolały go nogi po wędrowce z Owenem. Co mu strzeliło do głowy? Jak mógł myśleć, że zostanie ratownikiem? Przecież nie dorastał Owenowi do pięt. Facet chodził po górach z nadzwyczajną łatwością. Był silny i wysportowany.

Ojciec ma rację, pomyślał Linc. Wszyscy mają rację. Jestem mięczakiem.

Na domiar złego popadł w tarapaty. Pozwolił, by Mattie go szantażował, i przez chwilę nawet mu współczuł.

Zaczął iść z powrotem podjazdem. Chciał się potknąć, skrećić sobie kark i umrzeć na miejscu. Czuł, że do niczego się nie nadaje, że jest dla swojej rodziny ciężarem.

Otarł łzy przedramieniem.

Mattie nie miał honoru ani hamulców moralnych. Nie myślał racjonalnie. Nie można było mu wierzyć, był nieprzewidywalny i wybuchowy. Linc bał się, że zostanie wciągnięty na zawsze w jego brudną grę. Nie ufał mu.

Przełknął łzy. Jak miał zdobyć dziewięć tysięcy dolarów w jeden dzień - ba, nawet w tydzień? Co zrobi Mattie, kiedy nie dostanie pieniędzy?

Łzy spływały mu po twarzy. Jednak dalece bardziej niż ponurej perspektywy niezdobycia pieniędzy dla Mattiego Linc nie mógł znieść myśli, że wszyscy, nawet ten pijak, będą myśleli, że to on zabił Chrisa Browninga.

*Chris zginął przez ciebie.*

Potykając się, Linc minął garaż i przeszedł przez podwórko. Wiedział, że musi wziąć się w garść, zanim wróci do ojca i siostry.

Widział zarys gór za zatoką na tle rozgwieżdżonego nieba.

- Zginałeś przeze mnie, Chris - wyszeptał. - Proszę, wybacz mi. Proszę.

Owen Garrison świetnie sobie radził mimo poczucia winy związanego ze śmiercią swojej siostry, ale Linc nie był taki silny.

- Linc? - Grace zeszła z kamiennego tarasu, rzucając długi cień. - Wszystko w porządku? Tata zaczął się martwić.

- Tak, wszystko gra. Właśnie miałem wejść do środka.

Podeszła do niego.

- Mattie?

- Już pojechał. Nie był pijany. Chciał tylko... Chciał się upewnić, czy ma jutro przyjść. - Zaśmiał się sztucznie. - Mattie to dziwak.

- To prawda - powiedziała słabym głosem Grace. Była blada na twarzy nie tylko z powodu światła, w którym stali. Dygocząc, opatulila się ciasniej workowatym swetrem. - Chodźmy.

- Grace... - zaczął Linc, ale powstrzymał się. - Zresztą nieważne. Masz rację, powinniśmy już wejść do środka. Jest zimno. - Pociągnął nosem. - Dlatego nabawiłem się kataru i mam czerwony nos.

- Naprawdę? Nie zauważyłam.

Oto cała ona, pomyślał Linc. Zawsze taka dobra. Chciał powiedzieć siostrze o szantażu i poprosić ją o radę. Ale czy mógł? Miała dość spraw na głowie. Poza tym mogłaby się poczuć zobligowana, by powiedzieć o wszystkim agentom FBI. Czy to nie zagroziłoby jej nominacji?

Gdyby z kolei zataiła to przed nimi, a oni sami by się dowiedzieli... Co wtedy?

Nie, sam muszę rozwiązać ten problem, pomyślał, idąc za siostrą po chłodnej trawie.

Miał nadzieję, że gdy Mattie dostanie całą sumę, zadowolili się nią.

Tyle że tacy jak Mattie Young zawsze chcą więcej.

Kiedy dostanie dziesięć tysięcy, wysunie nowe żądanie. Nie będzie w stanie oprzeć się pokusie.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Chłopcy zaczęli się kłócić pięć minut po tym, jak Doyle zabrał ich od Owena, i jeszcze nie przestali. Najchętniej wysłałby ich obu do Londynu. Niech matka się z nimi użera.

- Dlaczego nie możemy zostać u Owena? - spytał z naciskiem Sean.

- Bo wyszłście oknem.

- Nic złego się nie stało. Nikt nie ucierpiał. Owen nie miał do nas pretensji.

- Ale ja mam do was pretensje. A gdyby to nie był Mattie? Gdyby w ruinach był duch? Co wtedy? -

Spio-runował wzrokiem Seana, a potem spojrzał na Iana. - No właśnie. Nie wiecie, co powiedzieć.

Zamiast pomyśleć, wyfrunęliście przez okno, jakbyście mieli robaki w zadkach...

Chłopcy zaczęli chichotać.

- Z czego się śmiejecie?

- Robaki w zadkach - powiedział Ian. - To śmieszne, tato.

Doyle odchylił się na krześle i uśmiechnął do swoich synów.

- Co mam z wami zrobić? Kiedy zadzwoniła mama, powiedzieliście jej, że spuściliście się z okna po prześcieradle?

- Nie - odrzekł Sean. Ian kiwnął głową.

- Martwiłaby się.

- Nie obchodzi was, czy ja się martwię?

To pytanie wywołało kolejną salwę śmiechu.

Przynajmniej przestali się kłócić, pomyślał Doyle. Gdyby usłyszał jeszcze jeden krzyk, jęk, udawany płacz albo wypowiedzianą szeptem groźbę, kazałby chłopcom iść na górę, a sam usiadłby przed telewizorem.

Ktoś zapukał głośno w drzwi, mimo że było już po dziewiątej. Doyle wstał z krzesła, wymierzył palec w swoich synów i powiedział:

- Nie ruszajcie się stąd. Jasne?

Zapalił światło na zewnątrz, wyjrzał przez okno i zobaczył Mattiego Younga, który przestępował z nogi na nogę na ganku. Widząc go, Doyle poczuł ukłucie irytacji. Wcześniej tego dnia ledwo powstrzymał się od odszukania Mattiego i zadania mu kilku pytań na temat niedopałków i puszek w starych ruinach - oraz powodu, dla którego wystraszył jego synów, udając ducha. Postanowił jednak z tym poczekać, aż przejdzie mu złość. Poza tym nie było to takie pilne, niezależnie od tego, co na jego miejscu zrobiłaby Abigail Browning.

- To Mattie! - zawołał do chłopców. - Zaraz wracam.

- Dobrze, tato - odparł Sean, jakby był szefem. - Nie spiesz się.

Doyle otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz. Mattie cofnął się odruchowo i zgarbił w charakterystyczny dla siebie sposób - jakby w poczuciu winy. Wyglądał na

zmarzniętego i wyczerpanego. Miał tłuste włosy, spięte w kucyk. Na jego ciele było widać liczne ślady po ukąszeniach komarów.

- O co chodzi, Mattie? - spytał Doyle.

- To nie jest oficjalna wizyta u szefa policji. Nie musisz jej nigdzie rejestrować.

- To zależy, czego chcesz.

Mattie wzdrygnął się, nie patrząc Doyle'owi w oczy.

- Chcę, żebyś kazał Abigail Browning trzymać się ode mnie z daleka.

- Czemu? Co takiego zrobiła?

- Nic... na razie.

- Więc nie mam podstaw.

- Nie potrzebujesz ich. Nie przyszedłem do ciebie jako do gliny, ale jako do przyjaciela. Ona cię posłucha.

- Kiedy ją ostatnio widziałeś?

Mattie oblizał usta i spojrzał przez ramię, jakby podejrzewał, że gdzieś za jego plecami czai się Abigail.

- Przed chwilą.

- Do licha, Mattie, mam ciągnąć cię za język? Mów, co się stało.

- Nastraszyła mnie jak diabli. - Odwrócił się z powrotem do Doyle'a. Światło znów padło na popękane naczynka krwionośne na jego twarzy. - Zajmowałem się swoimi sprawami...

- Gdzie?

- To bez znaczenia.

Doyle zakołysał się na piętach.

- Przyłapała cię na picciu w ruinach domu Garri-sonów.

Mattiemu opadła szczęka.

- Powiedziała ci?
- Nie, Mattie, nie musiała.
- Ale... - Urwał i zaśmiał się krótko. - Chłopcy mnie tam widzieli? Robiłem wszystko, żeby mnie nie zobaczyli. Wiesz, nie chciałem, żeby odnieśli błędne wrażenie.
- Jakie wrażenie, Mattie? Że pijesz piwo i palisz papierosy w ciemności?
- Tylko jedno piwo. Słowo.
- Ty nigdy nie poprzestajesz na jednym piwie. Jesteś pijakiem. Doskonale wiesz, jak działa na ciebie alkohol...
- Tak, wiem. Dlatego Stronię od niego.
- Picie piwa trudno nazwać stronieniem od alkoholu. - Doyle zdał sobie sprawę, że się nie gniewa. Po prostu miał dosyć Mattiego i jego problemów. - Alkoholizm to choroba. Nie można się od niego uwolnić z dnia na dzień. Przestań uciekać, zmierz się z nim.
- Zmierzyłem się. Mogę wypić jedno piwo i nie sięgać po następne. Nie muszę wyrzekać się alkoholu całkowicie. Jedno piwo i na tym koniec.
- Nie, Mattie, to tylko złudzenie.

Mattie podrapał się po nosie i spojrzał na swoje stopy, ale nie ze wstydu - o czym Doyle dobrze wiedział - tylko dlatego, że był zirytowany. Zawsze uważał, że wszystko wie najlepiej.

Podniósł głowę.

- Nie byłem na terenie posesji Abigail.
- Nie, byłeś na terenie posesji Garrisonów. Owen cię widział?
- Niepotrzebnie tu przyszedłem. Myślałem, że jesteś moim przyjacielem.
- Źle traktujesz swoich przyjaciół, Mattie. Noto-

rycznie kłamiesz i sprawiasz zawód wszystkim, którym na tobie zależy. Czego ode mnie oczekujesz? Jako od przyjaciela?

- Niczego. Absolutnie. Zapomnij, że u ciebie byłem.

- Gdyby Abigail przekroczyła granice...

- Co byś zrobił?

- To, co do mnie należy.

- Tak, jasne - prychnął Mattie. - Ona jest detektywem, córką dyrektora FBI, wdową po Chrisie. Nie kiwnąłbyś palcem, nawet gdyby walnęła mnie w głowę i wyładowałbym w szpitalu.

- Idź do domu, prześpij się. Może ochłoniesz z tego narcystycznego gniewu. Poza tym trzymaj się z daleka od posesji Garrisona i nie prowokuj Abigail. - Doyle popatrzył na Mattiego z rezygnacją, z którą dawno już się oswoił, rozczarowaniem tak głębokim, że już go nawet nie odczuwał. - Oto moja rada.

Mattie zrobił gwałtownie krok do przodu i chwycił Doyle'a za ramię.

- Abigail coś knuje. - Wbił palce mocniej w jego ramię, a potem cofnął rękę, odrzucając jednocześnie kucyk na plecy. - Słucham, co mówią ludzie. Wszystko widzę. Nawet to, czego inni nie dostrzegają. Dlatego piję.

- Pijesz dlatego, że jesteś alkoholikiem i nie chcesz podjąć walki z nałogiem.

- Nie popadam w paranoję. Abigail szuka zabójcy Chrisa. Myślę, że teraz nie dba już nawet, czy znajdzie tego prawdziwego. Chce mieć to za sobą, te poszukiwania, te łowy.

- Mattie, mówisz od rzeczy. - Doyle'owi opadły ręce, jak to zwykle bywało, kiedy miał do czynienia z Mattiem i jego rozgoryczeniem. - Po co Abigail

miałaby zadawać sobie tyle trudu, gdyby nie zależało jej na znalezieniu prawdziwego zbrojcy? Mattie jednak wiedział swoje. Doyle nieraz widział go w takim stanie - oderwanego od rzeczywistości, udającego, że wszystko jest mu obojętne.

- Dobra, nieważne. Przynajmniej znasz sytuację. Jeśli nie chcesz powiedzieć Abigail, żeby się ode mnie odczepiła, to nie mów. Twoja sprawa. Pozdrów ode mnie chłopców. Niech wpadną do mnie na rowerach któregoś popołudnia.

- Mattie...

Ale ten schodził już po schodach i nie oglądając się, machał ręką na pożegnanie.

- Na razie, szeryfie. Muszę jutro wcześnie wstać i pomóc Ellisowi. Niedługo przyjadą agenci nieruchomości, żeby obejrzeć posiadłość. Wszystko musi być tip-top.

- Tak - zgodził się Doyle. - Cały Ellis. Ej, Mattie... Ale jego już nie było. Dotarł do drogi, podniósł rower, przeszedł kilka kroków, prowadząc go, a potem wsiadł. Doyle nie próbował go zatrzymać. Przed laty widział, jak Mattie Young marnuje talent i pogrąża się coraz bardziej w autodestrukcji, goryczy i poczuciu krzywdy. Nikt nie mógł mu pomóc, bo on sam nie chciał sobie pomóc - nie chciał nawet przyznać, że ma problem.

W miesiącach poprzedzających śmierć Chrisa pojawiła się iskierka nadziei. Mattie chodził czysty, ciężko pracował, robił zdjęcia. Był szczęśliwy. Snuł plany na przyszłość. Nie pił. Zmienił swoje życie na lepsze.

Jednak przed ślubem Chrisa znów zaczął się staczać, a dwa dni po tym, jak Owen znalazł jego ciało -jeszcze przed pogrzebem - Mattie przyszedł do Doyle'a pijany.

W ostatnich siedmiu latach miewał okresy abs-

tynencji, ale zawsze znajdował pretekst, by wrócić do picia. Teraz tym pretekstem było przekonanie, że jedno piwo może wypić.

Tyle że Doyle wiedział od Owena, że samotne popijawy w ruinach nie kończyły się na jednym piwie. Doyle wszedł do środka i zamknął drzwi, żałując, że Katie wyjechała i że nie może z nią porozmawiać o Mattiem. Znała go równie długo, ale miała do niego większy dystans.

Doyle był zmęczony.

- Co chciał Mattie? - spytał Sean.

- Nic takiego. Gotowi do spania? Wyjątkowo chłopcy nie zaprzeczyli ani nie zaczęli się kłócić między sobą. Doyle poszedł za nimi na górę. Gdyby to od niego zależało, Katie byłaby teraz w domu, a Abigail Browning prowadziła śledztwa w Bostonie, zamiast robić zamieszanie na wyspie. Ale czy od niego cokolwiek zależało?

Mattie zsiadł z roweru jakieś trzydzieści metrów od swojego domu i poprowadził go do podjazdu.

Bolał go tyłek od siedzenia na twardym siodełku. Pomyślał, że musi kupić żelowe.

Ale najbardziej zależało mu na odzyskaniu prawa jazdy.

Doyle nie zgodził się pociągnąć za sznurki, żeby Mattiemu szybciej zwrócono dokument, a przede wszystkim nie przytknął oka na całą sprawę. A mógł - Mattie nikogo nie potrącił. Poziom alkoholu w jego krwi nieznacznie przekraczał dozwolony limit. Co mu szkodziło dać kumplowi jeszcze jedną szansę?

Kiedy rzucił rower na trawę przed swoim nędznym, wynajętym domem, z mroku wybiegła jakaś postać. Odskokzył do tyłu i omal nie krzyknął.

Grace Cooper położyła palce na swoich pięknych ustach.

- Ćśśś. To ja.

- Grace... Mogłem dostać zawału.

- Przepraszam. Nie chciałam, żeby ktoś mnie zobaczył.

Oczywiście, że nie. Kiwnął głową jak głupek.

- Rozumiem. Będę u was jutro kosił trawę. Dlaczego nie zaczekałaś?

- Nie mogę czekać. - Mówiła spokojnym głosem, na granicy szeptu. - Mattie, na wyspie są agenci FBI.

Wyjął z džinsowej kurtki paczkę papierosów i stuknął w nią palcem, żeby wysunął się papieros.

Zauważył ze zdziwieniem, że nie drżą mu ręce.

- Serio? March ich zna?

- FBI ma wielu agentów. Ojciec Abigail nie może znać ich wszystkich.

- Ale zna tych, którzy przyjechali tu, żeby cię sprawdzić.

- Nie sprawdzają mnie. Przeprowadzają rutynowy wywiad środowiskowy.

Grace miała na sobie długi, luźny sweter. Jego błękitny kolor w połączeniu z jaskrawym światłem padającym z okien pobliskich domów sprawiał, że jej twarz wydawała się jeszcze bledsza. Grace była ładniejsza, niż myślała, i potrafiła być namiętna. Mattie pamiętał, jak bardzo namiętna.

Wiedział, że nie chciała pamiętać o ich przelotnym związku.

Grace skrzyżowała ręce na piersiach, jakby wiedziała, o czym Mattie myśli.

- Długo dzisiaj pracowałeś?
- O tej porze roku zawsze haruję jak wół. Co teraz robisz poza martwieniem się, co ludzie powiedzą FBI?
- Ojciec i ja pływaliśmy dzisiaj łodzią. Tą mniejszą. - Oblizła usta i odwróciła od niego wzrok. - To dobry czas, żeby wyrwać się z Waszyngtonu na kilka dni. Niewiele się tam dzieje.
- Chciałbym mieć choć jeden dzień na leniuchowanie.
- Spędzaliśmy kiedyś takie dni razem, pamiętasz?
- Znowu spojrzała na niego. Ku jego zaskoczeniu w jej oczach pojawiła się iskierka czułości. - Wszędzie zabierałeś ze sobą aparat. Miałeś w sobie tyle nadziei.
- Ty też - powiedział.
- Nadal mam. Ta nominacja wiele dla mnie znaczy.
- Dla twojego ojca też?
- Oczywiście. Bardzo mnie wspiera. Mattie, nie chcę cię prosić, żebyś kłamał... - Nie dokończyła. Ponieważ jednak Mattie milczał, odezwała się znowu.
- Nieważne. Nie powinnam była przychodzić.
- FBI nie wie o naszym romansie? Spuściła wzrok.
- Nie. Nie powiedziałam im.
- To cię dręczy, co? Stary romans z miejscowym pijaczkiem. Ogrodnikiem. Przyjacielem zamordowanego agenta FBI. - Mattie dziwił się goryczy w swoim głosie, temu, jak szybko go ogarnęła. - Byłaś ze mną, bo nie mogłaś być z nim.
- To nieprawda! - wysapała. - To nigdy nie była prawda.
- Nie?
- Jasne, że nie. Jak możesz tak mówić?

Ale on wiedział, że to prawda. Wiedział to już siedem i pół roku wcześniej, kiedy zaczął się jego

cudowny, pięciomiesięczny związek z Grace Cooper. Mattie był wtedy pełen nadziei. Grace miała go uratować przed nim samym, doprowadzić do ładu, chwalić się nim jako utalentowanym fotografikiem i jednym z najznamienitszych mieszkańców Maine.

Wierny niepisanej umowie Mattie nigdy wcześniej nie wypomniął Grace, że kochała Chrisa Browninga. Ale kochała go. Kiedyś i nawet teraz.

- Kto o nas wie? - spytał. Wyraźnie się skrzywiła.

- Nikt.

- A twój brat? Ten łobuz lubi węszyć. Wie o wszystkim, co się tutaj dzieje.

- Linc też nie wie. Ale nie zrobiliśmy nic złego. Po prostu nie chcę, żeby agenci cię za bardzo nękali. Mattie wyszczerzył zęby.

- Tak to sobie wymyśliłaś?

Grace zeszywniała i opuściła ręce wzdłuż ciała. Na większy przejaw emocji z jej strony Mattie nie miał co liczyć. Zawsze potrafiła panować nad sobą - jak na członka rodziny Cooperów przystało.

Emocje były dla ludzi z niższych sfer.

Emocje doprowadziły do śmierci Doe Garrison.

Chris Browning też zginął z ich powodu.

Mattie słyszał, jak Jason Cooper mówił to swoim dzieciom przy stole kuchennym. Doe zanadto się przejęła drobną sprzeczką i utonęła. Chris wpadł w furję, kiedy ktoś podniósł rękę na jego żonę, i został zastrzelony.

- Nie martw się. Nie powiem agentom FBI, że spałaś z miejscowym pijakiem. - Łamał mu się głos i to go irytowało. Przecież już mu nie zależało na Grace, przestało mu na niej zależeć dawno temu. - Nie powiem też, że byłaś zakochana w ich koledze.

- Jesteś wstrętny, Mattie. - Wypowiedziała te słowa spokojnie, nie podnosząc głosu. - Chciałabym ci współczuć i wspominać z sentymentem te kilka wspólnych miesięcy, niczego nie żałując. Ale jak na ciebie patrzę, robi mi się niedobrze.

- Robi ci się niedobrze? To wszystko? Nie masz ochoty walnąć mnie w głowę kamieniem albo strzelić mi prosto w serce?

- Szkoda by mi było czasu.

Znow skrzyżowała ręce na piersiach i zaczęła się przekradać w stronę drogi.

- Przyjechałaś samochodem? - spytał spokojnie.

- Zaparkowałam za rogiem. Powiedziałam ojcu i Lincowi, że mam coś do załatwienia.

- Nie boisz się, że śledzi cię FBI?

- Nie - odparła, po czym posłała mu chłodne, przeciągłe spojrzenie. - Nie mam nic do ukrycia.

- Sama w to nie wierzysz.

Przełknęła ślinę. Mattiemu wydawało się nawet, że dostrzegł łzy w kąciakach jej oczu, ale szybko odwróciła się i odeszła.

Ta kobieta miała wszystko. Inteligencję, żelazne nerwy i godność. Pieniądze. Przyszłość. Ale nie była szczerą wobec samej siebie.

Mattie ruszył w stronę swojego domu. Nie był znawcą ludzkich dusz, ale potrafił rozpoznać innego łgarza.

Grace okłamywała ludzi na temat Mattiego, ale przede wszystkim okłamywała samą siebie. Tak jak teraz, pomyślał. Udawała przed sobą, że nie boi się ani jego, ani własnej przeszłości.

Czy domyśliła się, w jakie tarapaty popadł Linc?

Mattie powiedział sobie, że nic go to nie obchodzi. Grace Cooper miała go w głębokim poważaniu. W porządku. On ją też.

Dotarł do swojego małego, wynajmowanego domku, który bez problemu zmieściłby się w kuchni letniej rezydencji Cooperów. Nie widział ich pozostałych domów. Domu Jasona w Nowym Jorku, domu Grace w Georgetown, domu Ellisa w Alexandrii. Jednak mimo ich zamożności nie zazdrościł im. Nie chciał być jednym z nich.

Chciał być fotografikiem.

Chciał zacząć życie na nowo.

Ale kiedy pchnął frontowe drzwi, poczuł wyrzuty sumienia, bo przypomniał sobie, w jaki sposób do tego dąży.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Twój mąż miał swoje tajemnice.

Abigail usiadła w łóżku, już całkowicie rozbudzona. Odebrała telefon po drugim dzwonku.

- Kto mówi?

- Chris zginął przez swoje tajemnice. Nie wyjawiał ci ich. Nikomu nie wyjawiał.

- Proszę, powiedz coś więcej. - Starła się, by jej głos brzmiał pewnie, ale nie napastliwie. - Nie rozłączaj się.

- Nie chciał, żeby stała ci się krzywda.

- Jaka? Fizyczna czy emocjonalna? Rozmówca nie wahał się ani przez chwilę.

- Taka i taka.

- I dlatego nie wyjawiał mi swoich tajemnic?

- Nie mógł. Kochał cię.

Abigail oparła się plecami o poduszki i wezgiłowie. Poranne słońce sączyło się do jej małej sypialni przez szczelinę między zasłonami. Głos rozmówcy znów był zniekształcony.

- Skąd masz ten numer? Jest zastrzeżony.

- Pamiętaj, że nie każdemu w Maine możesz ufać.
- Jesteś tu? Obserwujesz mnie?
- Nie musisz się mnie bać. Nie chcę, by komuś jeszcze stała się krzywda. To wszystko.
- Dlaczego komuś miałyby się stać krzywda? Co się dzieje? Muszę wiedzieć więcej.
- Twój mąż był agentem FBI i człowiekiem z Maine. Pamiętaj o tym.
- Pamiętam. Spotkajmy się. Sam na sam... Rozmówca skwitował to krótkim, sarkastycznym śmiechem.
- Nie sądzę, pani detektyw. Klik.

Abigail spojrzała na budzik. Piąta dziewięć. Odłożyła słuchawkę na widełki, po czym znów ją podniosła i wybrała domowy numer Lou Beelera. Odebrał po pierwszym dzwonku. Abigail uśmiechnęła się do słuchawki.

- Tylko nie mów, że pijesz już drugą kawę...
- Trzecią - odparł. - Co się dzieje?
- Kolejny telefon - odrzekła i wszystko mu opowiedziała.

Kiedy skończyła, Lou westchnął.

- Przyjadę za godzinę. Zgarnę po drodze Aldena. Przywieźć ci pączki?
- Nie jestem głodna.

Kiedy wstała z łóżka, zrobiło jej się zimno. Spała w najmniejszej z trzech sypialni. Największa była kiedyś pokojem dziadka Chrisa. Druga co do wielkości - jego samego. Abigail wyniosła ich rzeczy, pomalowała meble, kupiła nowe dywaniki i lampy, powiesiła na ścianach obrazki, ale wciąż czuło się, że to pokoje Browningów. Pozwalała z nich korzystać osobom, które wynajmowały od niej dom.

Weszła szybko pod prysznic. Strumienie gorącej wody wywoływały u niej doznania, o których nie chciała myśleć - podobnie jak o dłoniach Owena na swoim ciele, jego ustach i swojej reakcji na jego pieszczoty. To był właściwie tylko pocałunek, pomyślała. Ale potem pili jeszcze wino. Rozmawiali. Owen odprowadził ją do domu i rozstali się, mówiąc sobie dobranoc, jakby wiedzieli, że na razie wystarczy. Ich wzajemne zauroczenie było już oczywiste dla obojga. Musieli się oswoić z tą sytuacją. Abigail nigdy nie przywiozła na wyspę żadnego ze swoich facetów. Nie wydawało jej się to stosowne. W Maine było za dużo duchów. Za dużo wspomnień. Woląca zachować tę część swojego życia tylko dla siebie.

Z Owenem rzecz miała się inaczej. Znał Chrisa od zawsze, więc Abigail nie musiała mu mówić, co się stało, jak zginął jej mąż, co potem czuła.

Poza tym Owen nigdy nie traktował jej protekcjonalnie z powodu jej sytuacji. Sam przeżył tragedię, a ponadto widział wielu innych, którzy musieli sobie radzić z bolesną stratą - dzieci, całe rodziny, całe społeczności.

Abigail zakręciła wodę, chwyciła ręcznik i wytarła się. Najlepiej zapomnieć o całej sprawie, pomyślała. To, co przeżyła z Owenem, miało charakter czysto fizyczny. Podobał jej się jako mężczyzna. Jego smak, gorąca skóra.

*Jest znudzony.*

Był aktywnym człowiekiem, który nie miał teraz nic do roboty. Musiałaby być niespełna rozumu, żeby snuć jakieś plany z nim związane.

Zrezygnowała z suszenia włosów, włożyła džinsy, bluzę i sportowe sandały, po czym zeszła na dół. Wzięła pistolet i wyjrzała na zewnątrz. Nie zobaczyła

tam jednak żadnego szpiega ani intruza, tylko kormorany nurkujące po ryby i jasnokolorowe boje poławiaczy homarów, kołyszące się na lśniącej tafli wody.

Potem wróciła do środka i nastawiła kawę. Usiadła przy stole kuchennym i spisała słowo po słowie to, co powiedział jej anonimowy rozmówca.

*Twój mąż miał swoje tajemnice.*

Kiedy skończyła, poszła do tylnego pokoju, sięgnęła po ciężki młot i w oczekiwaniu na przyjazd przedstawicieli prawa zajęła się rozbijaniem kolejnego fragmentu ściany.

Ellis nie pamiętał, kiedy ostatnio był w Jordan Pond House, turystycznej pułapce, choć całkiem przyjemnej, słynącej z bajecznej lokalizacji oraz świetnej herbaty i ciastek biszkoptowych. Uczestnicy jednodniowych wycieczek po parku narodowym Akadia mieli zawsze w programie trzy punkty: Centrum Turystyczne, górę Cadillac - najwyższy szczyt na wybrzeżu atlantyckim i jedyny w parku, na który można było dotrzeć autem - i właśnie Jordan Pond House. Niektórzy decydowali się na wędrowkę trzydziestokilo-metrowym szlakiem Park Loop Road i zatrzymywali w Thunder Hole - miejscu, gdzie można było podziwiać strome klify i roztrzaskujące się o nie fale. Ellis nie przeszedł tego szlaku od wielu lat.

Ale wszystko się zmienia, pomyślał. Czemu więc nie miałby zmienić swojego zwyczaju unikania popularnych atrakcji turystycznych?

Wspólny obiad w Jordan Pond House był pomysłem jego brata. Jason i Grace siedzieli już przy stoliku na tarasie skąpanym w słońcu pięknego, letniego popołu-

dnia. Ellis zauważył, że jego bratanica włożyła świeżo wyprasowaną bluzkę i zrobiła sobie lekki makijaż. Postęp. Kiedy przyjechała na wyspę, była skrajnie zmęczona i znacznie bardziej zestresowana swoją nominacją oraz czekającym ją wywiadem środowiskowym, niż chciała przyznać. To był ważny moment w jej życiu, zapowiadający wielkie zmiany.

Grace chciała, żeby wszyscy myśleli, że nie ma nic do ukrycia. Gdyby okazywała zdenerwowanie, byłoby to podejrzane. Ellis, który od dawna obracał się w waszyngtońskim światku, zdążył się już przekonać, że wszyscy mają coś do ukrycia. FBI na pewno nie nastawiało się na to, że Grace okaże się osobą bez skazy.

Usiadł obok niej, naprzeciwko Jasona, który wydawał się pochłonięty bez reszty podziwianiem rozpościerającego się w dole, najśłynniejszego jeziora polo-dowcowego na Mount Desert. Wokół jego połyskujących wód wyrastały góry. Ellis wspiął się na wszystkie szczyty parku. Ale to było dawno. Teraz wolał spacerować po swoim ogrodzie.

*Póki jeszcze mogę.*

Poczuł ucisk w gardle na myśl o planowanej sprzedaży domu. Miał nadzieję, że jego wysoka cena odstraszy potencjalnych nabywców albo opóźni transakcję choćby o rok. Rozumiał powody decyzji Jasona. Ale ilekroć próbował sobie wmówić, że podoba mu się taka perspektywa, że warto kupić mniejszy dom i założyć nowy ogród, skręcał mu się żołądek. Potrzebował więcej czasu, żeby się oswoić z tą sytuacją.

Ale czasu już nie było. Jason umówił ich na lunch z potencjalnymi nabywcami z Connecticut. Ellis nie znał nawet ich nazwisk.

- Nasi goście zjawią się za kilka minut - powiedział Jason. - Zamówiłem dla nas herbatę.

- Gdzie jest Linc? - spytał Ellis.

- Nie jest tu potrzebny.

Grace skrzywiła się ledwo zauważalnie, słysząc te okrutne słowa.

- Jest tam. - Kiwnęła głową w stronę jeziora.

- Wybrał się z Owenem na wędrowkę wokół jeziora. Wygląda na to, że Owen wziął go pod swoje skrzydła.

- Ale czy Owen zdaje sobie sprawę z jego możliwości? - zaniepokoił się Ellis. - Mam nadzieję, że nie wykończy chłopaka.

- Trochę ruchu mu nie zaszkodzi - odparł Jason.

- Linc za dużo czasu spędza przed telewizorem. Cieszę się, że zaczął dbać o formę fizyczną. A Owen jest najlepszy.

Jason spojrział na swoją córkę, która udała, że tego nie zauważyła, zajęta nalewaniem herbaty z ciemnozielonego dzbanka do filiżanki w tym samym kolorze. Jej ojciec od dawna żywił nadzieję, że Grace i Owen zakochają się w sobie, ale tak się nie stało. Grace dobiegała już czterdziestki. Szanse, że wyjdzie za mąż, były coraz mniejsze, ale jeśli nawet to jej doskwierało, nigdy tego nie mówiła. Ellis, który już dawno porzucił myśl o małżeństwie, wiedział, że samotne życie też może być udane i szczęśliwe. Jego brat, który nienawidził samotności, nie potrafił zrozumieć takiego wyboru. Był świeżo po rozwodzie, ale miał już kogoś nowego. Zanosił się na czwarty ślub pana Coopera.

- FBI przyjechało na wyspę - powiedział Ellis, zmieniając temat.

Grace kiwnęła głową.

- Tak, wiem. Obawiam się, że... - Odstawiła szybko dzbanek. - Tato, ty powiedz.

- Niewiele wiemy - rzekł Jason. - Odwiedziło nas

dzisiaj dwoje agentów. Nie powiedzieli, o co chodzi, ale na pewno coś się kroi.

- Abigail - powiedziała Grace, podnosząc filiżankę. - Podejrzewam, że to ma jakiś związek z nią. Agenci odwiedzili nas właściwie bez powodu. Myślę, że chcieli po prostu zobaczyć, co robimy... Sama nie wiem. Coś się dzieje. To nie ulega kwestii.

Ellis zmarszczył czoło.

- Z Abigail? Mam nadzieję, że nic jej się nie stało. Wątpię, by istniał jakikolwiek związek między jej obecnością na wyspie a wywiadem środowiskowym dotyczącym twojej osoby.

Grace sączyła herbatę, unikając jego wzroku. Nigdy nie rozmawiali otwarcie o jej stosunku do Chrisa Browninga, ale Grace zdawała sobie sprawę, że Ellis wie, co czuła do ich zamordowanego przyjaciela.

- Jej ojciec jest szefem tych agentów - powiedział Jason, który najwyraźniej nie zauważył krótkiej wymiany spojrzeń między córką i przyrodnim bratem. - Abigail nigdy wcześniej nie przyjechała na wyspę tak blisko rocznicy swojego ślubu i śmierci Chrisa. Już samo to zapewne wzbudziło czujność agentów. Musimy uzbroić się w cierpliwość. Niedługo wszystko się wyjaśni.

Ellis kiwnął głową.

- Zgadza się. - Sięgnął po dzbanek, zastanawiając się, czy brata w ogóle obchodzi jego zdanie. Ale Grace na pewno obchodziło. Ich relacje zawsze były dobre, choćby dlatego że Jason bardziej zajmował się innymi kobietami niż córką. Ellis był stale obecny w jej życiu. Teraz uśmiechnął się do niej. - Zamawiamy ciastka?

- Kiedy przyjdą nasi goście - odparła z uśmiechem. - Wiesz, że już nie mogę się doczekać.

Nagle Jason zamarł.

- Do licha - burknął pod nosem, trącając łokciem Ellisa. - Patrz. Tylko tego brakowało.
- Abigail Browning schyliła się, mijając kelnerkę niosącą wielką tacę, po czym podeszła do ich stolika.
- Cześć - powiedziała wesoło. - Co za spotkanie. Cudowny dzień na herbatę i ciastka, prawda?
- Szczerze mówiąc - rzekł Jason - jesteśmy tu z kimś umówieni.
- Wybraliście idealne miejsce.

Na szczęście Jasona drgnął mięsień. Jason dawno stracił cierpliwość do Abigail i nie ukrywał tego. Ellis wstał.

- Znalazłaś już wolny stolik? Może...
- Zajęłam jeden ze stolików na trawniku. Kwiaty są wspaniałe, prawda? Oczywiście nie tak imponujące jak twoje, ale też piękne.

Grace odchyliła się na krzesło i zmierzyła wzrokiem młodszą kobietę.

- Abigail... wszystko w porządku? Nic się nie stało?
- A co miało się stać?
- Ty nam powiedz, bo... - Urwała i przeniosła wzrok z Abigail na herbatę. - O Boże. To drugi czwartek lipca. Chrisa znaleziono... - Podniosła oczy, blada jak ściana. - Zapomniałam.

Ellis widział zmieszanie bratanicy, ale nie miał wątpliwości, że ona doskonale pamiętała, co to za dzień.

Jason odsunął swoje krzesło.

- Abigail, proszę...
- Wszystko w porządku - zapewniła.

Kładąc rękę na ramieniu brata, Ellis kiwnął głową w stronę Owena i Linca, którzy szli w kierunku tarasu przez rozległy trawnik, na którym tu i ówdzie widać było sylwetki spacerowiczów. Ludzie siedzący przy

solidnych, drewnianych stolikach zerkali z zaciekawieniem na obu mężczyzn, a zwłaszcza - pomyślał Ellis - na Owena, który przyciągał uwagę chociażby swoim sprężystym krokiem.

Linc z kolei szedł przechylony w prawo, ledwo trzymając się na nogach.

Obecność syna tylko pogłębiła frustrację Jasona. Ellis wiedział dlaczego. Jego brat tracił kontrolę nad starannie zaplanowanym lunchem.

- Owen, Linc - powiedział Jason, ciężko się podnosząc. - Dobrze wam się wędrowało?

Linc wyszczerzył zęby, kiwając dumnie głową.

- Tak, było super. To trudniejszy szlak, niż sądziłem. Po drugiej stronie jeziora teren jest bardziej skalisty. Nigdy wcześniej aż tak daleko nie dotarłem.

- No to gratulacje - powiedział Jason, podając synowi serwetkę. - Spociałeś się.

- Tak. - Linc otarł serwetką czoło. - Nie sądziłem, że was tu zastaniemy. Co słychać?

Grace już otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale Abigail ją uprzedziła.

- Umówili się z kimś na lunch.

- Aha, świetnie.

Owen, który w ogóle nie był spocony, najwyraźniej połapał się w sytuacji.

- Odprowadzę Linca do domu...

- Nie, dzięki - powiedział Linc. - Poradzę sobie. Spacer pozwoli mi rozluźnić mięśnie po tej forsownej wspinaczce. Abigail, miło cię widzieć.

Obrócił się na pięcie i odszedł, zanim ktokolwiek zdążył go zatrzymać.

- Tato - szepnęła Grace. - To dla niego za daleko na piechotę. Nie może z nami zostać? Mógłby się odświeżyć w toalecie...

- Nudziłby się tutaj. - Ucinając dalszą dyskusję na ten temat, Jason zwrócił się do Owena: - Nie widać po tobie zmęczenia. Chętnie zaprosiłbym cię do naszego stolika, ale...

- Mnie też nie zaprosiłeś - wtrąciła zaczepnie Abigail.

Jason cofnął się o pół kroku.

- Co?

Abigail uśmiechnęła się.

- Drażnię się z tobą, Jason. Kogo zaprosiłeś na lunch? Jakies grube ryby z Waszyngtonu? Doradców? Prywatnych detektywów? Czasem ludzie wynajmują prywatnych detektywów, żeby przeprowadzili wywiad środowiskowy równoległe z FBI.

Ellis szukał ratunku u Owena.

- Może ty i Abigail...

- Spokojnie - powiedziała. - Już wracam do swojego stolika.

Ruszyła w stronę skapanego w słońcu trawnika. Owen patrzył za nią przez chwilę, po czym odezwał się do Jasona:

- Linc świetnie sobie dziś radził. Jest twardy. Ale teraz muszę was przeprosić...

- Jasne. Dzięki, że zająłeś się Linkiem. - Jason zrobił dziwną minę. - Abigail jest dzisiaj jakaś nie-swoja. Chyba coś się stało.

Owen kiwnął głową.

- No to idę.

Jason usiadł na swoim krześle, patrząc, jak Owen zajmuje miejsce naprzeciwko Abigail przy jednym z drewnianych stolików na trawniku. Potem odetchnął z ulgą. Udało mu się pozbyć ich obojga - spoconego syna i Abigail - przed przybyciem gości.

Ellis zauważył dobrze ubraną parę po pięćdziesiątce, która weszła właśnie na taras.

Potencjalni nabywcy, pomyślał. Czy wyglądają na miłośników ogrodów?

*To bez znaczenia.*

Zamierzał wykopać swoje ulubione rośliny i posadzić je na nowej posesji albo w przydomowym ogrodzie w Waszyngtonie.

A co z resztą roślin? Było mu to obojętne.

- Już są - oznajmił Jason, po czym zwrócił się do młodszego brata. - Ellis? Wszystko gra, tak?

Ellis kiwnął głową.

- Tak, jasne. Popieram cię, Jason. Całkowicie. Dostrzegł ulgę na twarzy brata.

Grace niespecjalnie interesowała się tym, co mówili ojciec i wuj. Jej uwaga była skupiona na stoliku, przy którym siedzieli Owen i Abigail, jakby tych dwoje rozmawiało o niej, dzierżąc klucz do jej przyszłości.

Ellis sięgnął przez stół i ujął dłoń bratanicy.

- Grace, wszystko będzie dobrze.

- Tak. - Odwróciła wzrok od stolika na trawie i zmusiła się do uśmiechu. - Oczywiście, że będzie. Za bardzo się przejmuję tym wywiadem środowiskowym. Ale być na cenzurowanym to nic miłego.

- Poza tym martwisz się o Abigail.

- Tak. - Kiwnęła głową, jakby samą siebie chciała przekonać. - Wszyscy się o nią martwimy, prawda?

- Może Owen dowie się, co się stało? A tymczasem spróbuj się zrelaksować i ciesz lunchem.

Kiedy goście podeszli do ich stolika, Grace już stała, cała w uśmiechach, i Ellis wiedział, że mu się powiodło. Jego bratanica poradzi sobie z wywiadem środowiskowym, niezależnie od tego, co knuje

Abigail Browning - kobieta, której obecność przypominała Grace o mężczyźnie, z którym kiedyś pragnęła być.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Abigail przełamała zarumienione, parujące ciasteczko biszkoptowe, czując na sobie przenikliwe spojrzenie Owena.

- Znasz mój numer w Maine? - zapytała.

- Twój numer? Oczywiście. Znam go od lat. A co?

- Miałam dziś rano dziwny telefon. To nie był pierwszy taki telefon. Podobny odebrałam w sobotni wieczór.

Owen wyjął ciasteczko z koszyka, który przyniosła kelnerka, i położył je na swoim talerzyku. Nie dał jednak po sobie poznać, czy ta informacja zrobiła na nim wrażenie.

- Zacznijmy od tego - powiedział - że nie dzwoniłem do ciebie w sobotę ani dzisiaj rano.

- A czy ktoś inny mógł zadzwonić z twojego telefonu?

- Wątpię, ale gdybyś powiedziała mi wcześniej, że Seanowi i Ianowi Aldenom uda się wymknąć niepostrzeżenie oknem z mojego domu, też uznałbym to za niemożliwe. Masz powody sądzić, że ktoś dzwonił z mojego telefonu?

- Żadnych.

Abigail zatopiła nóż w miękkim maśle i posmarowała nim pół ciasteczka. Kamienny spokój Owena nie działał na nią kojąco. Miała ochotę sięgnąć przez stół i posmarować jego ciastko grubą warstwą masła tylko po to, żeby zburzyć jego opanowanie. Mogła też cisnąć zawartość słoiczka z dżemem na jego kolana. Albo chwycić go za ramiona i pocałować. Dlaczego nie?

- Opowiesz mi o tych telefonach? Kiwnęła głową.

- Porucznik Beeler zgodził się, żebym ci o nich powiedziała. Nie zamierza organizować konferencji prasowej ani nic takiego, ale ty masz prawo wiedzieć, bo ten człowiek może być niebezpieczny. Jeśli cenisz zacisze swojego zakątka nad wodą, na pewno zachowasz te informacje dla siebie. - Sięgnęła po dżem truskawkowy. - Owdowiała córka dyrektora FBI otrzymuje anonimowe telefony... Możesz sobie wyobrazić reakcję mediów.

- Mogę. Poza tym gdyby zjechali się dziennikarze, trudniej byłoby namierzyć tego człowieka.

- Właśnie - powiedziała, po czym zdała Owenowi relację z przebiegu obu rozmów telefonicznych.

Kiedy skończyła, zjadła kawałek ciastka i popatrzyła na jezioro. W powietrzu szybował jakiś samotny ptak.

' Jastrząb? Nie znała się za dobrze na ptakach. W końcu spojrzała na Owena. - Wiem, że to nie ty dzwoniłeś. Trudno byłoby ci ukryć ten charakterystyczny bostońsko-tekkański akcent.

Ale Owen się nie uśmiechnął. Wpatrywał się w nią intensywnie szarymi, przymrużonymi oczami.

- Myślisz, że to Mattie?

- Lou i Doyle rozmawiali z nim. Na razie nie ma

podstaw, by sądzić, że to on... albo inny mieszkaniec wyspy.

- Dlaczego tu jesteś?

- Śledziłam Jasona i Grace. Ellis przyjechał innym autem. Jechałam szosą, kiedy zobaczyłam ich samochód i pomyślałam: „Czemu nie?”. Taka wścibskość czasem się opłaca.

- To jedna strona medalu. - Zjadł kawałek ciasteczka, ale bez masła i dżemu. - Cooperowie sprawiali wrażenie, jakby chcieli cię udusić. Cała trójka. -

- To prawda. Są zbyt zestresowani, żeby to przyznać.

- Albo zbyt grzeczni. Abigail wzruszyła ramionami.

- To też. Widujesz się z nimi poza sezonem, kiedy nie ma ich w Maine?

- Nie.

- Myślałam, że ty i Grace zaręczyliście się już w kołysce.

- Jej ojciec nie miałby pewnie nic przeciwko temu. Znamy się od dziecka. Spotykamy się czasem tutaj, na wyspie. To wszystko. - Jego usta wykrzywił uśmiech rozbawienia. - Zadowolona?

- A Linc?

- Dałem mu dzisiaj niezły wycisk. Obeszliśmy jezioro w dobrym tempie. To nie jest trudny szlak, ale miejscami dość wymagający. Jednak Linc dotrzymywał mi kroku. Teraz wraca pieszo do domu. To zwykły spacer. Dobrze mu robi.

- Myślisz, że Linc poważnie interesuje się ratownictwem?

- W naszej szkole organizujemy kursy na różnych poziomach, od podstawowego po najbardziej zaawan-

151

sowane. Niektórzy uczestnicy zaawansowanych kursów trafiają później do naszych zespołów ratowniczych.

- Ale ty - powiedziała Abigail - nie uczestniczysz już pewnie w żadnych szkoleniach?

- W tym fachu ciągle trzeba doskonalić umiejętności. - Dokończył ciasteczko. - Mam nadzieję, że Linc zapisze się przynajmniej na kurs weekendowy.

- Jak trafiłeś do ratownictwa?

- W szkole średniej wziąłem udział w kursie pierwszej pomocy i złapałem bakcyła. Abigail...

- Powiedziałam ci o tych telefonach wszystko, co wiem. Pierwszy właściwie można było zignorować. Od czasu do czasu dostaję anonimowe telefony. Lou Beeler też. Doyle trochę rzadziej.

Potraktowaliśmy ten telefon poważnie, ale istniało spore prawdopodobieństwo, że to tylko kolejny wygłup.

- Drugi telefon wszystko zmienia. Kiwnęła głową.

- Ktokolwiek dzwonił, próbuje mną manipulować. Wzięłam ślub w drugą sobotę lipca. Chrisa znaleziono... - Nie dokończyła. - To nie przypadek, że zadzwonił właśnie dzisiaj.

- Dlaczego ktoś, kto twierdzi, że chce ci pomóc, próbuje cię rozdrażnić? - spytał Owen.

- Żeby uczestniczyć w grze, czuć się ważnym. - Wzruszyła ramionami. - Albo żeby wywieść mnie w pole. Oczywiście, nie zamierza się ujawnić.

- Czemu?

- Mogę tylko zgadywać, tak jak ty.

Owen odsunął talerzyk na bok i nachylił się nad stolikiem.

- Będiesz na siebie uważać? To nie to samo, co prowadzenie śledztw w Bostonie. W tamte nie jesteś zaangażowana emocjonalnie.

Abigail uśmiechnęła się.

- Teraz mówisz jak Doyle i Lou. Powiedzieli, żebym zdała się na nich.

- Zrobisz tak?

- Oczywiście.

Popatrzył na nią sceptycznie, a potem chwycił rachunek, który przyniosła właśnie kelnerka.

- Ja zapłacę. Nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłem ciasteczka biszkoptowe. Zdążyłem już zapomnieć, jakie są smaczne.

- Owen? - Próbowała spojrzeć mu w oczy, ale nie dała rady. - Jeśli chodzi o wczorajszy wieczór...

- To znaczy o Mattiego?

Słyszając żartobliwy ton, Abigail zrobiła nachmurzoną minę.

- Bardzo śmieszne. Wiesz, o czym mówię.

- Pewnie o kominku. Było piekielnie gorąco.

- Przestań sobie ze mnie żartować, Owenie Garrison. Jeśli sądzisz, że dam się wciągnąć w tę zabawę, to się grubo mylisz. - Zjadła ostatnie ciasteczko, zlizwała z palców resztki masła i dżemu, po czym wytarła dłonie serwetką. Ale Owen uparcie milczał. - Chcesz, żebym ja to powiedziała, tak? No dobrze. Chodzi o pocałunek. Nie żałuję, że do niego doszło.

- Mam nadzieję. - Uśmiechnął się. - To był cholernie dobry pocałunek.

- Trochę się zagalopowaliśmy. Jak powiedziałam, nie żałuję, ale to nie może się powtórzyć.

- Dlaczego?

- Bo oboje szukamy jakiejś odskoczni, nic więcej. Poza tym otrzymuję dziwne telefony. Mattie Young zachowuje się podejrzanie. Doyle Alden jest w podłym nastroju. Cooperowie są prześwieceni przez FBI, a cały ten wywiad środowiskowy może się okazać nie tak

znowu rutynowy, jak próbują nam wmówić. Jason sprzedaje dom swojego brata. - Abigail przerwała, by złapać oddech, zastanawiając się jednocześnie, po co wygłosiła tę litanię faktów. - W tej sytuacji nie mogę sobie pozwolić na ukradkowe pocałunki.

- Więc mam trzymać łapy przy sobie?

Nie odpowiedziała od razu, co trochę ją zdziwiło. Owen skorzystał z okazji.

- To nie takie łatwe, jak myślałaś, prawda? Abigail, od dawna chcieliśmy się pocałować. Ja myślałem o tym już wtedy, w Austin, kiedy przyłapałem cię na dręczeniu mojej babci. To, co się wczoraj stało, było nieuniknione. - Położył na stoliku kilka banknotów i przykrył je rachunkiem. - I powtórzy się.

- Ale nie dzisiaj - wyszeptała, czując, że brakuje jej tchu.

Oczy mu posmutniały, ale kiwnął głową.

- Nie dzisiaj.

Owen okazał takt, pozwalając jej pierwszej opuścić restaurację. Abigail szła coraz szybciej, a kiedy zbliżała się do\* swojego auta, już prawie biegła. Ruszyła z parkingu i wkrótce musiała się zatrzymać, żeby uiścić stosowną opłatę przy bramce wjazdowej na Park Loop Road. Jadąc tą spokojną, malowniczą drogą, miała przed sobą dwa samochody, osobowy z Kolorado i suwa z Wirginii Zachodniej.

- *Chris... zostań. Załatwisz tę sprawę kiedy indziej. Dotknął jej policzka.*

- *Niedługo wrócę.*

*Uśmiechnęła się, opadając na sofę we frontowym pokoju.*

- *To dobrze. Trochę poczytam i utnę sobie krótką drzemkę.*

*- Tak. - Roześmiał się, całując ją delikatnie. - Odpocznij przed moim powrotem.*

*Kiedy wyszedł, przeczytała kilka stron i zasnęła, żałując, że nie mógł z nią zostać.*

Klasyczne, zapierające dech w piersiach piękno wybrzeża Maine uspokajało Abigail, mimo że przywoływało wspomnienia pocałunków i miłosnych uniesień sprzed lat. Pamiętała oczy Chrisa, były ciemnozielone jak jodły, kiedy patrzył na nią w nocy.

By uśmierzyć ból, mówiła sobie, że jest teraz inną osobą. Ale nie była. Pewnie, że się zmieniła - nie wiedziała nawet, czy Chris by ją poznał. Nie była już dwudziestopięcioletnią studentką szkoły prawniczej, która nigdy nie doświadczyła osobistej tragedii, nigdy nie została wezwana na miejsce zbrodni, gdzie zamordowano trzy osoby, nigdy nie patrzyła w oczy człowieka, który zabił w napadzie furii i nie mógł już tego cofnąć. Jednak mimo tego wszystkiego, co wydarzyło się w jej życiu przez ostatnie siedem lat, aż tak bardzo się nie zmieniła. W głębi duszy pozostała tą samą kobietą, która zakochała się w chłopaku z Maine, agencie FBI.

Był jej pierwszym prawdziwym kochankiem i doskonale sprawdzał się w tej roli przez osiemnaście miesięcy, które razem przeżyli.

To, że ich wspólne życie się skończyło, wcale nie znaczyło, że je sobie wymyśliła.

Albo że musiała udawać, że nie chce się ponownie zakochać. Teraz nie byłoby już tak samo - nie mogłoby być. I nie musiało.

Zdała sobie sprawę, że tego pragnie. Że chce się zakochać - nie z desperacji, nie po to, by po prostu kogoś mieć, ale tak zwyczajnie, jakby ta miłość była jej pisana. Chciała być na nią otwarta.

Ani razu się nie zatrzymała na krętej drodze.

Kiedy dotarła do domu, powietrze było nieruchome, tylko odległe krzyki mew mąciły ciszę. W środku unosił się zapach gipsowego pyłu i świeżej farby.

Abigail zadzwoniła na pager Lou Beelera. Kiedy wreszcie oddzwonił, była w tylnym pokoju i otwierała właśnie czarny foliowy worek na śmieci, stojąc po łydki w gruzie. Jeszcze trochę frustracji, a rozbije wszystkie ściany w domu.

- Nie mam nic dla ciebie - powiedział Lou.

- Rozmawiałaś z Mattiem Youngiem?

- Tak. Chce, żebyś dostała zakaz zbliżania się do niego.

- Niech próbuje.

- Doyle też nic nie ma. Abigail, te telefony to może być pic na wodę. Na pewno narobiłaś sobie sporo wrogów przez ostatnie kilka lat. Ktoś taki mógł poszperać w Internecie i znaleźć dość informacji, żeby próbować ci dopiec.

- Myślisz, że o to tu chodzi?

- Nieważne, co myślę. Staram się trzymać faktów. - Przerwał na chwilę. - Ty też powinnaś.

Usiadła na pokrytym pyłem krześle. Miała zakryć meble prześcieradłami, ale w końcu tego nie zrobiła. Przez to bałagan był dużo większy. Na domiar złego Lou Beeler wątpił w jej obiektywizm.

Nie miała mu tego za złe. Na jego miejscu też by wątpiła.

Uśmiechnęła się do siebie.

- Ale mogę dalej badać tę sprawę?

- Oboje wiemy, że nie potrzebujesz mojego pozwolenia.

- Wolałbyś, żebym wróciła do Bostonu.

- Może właśnie tam jest twój tajemniczy rozmówca.

- A może nie. Lou westchnął.
- Może nie.
- A co z agentami FBI, którzy przeprowadzają wywiad środowiskowy dotyczący Grace Cooper?
- A co ma być?
- Daj spokój, Lou. Wiesz, o co pytam. Rozmawiałeś z nimi o tych telefonach?
- Tak.

Czekała na ciąg dalszy, ale nie nastąpił.

- Dobra, rozumiem. Detektyw parsknął śmiechem.
- Tak ci się tylko wydaje - odparł, po czym rozłączył się, wciąż chichocząc.

Abigail obrzuciła gniewnym wzrokiem telefon i przez chwilę zastanawiała się, czy nie pojechać na komisariat miejscowej policji i nie odszukać Doyle'a Aldena. Ale co by to dało?

Zamiast tego - posługując się śmietniczką i zmiotką, a także rękoma - wpakowała do worka kawałki gipsu, zgięte gwoździe, szkielety myszy i strzępy taśmy wzmacniającej.

Chciała poznać odpowiedzi na dręczące ją pytania. Ale jak miała to zrobić, skoro jej tajemniczy rozmówca nie chciał się ujawnić, a ona sama nie dysponowała swoim zapleczem policyjnym?

*Tylko ciebie boi się zabójca.*

Czy to była prawda? A jeśli nawet, to co jej to dawało?

Ledwo mogła oddychać w gęstych kłębach wzbitego przez siebie kurzu. Związała wypchany po brzegi worek, powlokła go na tylną werandę, potem w dół po schodach, za róg domu i tam, kichając, wrzuciła do pojemnika na śmieci.

Wiedziała, co musi zrobić.

Bojąc się, że zmieni zdanie, wbiegła z powrotem do domu, chwyciła słuchawkę i wykręciła prywatny numer ojca.

- Abigail - odezwał się - czułem, że zadzwonisz. Gdzie jesteś?

Była pewna, że on wie.

- W Maine - odparła.

Wciągnął głośno powietrze. Abigail wyobraziła go sobie w biurze lub w samochodzie, gdzie odebrał jej telefon w przerwie między spotkaniami. Był zajęтым człowiekiem, miał odpowiedzialną i stresującą pracę, ale córkę otaczał taką czułością jak każdy ojciec, którego dziecko zostało dotknięte w życiu jakimś nieszczęściem.

John March zaczął jako bostoński policjant. Bob O'Reilly pamiętał go z tamtych czasów i powiedział Abigail, że wszyscy wiedzieli - nawet takie żółtodzioby jak on - że jej ojciec nie pozostanie długo w mundurze. Był energiczny, ambitny i gotowy do poświęceń. Skończył studia prawnicze, wstąpił do FBI, a potem przenosił się z rodziną z miasta do miasta, pnąc się po szczeblach kariery. Miał teraz pięćdziesiąt dziewięć lat. Wciąż był przystojny i pełen werwy, ale nie wierzył w to, że komukolwiek uda się rozwiązać sprawę zabójstwa - a była to jedyna taka nierozwiązana sprawa - agenta specjalnego FBI, Christophera Browninga.

Abigail nigdy nie wątpiła, że ojciec ją kocha i pragnie, żeby była szczęśliwa. Miała jednak wątpliwości co do działań, które może podjąć, chcąc jej to szczęście zapewnić.

- Wiesz o telefonach, prawda? - spytała prosto z mostu.

- Otrzymałem dzisiaj raport w tej sprawie. Jesteś moją córką, Abigail. Możesz udawać, że jesteś córką hydraulika, ale to nieprawda...
- Myślisz, że te telefony mogą mieć jakiś związek z twoim stanowiskiem?
- Nie - odparł bez wahania, a nigdy nie kłamał. Kiedy nie chciał czegoś powiedzieć, po prostu nie mówił. - A ty?
- Ja nic już nie wiem. To frustrujące. Miałam nadzieję, że kiedy tutaj przyjadę, mój rozmówca się ujawni, ale na razie tego nie zrobił. Jestem w punkcie wyjścia. - Uśmiechnęła się do słuchawki. - Ale byłam dzisiaj na ciastkach w Jordan Pond House.
- Sama?
- Z Owenem Garrisonem.
- I Cooperami. Oni też tam byli, prawda? Abigail usiadła przy stole kuchennym i zmarszczyła brwi.
- Tato, kazałeś mnie śledzić? Zaśmiał się lekko.
- To wywołałoby w Waszyngtonie niezłą wrzawę, co? Wyobrażasz sobie. Nie, nie kazałem cię śledzić. Dwoje agentów, którzy przeprowadzają wywiad środowiskowy dotyczący Grace Cooper, widziało ją tam w towarzystwie ojca i stryja. - Jego rozbawienie zniknęło tak szybko, jak się pojawiło.
- Abigail, jesteś moją córką. Jeśli otrzymujesz jakieś anonimowe telefony, muszę o tym wiedzieć. Innymi słowy, powinna była do niego zadzwonić w sobotę po pierwszym telefonie, najpóźniej dziś rano, a nie czekać, aż dowie się od kogoś innego. Jednak nie zrobiła tego i nie wiedziała dlaczego.
- Następnym razem szybciej dam ci znać - obiecała.

- Na razie tajemniczy rozmówca nie wniósł niczego nowego do sprawy zabójstwa Chrisa.
  - Zgadza się.
  - Chcesz mieć ochronę? Agent...
  - Na litość boską, nie. Pozdrów mamę i nie martw się o mnie, dobrze? Maluję dom, burzę ściany, jem ciasteczka i piję herbatę. - *Oraz całuję Owena Garrisona.* - Przepędziłam Mattiego Younga z ruin starego domu Garrisonów. Pił tam piwo i palił papierosy po zmroku. Synowie Aldena wzięli go za ducha Chrisa.
  - Nie próbuj mydlić mi oczu - powiedział spokojnie jej ojciec. - Wiem, że prowadzisz prywatne śledztwo. Stanesz na głowie, żeby się czegoś dowiedzieć.
  - I może w końcu się dowiemy, kto...
  - Może, ale wolałbym, żebyś nie robiła tego teraz i w taki sposób. Jesteś tam sama.
- Uśmiechnęła się.
- Umiem o siebie zadbać.
  - Na to wygląda.
- Kiedy odłożyła słuchawkę i wróciła do tylnego pokoju, zobaczyła, że z południa i zachodu nadciąga mgła i szare chmury. Czowała wilgoć w powietrzu i wyobraziła sobie siebie siedzącą pod kocem przy kominku Owena.
- Potem wzięła młotek i zabrała się do wyciągania gwoździ tkwiących w belkach wypatroszonych ścian i do kruszenia przywierających do tych belek kawałków gipsu. Jeszcze dwie ściany i ten etap remontu będzie miała za sobą.
- Postanowiła, że wieczór zarezerwuje dla siebie i swoich wspomnień.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

*Jest twardsza niż kiedyś.*

*Ma w sobie zaciętość, jakiej wcześniej nie miała. Próbuje ją ukrywać, ale ja ją widzę. Swoje wiem. Jest podła i nie obchodzi jej nic poza własnym bólem.*

*Nie podda się.*

*Nigdy.*

*Nie jest łatwo do niej dzwonić, słuchać jej głosu. Nie mogę popełnić najmniejszego błędu, bo natychmiast go wykorzysta.*

*Abigail.*

*Potraktowałyby mnie jak pospolitego przestępcę, gdyby poznała moje czyny.*

*Nie chcę się bronić. Próbować jej wytłumaczyć to, czego i tak nigdy nie zrozumie.*

*Nie zabijam w afekcie. Nie daję się ponieść emocjom i nie żałuję potem, że stało się to, co się stało.*

*Działam szybko. Zdecydowanie. Panuję nad sytuacją.*

*Wszystko widzę.*

*Umiem uzbroić się w cierpliwość, kiedy to konieczne. Działać, kiedy trzeba.*

*Abigail mnie wyzwoli, jeśli nie sparaliżuje mnie strach przed porażką.*

*Nie piszę tych słów dla siebie. „Abigail!”*

*Pamiętam, jak Chris wykrzyknął imię swojej żony.*

*„Powiedz jej, żeby była szczęśliwa. Proszę. Powiedz, żeby mnie długo nie opłakiwała ”.*

*Zawsze wiedział, że nie będzie długo żyć. Dlatego każdego dnia żył pełnią życia i nie oglądał się za siebie - niczego nie żałował.*

*Pamiętam.*

*Abigail nigdy nie dowiedziała się ode mnie, jakie były ostatnie słowa jej męża. Czyż mogła się dowiedzieć? Wtedy wiedziałyby, kto go zabił. „Abigail... Abigail...”. Pamiętam.*

*Muszę uzbroić się w cierpliwość. Muszę kombinować i w odpowiednim momencie wykorzystać sytuację. Jak przed siedmioma laty. Jak wtedy. Pamiętam.*

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Linc Cooper szedł z mokrą głową po skałach w stronę domu Owena, ślizgając się, ale nie przewracając. Miał na sobie bluzę od dresu - niezbyt odpowiedni strój na wędrówkę w zimnym deszczu.

- Cześć, Owen. - Linc wyszczerzył zęby, kuląc się z zimna. Krople deszczu skapywały mu z nosa. - Nie mogę dzisiaj iść na wyprawę. Mam coś do załatwienia.

- W porządku.

- Nie chodzi o deszcz. To mi nie przeszkadza.

- Źle się ubrałeś. Już zdążyłeś przemoknąć do nitki. Linc uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- To chyba niedobrze, co?

- Niedobrze, jeśli nie chcesz się nabawić hipoter-mii.

- No cóż, nie chcę. Przyszedłem tylko po to, by ci powiedzieć, że nie mogę dzisiaj z tobą iść.

- Nie ma sprawy.

- Nic się nie zmieniło. Nadal chcę, żebyś mnie szkolił.

- Nie musisz się tłumaczyć, Linc. Obiecałem ci, że

pochoǳę z tobą po górach przez kilka dni. Ale jeśli naprawdę chcesz zostać ratownikiem, powinieneś się zapisać na kurs.

Lincowi zaświeciły się oczy.

- Myślisz, że mogę?

- Jasne.

- Dzięki. No dobrze... Do zobaczenia. - Nie odszedł jednak, tylko popatrzył w dół na skały, w miejsce, gdzie zginął Chris. - To właśnie tam... - Urwał. - Jak możesz tu mieszkać?

- Nie myślę o tym miejscu jako o tym, w którym umarł Chris. Jemu bardzo się tutaj podobało.

- Tak, masz rację. - Linc oderwał wzrok od skał, ale jego oczy jakby przygasały. - Wpadnę później.

- Kiedy tylko chcesz.

Znów zaczęło padać. Linc naciągnął na głowę kaptur i schował ręce do kieszeni bluzy, po czym ruszył przed siebie, skacząc z kamienia na kamień. Raz się poślizgnął, ale szybko odzyskał równowagę. Był wyraźnie przemęczony po kilku forsownych wędrówkach z Owenem, ale jednocześnie twardy i silny, a poza tym miał coś do udowodnienia.

Owen spojrzał w kierunku domu Abigail, ukrytego za ścianą drzew, mgły i deszczu. Poprzedniego wieczoru jego sąsiadka potrzebowała samotności. Te dwa telefony, wykonane w nieprzypadkowym czasie, zmały jej spokój. Próbowwała podejść do sprawy bez emocji, jak rasowa policjantka, ale one przypomniały jej, że była kiedyś młodą, świeżo upieczoną mężatką, która patrzyła, jak krew jej męża miesza się z wodą oceanu.

Z ronda kapelusza Owena skapywały krople rześistego deszczu.

Wszedł z powrotem do domu i wrzucił do skrzynki przy kominku kawałki drewna, zastanawiając się, jak

164

zareagowałaby Abigail, gdyby zapukał do jej drzwi i powiedział, że nie wie, co ze sobą zrobić w deszczowy dzień.

Pewnie by mnie zastrzeliła, pomyślał, uśmiechając się do siebie.

Abigail miała przez chwilę poważne wątpliwości, czy odebrać połączenie, kiedy zobaczyła na wyświetlaczu komórki numer Boba O'Reilly'ego. W razie czego mogła potem powiedzieć, że była w domu, czyli poza zasięgiem sieci, mimo że tak naprawdę stała przed muzeum Abbe w centrum Bar Harbor, gdzie roiło się od przemoczonych turystów.

- Cześć, Bob - powiedziała.

- Gdzie jesteś?

- W Bar Harbor i obserwuję, jak mewa pożera resztki lodowego wafla, który jakieś dziecko rzuciło na chodnik. Jak dla mnie jest za zimno na lody. U ciebie też pada?

- Leje. Co robisz w Bar Harbor?

- Właśnie zwiedziłam muzeum Abbe. Byłeś w nim kiedyś? Jest poświęcone rdzennym mieszkańcom Maine i naprawdę fascynujące. - Przeczesła dłonią mokre włosy. Nie miała kapelusza ani parasolki, ale już prawie nie padało. - Kupiłam sobie bluzę z łośiem.

- Nie wierzę, że bawisz się w turystkę - powiedział Bob. - Czyżby w Bar Harbor było coś, co może cię doprowadzić do twojego anonimowego rozmówcy?

- Nie wiem. Nie zaszkodzi się tu rozejrzeć.

- Owen Garrison otwiera nową szkołę w Bar Harbor.

- Tak. - Abigail pojechała tam, ale budynek był zamknięty. - Jej dyrektorem ma być Katie Alden. Żona szefa miejscowej policji.
  - No i dobrze. A co z FBI? Myszkuje w Bar Harbor?
  - Nie zauważyłam. Bob westchnął.
  - Niestety, nic dla ciebie nie mam. Po drugim telefonie postanowiliśmy jeszcze raz przyjrzeć się temu pierwszemu, z Newbury Street, ale jak na razie wszystkie tropy prowadzą donikąd.
  - Dałam Lucasowi listę osób, które wiedzą, że bywam w tamtej restauracji.
  - Przejrzeliśmy ją, ale tak naprawdę każdy mógł o tym wiedzieć. Jakaś gazeta napisała, że chodzisz tam co roku w rocznicę ślubu.
  - Ale ten artykuł ukazał się pięć lat temu. Skąd przypadkowy czytelnik miałby wiedzieć, że nadal tam chodzę? I dlaczego miałby tak długo czekać?
  - Dlatego, że to się dzieje teraz - odparł z nutką frustracji w głosie Bob. - Zwariować można! Rozgryziemy to, Abigail. Miej oczy szeroko otwarte i uważaj na siebie.
  - Dobrze, Bob. Nie martw się o mnie.
  - Czemu miałbym się o ciebie martwić? Jesteś na wyspie sama, jakiś maniak dzwoni do ciebie o piątej rano, chodzisz po muzeach i kupujesz sobie bluzy z łośiem. Kto by się martwił?
- Abigail roześmiała się, zanim Bob dokończył swoją kwestię.

- Do widzenia...

- Jest jeszcze Owen Garrison. Nie zapominajmy o tym przystojnym bogaczu. Nie umknął mojej uwagi, bo odrobiłem lekcje. Facet zawitał do Maine po roku

intensywnej pracy ratowniczej, ale tacy ludzie nigdy nie odpoczywają.

Dzięki za ostrzeżenie, pomyślała i zrobiło jej się gorąco.

- Skończyłeś?

- Tak. Nie... - Westchnął. - Gdybyś czegoś potrzebowała, czegokolwiek, daj znać.

- Dzięki. Doceniam to.

Ale Bob nie mógł się powstrzymać.

- Cokolwiek by to miało być. Kaucja za zwolnienie z aresztu, zapasowy klucz do kajdanek...

Abigail znów się roześmiała, a potem rozłączyła i schowała komórkę do kieszeni kurtki. Nie okłamała Boba. Rzeczywiście zwiedziła muzeum i kupiła sobie bluzę z łosiem. Ale przy okazji rozpytywała o Mattiego Younga, mówiąc, że jest zainteresowana jego wczesnymi fotografiami. Sprzedawczyni ze sklepu z bluzami pokazała jej małą galerię, w której - jak przypuszczała - mogli mieć jakieś jego prace.

Abigail przeszła kawałek ulicą i wstąpiła do galerii. W witrynie była wystawiona typowa dla tej okolicy akwarela, przedstawiająca skaliste wybrzeże oraz latarnię morską w czerwone i białe pasy.

Abigail nie dziwiła się temu. Sama kupiłaby taką akwarelę, gdyby było ją na nią stać. Kiedy zdarzały jej się gorsze dni w Bostonie, zamykała oczy i wyobrażała sobie podobny obraz: czyste niebo, skały i lśniący ocean. Czemu nie miałyby uzupełnić tego obrazu o malowniczą latarnię morską?

Zdjęła mokrą kurtkę - bardzo ostrożnie, tak by ani jedna kropla deszczu nie spadła na którykolwiek z eksponatów - po czym zaczęła się przechadzać między regałami zastawionymi rzeźbami ptaków wodnych

i ceramiką z motywami jagód i żurawiny. Ściany były obwieszane oryginalnymi obrazami i fotografiami.

Powitał ją chudy staruszek. Miał co najmniej osiemdziesiąt lat.

- Czym mogę służyć?

- Szukam prac miejscowego fotografika, Mattiego Younga.

Wyglądał na zaskoczonego.

- Mattiego? Wielkie nieba, całe wieki nikt o niego nie pytał. Tak, mamy kilka jego prac. Ale żadna nie jest wystawiona. Od dawna ich nie wystawiamy.

- Mogę je obejrzeć?

- Oczywiście.

Ale kiedy staruszek prowadził ją przez otwarte drzwi do mniejszego pomieszczenia, pełnego szafek, Abigail zauważyła, że do galerii wszedł Owen. Pomachał jej, idąc w jej kierunku.

- Co za spotkanie, Abigail! Staruszek uklonił się uprzejmie.

- Pan Garrison. Nie widzieliśmy się już jakiś czas. Słyszałem, że przyjechał pan na wyspę.

- Długo mnie tu nie było, Walt. Zbyt długo. Abigail nie wiedziała, czemu jest zaskoczona tą przyjacielską pogawędką. Garrisonowie bywali na wyspie od ponad stu lat. Zastanawiała się, czy Walt znał także dziadka Owena.

Postanowiła jednak zakłócić miłą atmosferę i zadać pytanie, które cisnęło jej się na usta.

- Śledziłeś mnie? Owen uśmiechnął się.

- Trudno cię nie zauważyć w tej czerwonej kurtce. Kurtka była bardzo czerwona.

- Nie jesteś mokry. Przejeżdżałeś obok galerii, zobaczyłeś mnie i postanowiłeś wstąpić?

- Jechałem do szkoły ratownictwa.
- Dziwne, że tak szybko znalazłeś miejsce do zaparkowania - podsumowała, a potem znów odwróciła się w stronę Walta, który stał właśnie przed szafką z niskimi, głębokimi szufladami.
- Parę fotografii możemy mieć jeszcze w innym miej scu - oznajmił staruszek - ale większość jest tutaj. Zna pani Mattiego?

Abigail nie spojrzała na Owena, kiedy odpowiadała.

- On i mój mąż dorastali razem.
- Pani mąż?
- Umarł siedem lat temu. Chris Browning.

Przez chwilę staruszek patrzył na Abigail w milczeniu. Zakłopotanie jednak szybko minęło, kiwnął głową.

- Znałem dziadka pani męża. Chrisa znałem słabo. To właśnie on przekonał Mattiego do wystawienia swoich prac.
- Mattie miał wloty i upadki na przestrzeni lat.
- Tak. Jego kłopoty zaczęły się na długo przed śmiercią pani męża.

I przed pojawieniem się Abigail w życiu Chrisa. Chociaż Walt tego nie powiedział, Abigail była przekonana, że tak pomyślał. To ona - wspólnie z FBI - sprawiła, że Chris zdecydował się opuścić wyspę i swoich przyjaciół. Przynajmniej w ich mniemaniu. Wiedziała jednak, że Chris zawsze uważał Mount Desert za swój prawdziwy dom. Ponieważ w dzieciństwie często zmieniała miejsce zamieszkania, wcale jej to nie przeszkadzało.

Owen stał spokojnie za Abigail. Nie wyglądało na to, by mu się gdzieś spieszyło.

- Czy Mattie przyniósł ostatnio jakieś nowe fotografie? - spytał Walta.

- Nie, a szkoda. Byłoby nam łatwiej sprzedać te stare. - Staruszek otworzył kluczem szufladę, wysunął ją i wskazał dłonią zawartość. - Mattie ma wielki talent. Zresztą zaraz sami się o tym przekonacie. Te fotografie należą do jego najlepszych. Pierwsze wykonał jeszcze jako nastolatek. Nie są oczywiście tak dopracowane jak te późniejsze, ale nawet tam widać wprawne oko. No cóż, miłego oglądania. Kiedy Walt wrócił do głównej sali, Abigail wyjęła z szuflady czarno-białą fotografię i wciągnęła gwałtownie powietrze, rozpoznając na zdjęciu urwisko nieopodal swojego domu. Mattie uchwycił dramatyczne piękno stromej, granitowej ściany oraz spienionych fal rozbijających się o potężne skały. Patrząc na to zdjęcie, wyczuwało się niebezpieczeństwo - było ono namacalne, nieuchronne. Skały i ocean nie okazałyby litości komuś, kto by źle postawił stopę albo za blisko podpłynął łodzią, albo wybrał się na wędrowkę w nieodpowiednim stroju - ani czternastoletniej dziewczynce, pomyślała Abigail, która pokłóciła się z przyjaciółką.

- Mattie zrobił to zdjęcie w dniu, w którym utonęła Doe - powiedział Owen.

- Właśnie to? Jesteś pewien?

- Miał przy sobie aparat, kiedy płynął łodzią z Chrisem i jego dziadkiem. Ale zrobił to zdjęcie później, kiedy już przywieźli ciało do portu. Wrócił w tamto miejsce.

- Ale na zdjęciu nie ma policji...

- Wtedy policja już odjechała. Nikogo nie było.

- Byłeś z nim?

Owen pokręcił głową, patrząc na fotografię.

- Nie...

- Więc skąd wiesz, że...
- Chris powiedział mi o tym po latach. Nie chciał, żeby Mattie pokazywał to zdjęcie publicznie.
- A co na to Mattie?
- Zrobił po swojemu.
- Ale nikt tego zdjęcia nie kupił - powiedziała, kładąc fotografię na szafce i sięgając po następną. Owen dotknął rogu starej fotografii.
- A ty byś kupiła, wiedząc, w jakich okolicznościach zostało zrobione?
- Nie. Ale ludzie są różni. Poza tym większość turystów nic nie wiedziała na ten temat.
- Też tak myślę. - Owen wpatrywał się w skalną scenerię. - Uroilem sobie, że nie byłem tam wtedy sam. Że ktoś śledził mnie i Doe albo czekał ukryty za drzewami.
- Ktoś, kto mógł jej pomóc? Owen wzruszył ramionami.
- Albo przynajmniej wezwać pomoc. Ja nie mogłem wydobyć z siebie głosu.
- Trudno żyć z takimi wspomnieniami.
- Teraz wiem, że to by niczego nie zmieniło. Doe uderzyła głową o skałę, a jej organizm szybko się wyziębził. Poza tym wpadła do wody w miejscu, do którego trudno było dotrzeć z brzegu i od strony morza. Pomoc tak czy siak przybyłaby za późno. - Oderwał wzrok od zdjęcia. Jego oczy posmutniały.
- Doe była bardzo delikatna. Unikała trudnych i niebezpiecznych szlaków. Strome skały ją przerażały. Bała się, że spadnie.
- Ale tamtego dnia była zdenerwowana, prawda?
- Grace Cooper naigrawała się z niej, bo Doe nie chciała iść na wędrownkę Szlakiem Przepaści.
- Też za nim nie przepadam - powiedziała Abigail.

- Kiedy trzeba się wspinać po kłamrach, dla mnie jest już za stromo.
- Nie ciągnie cię do wspinaczki, co?
- Absolutnie. - Abigail zauważyła, że Owen nieco się rozchmurzył. - Czy twoja siostra poszła nad urwisko, żeby coś sobie udowodnić? Czy dlatego, że była zdenerwowana i chciała od wszystkich uciec?
- Nie wiem, dlaczego tam poszła. Była przyzwyczajona do uszczypliwości Grace. Zresztą Doe nie pozostawała jej dłużna. - Pokręcił głową. - Minęło dwadzieścia pięć lat. Trudno uwierzyć. Prawda jest taka, że nikt nie ponosi winy za to, co się wtedy stało.
- Grace na pewno czuje się winna, choć wie, że to był wypadek.
- Jeśli nawet tak jest, nigdy mi o tym nie powiedziała. Cooperowie nie lubią zdradzać swoich uczuć.
- To się zgadza. - Abigail przypomniawszy sobie, jak próbowała się wyrwać Owenowi, kiedy nie chciał jej dopuścić do ciała Chrisa. Nigdy nie tłumiała uczuć, ale w ostatnich latach nauczyła się trzymać je na wodzy.
- Mattie też był wtedy nastolatkiem.
- Miał siedemnaście lat.

Jeszcze raz spojrzała na zdjęcie i wyobraziła sobie Chrisa, Mattiego i Owena jako młodych chłopców, którzy próbują - każdy na swój sposób - uporać się z tragiczną śmiercią ślicznej, delikatnej Doe Garrison.

- Pozostałe zdjęcia też są niezwykle - powiedziała Abigail, wyciągając z szuflady kilka z nich. Chociaż nie była ekspertem w dziedzinie fotografii, widziała, że późniejsze zdjęcia są lepsze - zarówno pód względem warsztatowym, jak i artystycznym. Mattie miał zapewne wszystkie negatywy. Przeglądając fotografie, Abigail ujrzała Mattiego Younga w in-

nym świetle i zrozumiała, dlaczego Chris nie chciał zrezygnować z tej przyjaźni.

- Patrzcie! - wykrzyknął ktoś w głównej sali.

- Wyszło słońce!

Abigail oderwała wzrok od fotografii.

- Poszukajmy jakiejś knajpki ze stolikami na zewnątrz - zaproponował Owen. - Napijemy się czegoś.

- Brzmi kusząco. A potem pokażesz mi swoją szkołę?

- Na razie jest to tylko duży, pusty budynek.

- Zerknął z ukosa na Abigail, jakby próbował odgadnąć, czy za jej chęcią obejrzenia szkoły nie kryje się jakiś szczególny motyw. - Ale z przyjemnością cię oprowadzę.

Przed wyjściem z galerii Abigail kupiła małą, czarną rzeźbę kaczki. Widziała, jak Walt chował ostrożnie zdjęcia do szuflady - również to, które Mattie Young zrobił w dniu śmierci Doe Garrison.

Linc patrzył, jak Mattie wyciąga tłustego, wijącego się robaka z dziury, którą wykopał w ogrodzie za domem Ellisa.

- Twój stryj nie lubi pracować w deszczu - powiedział Mattie, po czym cisnął robaka na ziemię. Miał na sobie podniszczoną dżinsową kurtkę, w której nie było mu za ciepło. - Ale nie przeszkadza mu, że ja pracuję w deszczu.

- Już nie pada. Co robisz?

- Dzielę byliny. Jak myślisz, fajna praca?

- Przynajmniej uczciwa - odparł z sarkazmem Linc, nie bojąc się reakcji swojego rozmówcy.

Mattie odchylił się na pięty.

- Jesteś bezczelnym gnojkiem, Lincolnie Cooper. Lubię patrzeć, jak się pocisz ze strachu. Najwyższy czas, żeby ktoś wycisnął z ciebie trochę potu.

- Nie obchodzi mnie, co o mnie myślisz. Wiem, co zrobiłem, a czego nie.

- Ale obchodzi cię, co myśli o tobie rodzina. Agenci FBI kręcą się po okolicy, prześwietlają waszą przeszłość, żeby sprawdzić, czy twoja siostra zasługuje na stanowisko rządowe. Są tutaj również policjanci, jak choćby ten chudy koleś z policji stanowej, Lou Beeler. Na pewno chciałby wiedzieć o tobie to, co ja wiem. Wtedy już by cię przemaglował. Wyciągnąłby z ciebie, co robiłeś w dniu, w którym zamordowano Chrisa Browninga.

Linc poczuł wypieki na policzkach, ale starał się ukryć przed Mattiem swoje emocje.

- Dobrze się bawisz, co?

- Jasne. Uwielbiam przecinać robaki na pół. Lincowi zrobiło się niedobrze na myśl o pociętych robakach.

- Masz szczęście, że nie jestem zabójcą - powiedział. - Gdybym nim był, nie płaciłbym ci za trzymanie gęby na kłódkę. Zakopałbym cię w głębokim, ciemnym dole. Nikt by cię nie znalazł.

Mattie nie dał się zbić z pantałyku.

- Nieważne, czy jesteś zabójcą, czy nie. Jesteś smarkaczem, który okradał przyjaciół swojej rodziny. Jeśli nawet nie włamałeś się do domu Chrisa, nie uderzyłeś jego żony w głowę i nie ukradłeś naszyjnika, to jednak podsunąłeś komuś taki pomysł.

- Jakiemuś naśladowcy - powiedział Linc. - Tylko że to nie trzyma się kupy. Czemu ktoś taki miałby wybrać akurat Browningów, kiedy na wyspie było mnóstwo bogatych turystów?

- Może chodziło o pieniądze, które dostali od gości weselnych?
- Nie było tam żadnych pieniędzy.
- Złodziej nie musiał o tym wiedzieć. - Mattie ukląkł i zaczął grzebać gołymi rękami w kłębowisku pędów i korzeni. Linc nie znał się na faunie i florze. Nie miał pojęcia, jaka to roślina. - Przyniosłeś pieniądze? - spytał, nie podnosząc wzroku.
- Są pod doniczką obok twojego roweru.
- Wszystkie?

Linc zawahał się. Żeby zdobyć pieniądze, zaciągnął kredyt na karcie, wyczyścił swoje konta bankowe, zawiózł do Ellsworth - najbliższego miasta z prawdziwego zdarzenia - różne drobiazgi, o których wiedział, że nikt nie zauważy ich zniknięcia, i oddał je w zastaw. Zastanawiał się, czy nie zwędzić ojcu zegarka i nie podebrać trochę gotówki jemu lub Grace, ale tak daleko się nie posunął.

- Do licha, Linc...
- Nie, nie wszystkie. Drugi tysiąc. To wszystko, co mogłem zdobyć, nie budząc podejrzeń. Za kilka dni będę miał więcej.

Mattie usiadł w mokrej trawie. Na jego oblepionych błotem dłoniach widać było plamki krwi - w miejscach, gdzie się skaleczył. Nie przejmował się jednak takimi drobiazgami.

- Zaczynam tracić cierpliwość.
- Gdyby mnie przyłapano, zaszkodziłoby to nam obu. Mój ojciec nie jest głupi. Zaczęłyby wypytywać, przejrzałyby mnie na wylot...
- No dobra. Nie chcemy, żeby tatuś coś zwęszył i zaczął bruździć. Po prostu załatw to. Chcę pieniędzy. Zasługuję na nie.

Linc czuł, jak krew pulsuje mu w skroniach.

Zauważył leżące w trawie grabki i wyobraził je sobie wbite w głowę Mattiego, ale nie potrafił sobie wyobrazić, jak je wbija, uciszając szantażystę na zawsze.

Pomyślał, że chyba łatwiej kogoś zastrzelić. Dobre rozwiązanie dla tchórze. Wystarczy zamknąć oczy i pociągnąć za spust. Jeśli cel jest nieruchomy, nie powinno to być takie trudne.

Ale tego, że do kogoś strzela, też nie potrafił sobie wyobrazić.

- Zdobędę pieniądze najszybciej, jak będę mógł. - Linc wyprostował się. Wiedział, że Mattie ma niezły ubaw, widząc go takiego wystraszonego i zażenowanego. - Ale potem koniec. Możesz mi grozić, ile chcesz. Więcej pieniędzy ode mnie nie dostaniesz.

- Chcę tylko te dziesięć tysięcy. Dotrzymam słowa. Nie zdradzę twoich tajemnic.

Jego tajemnic. Co taka menda jak Mattie Young mogła wiedzieć o jego tajemnicach?

Linc zauważył, że słońce przebija się przez chmury, i poczuł na plecach zimny powiew wiatru.

Dlaczego zależało mu na tym, by Mattie powiedział, że nie wierzy, że to on zabił Chrisa? Jakie to miało znaczenie?

Pchnął lekko stopą grabki.

- Już ci mówiłem. Wiem, co zrobiłem, a czego nie.

- Tak? - Mattie wyszczerzył zęby w uśmiechu, sięgając po paczkę papierosów. - Ja też wiem, co zrobiłeś, a czego nie. Pamiętaj o tym.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Sean i Ian Aldenowie wygramolili się z auta i wbiegli na mokry po deszczu taras. Owen był pełen podziwu, że chłopcy mają tyle energii po całym dniu spędzonym na powietrzu. Doyle zadzwonił na jego komórkę, kiedy Owen - w towarzystwie Abigail - pił mrożoną herbatę pod żółtym parasolem przy stoliku z widokiem na słynne nabrzeże Bar Harbor. Tego dnia nie było im dane obejrzeć budynku szkoły ratownictwa. Doyle nie mógł się wyrwać z pracy i poprosił Owena, żeby się zajął chłopcami. Do czasu powrotu Katie, pomyślał Owen, Doyle może nauczyć się radzić sobie bez niej.

Sean schylił się i podniósł coś, co było oparte o drzwi tarasowe, a potem bardzo się skrzywił.

- Straszne. Owen, czy to jedna z osób, których nie udało ci się uratować?

Ian nachylił się do brata i popatrzył.

- Ojej, ona nie żyje.

Owen wskoczył na taras. Kałuże deszczowe połyskiwały w słońcu. Od strony oceanu dochodził szum fal

obmywających skały, pokrzykiwania mew i warkot łodzi do połowu homarów.

- Co tam macie? - spytał spokojnie Owen, nie chcąc, żeby chłopcy wpadli w panikę.

- Zdjęcia - odparł Sean. - To twoje?

- Nie. Pokażcie.

Sean podał mu przezroczystą koszulkę foliową, pokrytą kropelkami deszczu. W środku były dwa, a może więcej zdjęć w formacie dwadzieścia pięć na dwadzieścia centymetrów. Owen ujął koszulkę za brzegi, ale to nie miało sensu - była zbyt długo wystawiona na działanie deszczu, a poza tym dotykał jej Sean, więc po innych odciskach palców nie pozostał już pewnie żaden ślad.

Owen spojrział na zdjęcie z wierzchu i nie mógł uwierzyć własnym oczom.

*Doe...*

- Owen? - odezwał się niskim, przestraszonym głosem Ian. - Czy coś jest nie tak?

Leżała na kocu w porcie - tam, dokąd zawieźli ją Browningowie i gdzie ratownicy próbowali ją reanimować. Tylko jego siostra - jej martwe ciało - była na zdjęciu, jakby wokoło nie było nikogo innego. Mokre kosmyki włosów oblepiały jej twarz.

Owen przypomniał sobie całą tę scenę. Jego rodzice - objęci, pogrążeni w szoku i rozpacz. Jego babcia, niezłomna Polly, składająca ręce do modlitwy. Chris i jego dziadek rozmawiający z ratownikami i policją, wyjaśniający, co się stało. Cooperowie, przerażeni, próbujący trzymać się z boku.

Nie pamiętał, by widział tam Mattiego Younga.

Sean stał nieruchomo i wpatrywał się w Owena.

- Chcesz, żebym zadzwonił do taty?

- Nie ma takiej potrzeby. - Owen zmusił się do

nawiązania kontaktu wzrokowego z chłopcami. - Zaczekajcie, obejrzę drugie zdjęcie.

Koszulka foliowa nie miała zatrzasku ani żadnego innego zapięcia. Owen mógł więc wysunąć drugie zdjęcie spod tego, na którym była Doe. Ale nie musiał wysuwać całego zdjęcia, żeby się zorientować, co na nim uwieczniono. Od razu rozpoznał skały i wysokie sosny na nadbrzeżu poniżej ruin pierwszego domu Garrisonów.

Rozpoznał też kobietę.

I siebie.

- Abigail - wyszeptał. - A niech to!

Trzymał ją, nie dopuszczając do męża, kiedy przyjechała policja, a ona znów próbowała mu się wyrwać.

Walczyła z Owenem jak lwica.

Była taka młoda i pogrążona w tak wielkiej rozpacz.

Łan wciągnął gwałtownie powietrze.

- Owen - załkał. - Owen, co...?

- Spokojnie. - Owen wsunął zdjęcia z powrotem do koszulki. - Wejdźmy do środka.

Ktokolwiek zostawił te zdjęcia, nie włamał się do domu. Ale kiedy Owen otworzył zamknięte na klucz drzwi i weszli do środka, na wszelki wypadek trzymał chłopców przy sobie. Potem posadził ich na wysokich stołkach przy barku i wybrał numer Abigail.

Nie odebrała.

Owen odłożył słuchawkę. Nie miał pojęcia, co Abigail robiła po tym, jak rozstali się w Bar Harbor. Zadzwoił na komisariat i rozmawiał przez chwilę z jednym z podwładnych Doyle'a, który obiecał, że zaraz kogoś przyśle i powiadomi o sprawie szefa.

- Proszę mu powiedzieć, że jego synowie są bezpieczni - rzekł na koniec Owen.

Kiedy odłożył słuchawkę, Sean popatrzył na niego w zadumie.

- Zostaw nas tutaj i sprawdź, co dzieje się z Abigail.

- Nie zostawię was samych.

- Nic nam się nie stanie. Owen uśmiechnął się do chłopca.

- Ale ja musiałbym zapaść się pod ziemię, gdybym nie zdążył wrócić przed przyjazdem waszego taty.

Żaden z chłopców się nie roześmiał.

- A co z Abigail? - spytał zdławionym głosem Ian. - Jest bezpieczna?

- Pewnie poszła na spacer albo załatwia jakieś sprawy.

Ian złapał Owena za rękę.

- Znajdź ją!

- Możemy pójść z tobą - dodał Sean. Owen pokręcił głową.

- Nic z tego. Abigail poradzi sobie. Jest policjantką, jak wasz tata.

Na tarasie rozległy się kroki. Chłopcy zadrżeli ze strachu, a Owen natychmiast stanął między nimi a drzwiami.

- Owen? - odezwała się Abigail. - To ja. Wszystko u ciebie w porządku?

Ian złapał się za serce w teatralnym geście i odetchnął z ulgą.

- Nic jej się nie stało. Owen uśmiechnął się.

- A nie mówiłem?

Sean ześlizgnął się ze stołka i podbiegł do drzwi.

- Abigail! Mój tata już tu jedzie. Ktoś zostawił Owenowi zdjęcia martwych ludzi.

Kiedy Abigail pchnęła drzwi i weszła do chłodnego

domu, Owen zauważył pistolet na jej biodrze oraz czujny wyraz oczu. Zmarszczyła brwi.

- Martwych ludzi? Owen, o co chodzi? Wskazał ruchem głowy koszulkę foliową, która leżała na kuchennym blacie, a potem wyjaśnił, co się stało, ale w taki sposób, by nie pogłębić paniki chłopców. Abigail słuchała w milczeniu, nie przerywając. Kiedy Owen skończył, zauważył, że jego sąsiadka pobladła.

- Abigail? Ty też znalazłaś u siebie zdjęcia?

- Tak, ale inne - odparła. - Ktoś wsunął je pod drzwi frontowe. Trzy zdjęcia zrobione na terenie posiadłości Ellisa Coopera w dniu śmierci Chrisa.

- Widziałaś kogoś?

- Nie. Pokreśliłam się trochę wokół domu, a potem przyszedłam tutaj. Nikogo nie zauważyłam. Nikogo, czyli Mattiego.

- Lou Beeler zaraz tu będzie. - Abigail uśmiechnęła się z wysiłkiem do chłopców. - Wasz tata też. Owen wyczuł jej zdenerwowanie.

- Gdzie są zdjęcia, które znalazłaś?

- Na moim blacie kuchennym. - Spojrzała pełnym napięcia wzrokiem na Owena. - Muszę coś zrobić. Powiedz Lou i Dpyle'owi, że niedługo wrócę.

- Chcesz jechać do Mattiego.

- Chociaż zdjęcia są bulwersujące, zostawienie ich pod czyimiś drzwiami to jeszcze nie przestępstwo.

- Doskonale wiesz, że policja zbada tę sprawę. Jednak Abigail zignorowała jego słowa. Pożegnała się z chłopcami, wymknęła tylnymi drzwiami i poszła w kierunku swojego domu.

Owen zaklął po nosem. Nic nie mógł zrobić. Nie mógł zostawić Seana i lana, a tym bardziej wziąć ich ze sobą i pójść z nimi za Abigail.

- Owen? - Ian wsunął swoją zimną dłoń w dłoń opiekuna. - Boję się.

Owen chciał powiedzieć chłopcom, że nie ma się czego bać, ale ktoś zostawił mu zdjęcie jego martwej siostry oraz zdjęcie przerażonej i zrozpaczonej wdowy. Jak mógł w tej sytuacji z przekonaniem powiedzieć, że nie ma powodu do obaw?

- Hej, chłopaki - rzekł. - Rozpalmy w kominku.

Abigail zaparkowała przed domem Mattiego, podeszła do frontowych drzwi i nacisnęła dzwonek.

Było po czwartej. O tej porze powinien już wrócić z pracy. Zauważyła, że verticale w panoramicznym oknie tego małego parterowego bungalowu są przekrzywione i że Mattie nie posadził w swoim ogrodzie żadnych kwiatów.

Biała farba na drzwiach była złuszczone i pożółkła. Zniecierpliwiona Abigail walnęła w drzwi pięścią.

- Mattie, to ja, Abigail Browning. Chcę z tobą porozmawiać.

Uderzyła w drzwi jeszcze dwa razy. Dalej nic. Przekręciła więc gałkę.

Drzwi nie były zamknięte na klucz.

- Mattie!

Zawołała go raz jeszcze, po czym pchnęła drzwi, ale zanim zdążyła wejść do środka, usłyszała za sobą klekot roweru. Odwróciła się i westchnęła.

- Jesteś. Nie zamykasz drzwi na klucz?

- A po co? Nie mam tu nic, co mogłoby zainteresować złodziei. - Machnął ręką, nie okazując najmniejszego zdziwienia czy irytacji wizytą Abigail. - Śmiało. Wejdz, jeśli chcesz.

- Dzięki.

Weszła do skromnie umeblowanego salonu, zaskakująco schludnego i czystego, jeśli wziąć pod uwagę wygląd samego Mattiego. Ogrodnik wszedł za nią do środka i klapnął na sofę.

- No dobra. Czego chcesz?

- Porozmawiać o twoich zdjęciach.

- O moich zdjęciach? Dlaczego?

- Byłam dzisiaj w galerii w Bar Harbor. Właściciel, niejaki Walt...

- A tak. - Mattie uśmiechnął się, kładąc nogi na stoliku kawowym. - Stary, dobry Walt. Jest beznadziejny, nie? Napuszony dupek.

- Uważa, że jesteś bardzo zdolny.

- No widzisz?

- Gdzie trzymasz negatywy swoich zdjęć?

- Spaliłem je.

Abigail nie wiedziała, czy może mu wierzyć.

- Kiedy?

- Któregoś wieczoru, gdy byłem w ponurym nastroju i trochę sobie popiłem. Cóż... - Zaśmiał się sztucznie. - To samo można powiedzieć o wielu innych moich wieczorach. To było wkrótce po śmierci Chrisa. Mieszkałem wtedy w Bar Harbor. Wielki świat w porównaniu z tym zadupiem.

- Zniszczyłeś wszystkie negatywy? Zawahał się.

- Nie pamiętam.

- Pamiętasz, Mattie. Jesteś fotografikiem. Te negatywy to dorobek twojego życia.

- Nie wiem, po co cię tu wpuściłem.

- Nie spaliłeś negatywów zdjęć, które zrobiłeś w dniu śmierci Dorothy Garrison - powiedziała stanowczo Abigail.

183

Mattie zerwał się z sofy i rzucił w stronę drzwi, ale Abigail zastąpiła mu drogę, chwyciła go za rękę i wykręciła mu ją do tyłu. Pisnął z bólu.

- Ej!

- Uspokój się. - Poluzowała uścisk. - Ucieczka nic nie da.

- Nie masz prawa...

Puściła go i cofnęła się o krok.

- Mattie, chcę wiedzieć, o co chodzi z tymi zdjęciami.

- Jakimi zdjęciami?

Abigail nie odpowiedziała. Przeszła do sąsiadującej z salonem jadalni, gdzie nad porysowanym stołem sosnowym, bejcowanym na ciemno, wisiał zakurzony żyrandol ze sztucznego kryształu.

- Nieźle to sobie wymyśliłeś. - Powiodła palcami po blacie stołu. - W ciągu dnia zarabiasz na życie, a po pracy zajmujesz się fotografią. Zgadza się?

Mattie rozmasował sobie rękę.

- Tak.

- Więc dlaczego zakradasz się nocą do ruin domu Garrisonów, żeby pić tam po ciemku w towarzystwie komarów?

Wzruszył ramionami.

- Dlaczego piję?

- Właśnie.

- Byłaś miłsza, kiedy żył Chris.

- Możliwe.

Kiedy Abigail ruszyła w stronę kuchni, zauważyła grubą kopertę wciśniętą pod przezroczysty, szklany wazon, stojący na kredensie, który wykonano w tym samym stylu co stół. Podeszła do kredensu i jedną ręką podniosła wazon, a drugą kopertę.

- Ej, to moje! Musisz mieć nakaz, żeby móc przeszukać dom...
- Nie przyszedłam tutaj jako policjantka, ale jako przyjaciółka. - Zobaczyła, że w kopercie jest plik zielonych banknotów, i powiodła kciukiem po ich brzegach. Przeważały banknoty pięćdziesięcio- i studolarowe. - Ile tu jest? Tysiąc?
- Trzymanie pieniędzy w domu nie jest zabronione.
- Mówiłeś, że nie masz tu nic, co mogłoby zainteresować złodziei. Cooperowie płacą ci gotówką? Mattie nie zamierzał odpowiadać na to pytanie.
- Wynoś się! - rzekł i pokazał jej drzwi. - Wyjdź, bo zadzwonię do Doyle'a. Abigail spojrzała ostentacyjnie na zegarek.
- Niedługo powinien tu być.
- Co?
- Doyle oraz porucznik Beeler. Nie zdziwiłabym się, gdyby przyjechali razem. - Włożyła kopertę pod wazon. - Możesz im powiedzieć o naszej rozmowie. Mattie zaklął siarczyście, ale na jednym przekleństwie się nie skończyło - klął jak w transie, obrzucając Abigail najgorszymi wyzwiskami. Nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia. Podeszła do drzwi, otworzyła je i obejrzała się za siebie. Jej mina musiała być bardzo wymowna, bo Mattie w końcu się zamknął.
- Powiedz szeryfowi Aldenowi i porucznikowi Bee-lerowi wszystko, co wiesz. Niczego nie ukrywaj, nie kombinuj, bo to może ci się nie opłacać. Mattie uniósł dłonie i rozchylił palce.
- Spójrz na moje ręce. Na brud i zaschniętą krew. Na odciski. Myślisz, że ja coś kombinuję? Chyba oszalałaś. Wstaję rano, jadę na rowerze do domu bogatych ludzi i haruję jak wół. Robię, co mogę, żeby uporządkować swoje życie.

- Okłamuj siebie, ile chcesz. I mnie, jeśli musisz. Ale nie okłamuj policji.

- Chrzań się!

Abigail wyszła, wsiadła do samochodu i wyjechała na główną drogę, nie natykając się na żadnych stróżów prawa.

Ale oni czekali na nią w jej małym domu na wybrzeżu Maine. Lou Beeler, Doyle Alden oraz agenci specjalni, Capozza i Steele.

- Ja to mam szczęście - powiedziała na głos do siebie.

Potem zaparkowała auto na trawie.

Nie chciała blokować podjazdu, bo w ten sposób uniemożliwiłaby stróżom prawa szybkie opuszczenie jej posesji.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

W koszulce foliowej, którą podrzucono Abigail, były trzy kolorowe zdjęcia.

To z wierzchu - widoczne przez folię - przedstawiało trzynastoletniego Linca Coopera, który w wyciągniętej częściowo ze spodni koszuli, z kieliszkiem martini w ręku, stał przy żelaznej furtce na tyłach ogrodu swojego stryja.

Abigail wiedziała, że zrobiono je przed siedmiu laty na przyjęciu u Ellisa. Świadczył o tym wiek Linca, mała parasolka w jego drinku i lampki dekoracyjne na ogrodzeniu. Widziała już mnóstwo zdjęć z tego przyjęcia.

Na drugim zdjęciu była Grace Cooper u szczytu stromych zygzakowatych schodów, które prowadziły z prywatnej drogi dojazdowej do domu Ellisa.

Na schodku niżej, niemal poza kadrem, stał Chris. Miał dłonie ściśnięte w pięści i wydawał się zagniewany.

Ale na jego twarzy nie było strachu, uznała Abigail, przyjrząwszy się dokładnie zdjęciu.

Nie przeczuwał, że grozi mu śmierć.

Chris poszedł do Ellisa po tym, jak znalazł ją nieprzytomną - z oczywistym zamiarem odszukania osoby, która napadła najego żonę. Na przyjęciu byli już tylko Cooperowie, kelnerzy i kilku wyjątkowo wytrwałych gości. Grace powiedziała policji, że widziała tam Chrisa, lecz zaprzeczyła, jakoby z nim rozmawiała.

Ale czy mogli nie rozmawiać, skoro spotkali się na schodach?

Na trzecim zdjęciu był Owen na kamiennym tarasie Ellisa. To zdjęcie zrobiono później, kiedy Linc wypił już swoje martini, a Grace i Chris powiedzieli sobie to, co mieli do powiedzenia.

A więc co najmniej kilka godzin przed tym, jak Owen znalazł na skałach ciało Chrisa.

Zanim Lou Beeler wysłał zdjęcia do laboratorium, Abigail sporządziła ich dokładne opisy. Odbitki były świeże. Prawdopodobnie wykonano je na drukarce atramentowej. Abigail poprosiła Lou, by sprawdził, czy przed spaleniem negatywów Mattie umieścił je na dysku komputera, a także czy umieścił tam te, których nie spalił - jeśli w ogóle jakieś zostały spalone - ale detektyw policji stanowej już wydał stosowne polecenie.

Pozostali stróże prawa pojechali do Mattiego. Wcześniej jednak przesłuchali osobno ją i Owena, żeby ustalić, dlaczego ktoś podrzucił zdjęcia i co one właściwie przedstawiają.

Abigail była zdenerwowana. Niewiele mogła teraz zrobić poza wyładowaniem frustracji na ścianach swojego domu.

Zawiązała fioletową chustkę na głowie i uniosła młot. Wiejący od oceanu wiatr wpadał przez drzwi werandowe i roznosił po podłodze gipsowy pył. Nie mogła się go pozbyć, chociaż ciągle zamiatała.

Jeszcze jedna ściana i już wszystkie płyty gipsowe w tym pokoju będą usunięte. Potem będzie trzeba zamocować nowe płyty, połączyć je taśmą, zagruntować i wybrać kolor farby - coś jasnego, ale harmonizującego z niebieskimi ścianami w holu.

Kiedy Abigail próbowała się skupić na płytach ściennych i kolorze farby, jej myśli podążyły w innym kierunku - ku anonimowym telefonom, zdjęciom, popijawom Mattiego w ruinach, plikowi banknotów pod wazonem.

Ku policjantom z Maine, synom Aldena.

Ku Owenowi.

Abigail aż podskoczyła.

Człowiek, o którym przed chwilą myślała, stał w drzwiach prowadzących do frontowego pokoju i patrzył, jak Abigail zamachuje się młotem, żeby zaatakować ostatni fragment ściany. Zmierzchało, noc nadciągała szybko.

- Powinnaś to robić w okularach ochronnych i masce - powiedział Owen.

- Są w bagażniku.

Nie zaproponował, że po nie pójdzie.

- Wynajmujesz ten dom policjantom. Mogłabyś skrzyknąć kilku i poprosić, żeby pomogli ci wyburzyć ściany i postawić nowe. Gdybyś wrzuciła kilka homarów do garnka i kupiła dwa sześciopaki piwa, byliby zachwyceni.

Uśmiechnęła się do niego.

- Sugerujesz, że my, policjanci, jesteśmy tacy przekupni? - Ale nie czekała na odpowiedź. - Cofnij się.

Nie chciałabym, żebyś oberwał tym w głowę.

- Abigail...

Młot już za pierwszym razem przebił płytę.

- Coraz lepiej mi idzie. - Wiedząc, że zaraz

opadnie z siłą, jeszcze dwa razy walnęła w ścianę, a potem oparła młot o odsłoniętą belkę podporową.

- Wystarczy. Muszę się oszczędzać, żeby nie nadwerężyć ramienia.

- Masz tam jakiegoś trupa.

- To szkielet myszy. - Wygarnęła go stopą z kąta.

- Tej akurat wcześniej nie zauważyłam.

- Gdzie jest jedna zdechła mysz, są też inne.

- Nie chciałabym się natknąć na żywą.

Owen podszedł do Abigail i powiódł kciukiem pod jej okiem.

- A ja nie chciałbym, żeby dostał ci się do oczu pył gipsowy.

- Nie byłoby dobrze. - Wzięła oddech. - Owen... Przykro mi, że ty i chłopcy musieliście oglądać te zdjęcia.

- To nie twoja wina.

- Mogłam zostać w Bostonie. Nie musiałam tu przyjeżdżać.

Na werandzie pojawił się Doyle Alden.

- Masz rację - powiedział, otwierając drzwi z siatką przeciwko owadom. - Nie musiałaś.

Zignorowała jego zgryźliwy ton.

- Znaleźliście Mattiego?

- Tak. Beeler z nim rozmawia. - Doyle popatrzył na arsenał narzędzi takim wzrokiem, jakby miał ochotę sięgnąć po łom i zaatakować nim Abigail. - Może powinnaś poprosić Cooperów, żeby zajęli się sprzedażą także twojego domu. Jasonto cwany facet. Wynegocjowałby dla ciebie dobrą cenę.

- Pewnie tak.

- Jak się mają chłopcy? - spytał Owen.

- Dobrze. Zostawiłem ich z sąsiadką, bo muszę uporać się z tą sprawą.

- Słuchaj, Doyle, gdybym wiedział o zdjęciach...
  - Skąd miałaś wiedzieć? - przerwał mu. - Ten łajdak mógł przynajmniej zakryć je kartką papieru, a tymczasem... - Nie dokończył. - Nieważne. Co się stało, to się nie odstanie.
  - Chłopcy rozmawiali ze swoją mamą? - spytała Abigail. - To by im pomogło.
- Doyle zeszywniał ze złości.
- Nie mów mi, jak mam wychowywać synów.
  - Przepraszam. Nie chciałam...
  - Doyle - wtrącił Owen - nikt nie chciał, żeby chłopcy zobaczyli te zdjęcia. Od dwudziestu pięciu lat mam w głowie obraz mojej martwej siostry, a od siedmiu lat również obraz zamordowanego Chrisa. Zrobiłbym wszystko, żeby oszczędzić chłopcom takiego widoku. Zresztą nie tylko ja. Wydawało się, że z szeryfa zeszło nieco powietrze. Zaklął pod nosem, ale szybko się pozbierał i wymierzył palec w Abigail.
  - Pamiętaj, co ci wolno, a czego nie - powiedział. - Wyburzaj kolejne ściany w tym cholernym domu, maluj, dekoruj. Kiedy się czegoś dowiemy na temat telefonów i zdjęć, damy ci znać.
- Abigail uśmiechnęła się gorzko.
- Lou powiedział mi to samo. Doyle też zdobył się na uśmiech.
  - Niegłupi z niego facet.

Doyle wsiadł do auta. Miał opuszczoną szybę. W chłodnym, słonym powietrzu roiło się od komarów. Owen, który wyszedł za przyjacielem na zewnątrz, czuł jego frustrację, niezadowolenie i bezsilność.

- Daj znać, jeśli będziesz chciał, żebym porozmawiał z chłopcami o tym, co się stało.
  - Przysięgam, że kiedyś... - Doyle wepchnął kluczyk do stacyjki znacznie mocniej, niż to było konieczne. - Przysięgam, że kiedyś Katie i ja spakujemy manatki i wyniesiemy się z chłopcami z tej cholernej wyspy. Powinienem poszukać innej pracy.
  - To, co się dzisiaj stało, nie ma związku z twoją pracą.
  - Nie chodzi o to, co stało się dzisiaj. Owen wiedział, że nie.
  - Jesteś policjantem w małym mieście, Doyle. Dobrze wykonujesz swoją pracę. Lubisz ją. Po prostu nigdy nie przypuszczałeś, że będziesz musiał prowadzić śledztwo w sprawie zabójstwa najlepszego przyjaciela.
  - Wydawałoby się, że po siedmiu latach...
  - Co? Wszyscy o tym zapomnimy? Powinniśmy raczej być wkurzeni, że jeszcze nie znaleziono zabójcy, i martwić się, że komuś może grozić niebezpieczeństwo.
- Doyle chwycił kierownicę i pokręcił głową.
- Nigdy nie znajdziemy zabójcy. Taka jest prawda, Owen. Abigail to wie, ale wymyśla różne fałszywe tropy. To ona mogła podrzucić te zdjęcia. Przez lata zbierała materiały; Ona... - Zdjął jedną rękę z kierownicy i przekręcił kluczyk w stacyjce. - Powiedziałem za dużo.
  - I bez sensu.
- Doyle spojrzał przez otwarte okno na Owena.
- Ona mówi ci tylko to, co chce powiedzieć. Jest niezłą aktorką. Nie daj się zwieść tym czarnym oczom, przyjacielu.
- Owen uśmiechnął się niewinnie.
- Jakim czarnym oczom?

Owen wszedł z powrotem do domu Abigail. Była w kuchni i podgrzewała na kuchence zupę z homara, którą wcześniej kupiła, a teraz tylko przelała do starego rondla.

- Muszę ci coś wyznać - powiedziała. - Nigdy w życiu nie przyrządziłam żadnego dania z homara. Ale nigdy też nie twierdziłam, że jestem prawdziwą mieszkanką Maine. Ja tylko mam tutaj dom. - Zajrzała do rondla. - W tej zupie jest tyle masła, że grozi nam obojgu sześciokrotny zawał serca.

Owen stanął za Abigail, a potem patrzył nad jej ramieniem, jak miesza zupę drewnianą łyżką.

- Nie pamiętam, kiedy byłem w tym domu po raz pierwszy. Chyba jeszcze jako mały chłopiec.

Niewiele się tu zmieniło. Dziadek Chrisa gotował zupy w tym samym rondlu.

- Żałuję, że nie zdążyłam go poznać lepiej. Umarł dziewięć miesięcy po tym, jak zaczęłam się spotykać z Chrisem.

- Był wspaniałym człowiekiem. Solą ziemi. Przychodziłem tutaj bez przerwy, zanim utonęła moja siostra. Ale potem... - Objął Abigail w pasie, by poczuć ciepło jej ciała, ale także po to, by dodać jej nieco otuchy. - Potem już nie przyjeżdżaliśmy na wyspę, to nie było łatwe dla mojej rodziny.

- Ale ty wróciłeś.

- Tak. Kiedy się usamodzielniałem. Chris wyjechał już wtedy na studia. Przychodziłem tutaj i siedziałem z jego dziadkiem na werandzie. Opowiadał mi o łowieniu homarów i życiu na wyspie. Z natury był małomówny, nieraz musiałem go ciągnąć za język. Ale kiedy się rozkręcił, mówił tak ciekawie, że słuchałem jak zauroczony.

- Właśnie takiego go zapamiętałam. Chris też był

taki. Nie mówił mi wszystkiego. - Abigail wpatrywała się w różowawą zupę. W powietrzu unosił się zapach homarów, masła i sherry. - Pewnie myślał, że ma jeszcze czas. Ze jeszcze zdąży podzielić się ze mną swoimi tajemnicami.

Jej rzeczowy ton potęgował siłę wypowiedzianych słów. Owen wciąż ją obejmował. Oparła się o niego, a on próbował sobie wyobrazić straszne obrazy, które ją prześladowały - nie tylko obraz zakrwawionego ciała na skałach, ale także te z innych miejsc zbrodni oraz twarze zrozpaczonych ludzi, którzy utracili bliskich.

- Policja porozmawia z Ellisem Cooperem i ze wszystkimi osobami, które były dzisiaj u niego - powiedziała Abigail. - Z każdym, kto był w pobliżu i mógł coś zauważyć.

- Jeśli zdjęcia podrzucił Mattie, to raczej nikt nie zwrócił na niego uwagi. On ciągle się tutaj kręci. Wrósł już w krajobraz.

Abigail kiwnęła głową.

- To prawda. Policjanci porozmawiają też z Ja-sonem i Grace. Akurat dla niej moment jest dość niefortunny, ale jak na razie, o ile wiemy, żadnej zbrodni nie popełniono.

Nadal mówiła spokojnym, wyważonym tonem, ale Owen czuł pod dłońmi jej rozpaloną skórę i podejrzewał, że tak naprawdę w Abigail Browning kipi wulkan.

- Te zdjęcia zrobił Mattie - powiedziała.

- Wiem.

- Ale nie jestem przekonana, że on je podrzucił. Owen objął ją mocniej.

- Nikomu z nas nie ufasz, prawda?

Abigail nie odpowiedziała, tylko uwolniła się z jego

objąć i sięgnęła do szafki po miseczkę. Koszula opięła się seksownie na jej ciele, co bynajmniej nie uszło uwagi Owena. Abigail zdjęła wcześniej z głowy fioletową chustkę i doprowadziła się do ładu, ale wciąż miała we włosach gipsowy pył.

Podgrzała zupę na tyle, żeby była gorąca, ale się nie zagotowała.

- Abigail, chcę, żebyś mi zaufała. Wyłączyła gaz.

- Od dawna próbuję rozwikłać tę zagadkę i robię to sama.

- Powinniśmy byli zrobić więcej, żeby ci pomóc. My wszyscy.

Abigail otworzyła energicznym ruchem szufladę i wyjęła z niej pogiętą chochlę.

- Wszyscy chcieli, żebym o tym nie myślała, ułożyła sobie życie na nowo. Zresztą dla was to też była tragedia. Znaliście Chrisa dłużej niż ja.

- Ale nie był naszym mężem - powiedział Owen, robiąc wymowną minę.

Posłała mu nikły uśmiech.

- To prawda. Ułożyłam sobie życie, ale chcę znaleźć zabójcę. Chcę wiedzieć, jak i dlaczego doszło do morderstwa. Może powinnam była sprzedać ten dom zaraz po śmierci Chrisa, ale... - Wzruszyła ramionami. - Nie sprzedalam.

- Te zdjęcia... - Westchnął. - Niełatwo je oglądać.

- Gdybyśmy poszli na tamto przyjęcie... - Pokręciła głową. - Byliśmy zaproszeni, ale nie poszliśmy.

- To był wasz miesiąc miodowy.

- Kiedy zobaczyłam te zdjęcia, znów poczułam wiatr znad oceanu, zapach róż i soli z tamtego wieczoru, gdy weszłam do tylnego pokoju i ktoś uderzył mnie

w głowę. Wszystko wróciło. Ty też miałeś podobne odczucia, widząc zdjęcie siostry? Kiwnął głową.  
- Ja przynajmniej byłam dorosła, kiedy zabito Chrisa. - Zanurzyła chochlę w zupie. - Ty byłeś dzieckiem, kiedy utonęła twoja siostra. Nie potrafię sobie wyobrazić, co przeżyłeś. A może potrafię, choć trochę. Kiedy stracisz kogoś bliskiego w tak młodym wieku, w tak tragicznych okolicznościach, ludzie traktują cię inaczej. Powstaje wokół ciebie bariera, którą inni muszą pokonać, żeby się do ciebie zbliżyć. Wcześniej ta bariera nie istniała.

- Abigail, wystarczy...

Zakłęła, puściła chochlę i odwróciła się błyskawicznie do Owena. Odnalazł jej usta. Jeśli odczuwał jakąś nieśmiałość, to Abigail - żadnej. Położyła jego dłoń na swojej piersi. Dotknął kciukiem jej sutka, a ich pocałunek był coraz bardziej namiętny, bo podniecenie Abigail ośmieliło Owena. Uniosła jego koszulę. Poczuł na plecach jej chłodne palce, wsunięte lekko w spodnie.

Ale poczuł także jej gorące łzy, skapujące na jego policzek, i cofnął się z rozdartym sercem.

- Przepraszam.

- To nie twoja wina.

Wiedział, że nie. Ale i tak było mu głupio, choć nawet sobie nie potrafił wytłumaczyć dlaczego.

Abigail bez słowa uciekła z kuchni.

Owen wlepił wzrok w zupę. Co z nim? Czemu nie zaniósł Abigail na górę i nie zaczął się z nią kochać? Nie wykorzystałby jej. Przecież ona też tego chciała.

Przeszedł przez frontowy pokój i stanął w drzwiach obróconego w perzynę pokoju, w którym dawno temu Abigail została napadnięta.

- Zupa stygnie.

Abigail kopnęła gruz leżący na podłodze.

- Co mnie podkusiło, żeby zrobić taki bajzel? Powinna być przywieźć tu Boba i Scoopa. - Uśmiechnęła się bezradnie, patrząc przez ramię na Owena. Jej łzy już wyschły. - Poznałeś Boba i Scoopa?

- To policjanci? Kiwnęła głową.

- Moi sąsiedzi. - Wskazała gestem stertę gruzu. - Powiedzieliby to samo co Doyle. Żeby nie pakowała się w kłopoty, tylko dalej wyburzała ściany. Niewykluczone, że skorzystam z tej rady. Pojadę jutro rano do sklepu i zamówię płyty gipsowe. Kupię też nowy młotek.

Tak jakby to miało sprawić, że przestanie myśleć

o telefonach, artykułach prasowych, zdjęciach. O Mat-tiem Youngu. Tak jakby mogła zapomnieć, że jest policjantką i ma zobowiązanie wobec zamordowanego męża.

Owen zachowywał kamienny wyraz twarzy.

- Dobry plan.

Wypuściła powietrze i spojrzała na niego z ukosa.

- Tyle zabrakło - pokazała dwa palce, niemal złączone - żeby przerzuciła cię sobie przez ramię i zniosła na górę. Wiesz o tym?

Roześmiał się.

- Walczylibyśmy o to, kto kogo zanieś.

- Dałabym ci wygrać.

Ale kiedy wzięła go pod rękę i zaprowadziła z powrotem do kuchni, Owen zdał sobie sprawę, co się właśnie stało.

Abigail przyznała, że chce się z nim kochać.

Ale nie tutaj, pomyślał. Nie w domu, w którym spędziła swój krótki miesiąc miodowy.

- Owen...

- To był bardzo przyjemny pocałunek, Abigail. Nie jesteśmy dla siebie tylko odskocznią. Teraz już oboje

o tym wiemy, prawda? Tak to na razie zostawmy. Widział, że odetchnęła z ulgą.

Kiedy zjedli zupę, Owen wrócił do domu. Zaczął rozpalać w kominku, żeby w domu zrobiło się ciepło i przytulnie i żeby posłuchać, jak trzaska ogień.

Czy Abigail martwiła się, że tej nocy będzie sama? Doszedł do wniosku, że raczej nie, bo jest policjantką, a poza tym jako wdowa i tak większość nocy spędza sama.

Kiedy rozpałił ogień, wyszedł na zewnątrz. Gwiazdy i księżyc powiodły go na sam koniec cypla, gdzie fale z trzech stron rozbijały się o skały.

Spojrzał w kierunku ruin starego domu i dostrzegł czyjaś sylwetkę.

*Abigail.*

Na pewno nie poszła tam, żeby rozmyślać nad życiem. Pewnie chciała sprawdzić, czy Mattie Young nie wrócił w swoje ulubione miejsce imprezowe.

Owen zagwizdał głośno i pomachał jej.

Odmachała.

Wydawało mu się jednak, że usłyszał, jak nazwała go osłem - przypuszczalnie dlatego, że ją przestraszył. Owen wybuchnął śmiechem, uznając, że to najlepsze podsumowanie takiego dnia jak ten.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Abigail wstała przed świtem i wyruszyła w stronę góry Cadillac. Po wjechaniu krętą drogą na jej granitowy szczyt wysiadła z samochodu. Na wysokości prawie sześciuset metrów wiał silny wiatr. Niebo było skapane w barwach wschodu słońca - lawendach, różach i pomarańczach.

W dole rozpościerał się ocean, zatoka i archipelag małych wysepek. Abigail słyszała pomruki zadowolenia innych osób, które wcześniej wstały, żeby zobaczyć ten widok. Chciała przewietrzyć umysł. Wędrowała więc często uczęszczanymi, granitowymi szlakami, podziwiała otaczającą ją scenę i oddychała z rozkoszą rześkim powietrzem. Ale myśli dotyczące poprzedniego wieczoru cisnęły jej się do głowy. Lou Beeler zajął do niej przed powrotem do domu. Okazało się, że jemu również Mattie nie chciał nic powiedzieć, zaprzeczył tylko, jakoby miał cokolwiek wspólnego z podrzuceniem zdjęć.

Kiedy Lou wychodził, Mattie poprosił go, żeby zabronił Abigail zbliżać się do niego.

Abigail wyczuła frustrację i niepokój starego detektywa. Anonimowe telefony mógł wykonać - z bardzo daleka - jakiś znudzony wariat. Jednak zdjęcia to zupełnie inna sprawa. Podrzucił je ktoś, kto był teraz na wyspie. Lou przyznał, że nie widział wcześniej żadnego ze zdjęć zrobionych na przyjęciu u Ellisa ani tego, na którym uwieczniono ją i Owena na miejscu zbrodni.

Nie widział też wcześniej zdjęcia martwej Dorothy Garrison.

To zdjęcie zaniepokoiło starego detektywa najbardziej.

Nastoletnia topielica przyśniła się Abigail w nocy. Obudziła się gwałtownie, z trudem łapiąc oddech. Scena, którą ujrzała w swoim koszmarze, wydawała się tak żywa, jakby Abigail była tamtego feralnego dnia z Browningami, Cooperami i Garrisonami w porcie.

Dlaczego ktoś zostawił to zdjęcie Owenowi? Chciał go rozdrażnić? Ale po co?

Wracając z góry Cadillac, Abigail zatrzymała się na śniadanie w popularnym przydrożnym barze.

Naleśniki z jagodami, syrop klonowy, bekon i zdecydowanie za dużo kawy. Kiedy skręcała potem we wspólną drogę dojazdową, była pobudzona kofeiną i cukrem.

Zaparkowała przed domem, zastanawiając się, jak dobrać się do skóry Mattiemu Youngowi. Bez wyraźnego zakazu nie zamierzała trzymać się od niego z daleka, a Lou nie miał nic przeciwko temu, żeby jeszcze trochę przycisnęła ogrodnika - i wyciągnęła z niego wszystko, co on wie.

Pomyślała o banknotach w kopercie. Czy to miało jakieś znaczenie? Na pewno. Mattie nie należał do osób oszczędzających pieniądze.

Wysiadając z samochodu, zobaczyła drozda na gałęzi świerku. Dlaczego nie mogła siedzieć na werandzie i po prostu oglądać ptaki?

- Możesz - powiedziała na głos do siebie. - Jak najbardziej.

Nikt nie miałby jej tego za złe.

Gałęzie świerku zaszeleściły na wietrze. Drozd odleciał.

Abigail otworzyła kluczem frontowe drzwi i natychmiast poczuła silny przeciąg. Zostawiła na noc otwarte okna. W domu zrobiło się chłodno, ale nie przejmowała się tym. Przede wszystkim chciała się pozbyć oparów farby, smrodu stęchlizny, wszystkiego, co sprawiało, że nie mogła normalnie myśleć. Przypomniała sobie, że drzwi na werandę też zostawiła otwarte.

To nie było zbyt mądre - zamknąć frontowe drzwi na klucz, a te na werandę zostawić otwarte na oścież, ale Abigail nie pomyślała o tym, wyruszając na wycieczkę na górę Cadillac.

Ponieważ jej lekkie sportowe spodnie nie miały kieszeni, położyła kluczyki do samochodu na stojącej wciąż w holu drabinie i skierowała się do tylnego pokoju. Unosiły się tam w powietrzu drobinki gipsowego pyłu.

Ale był również jakiś obcy zapach.

*Czyjś pot.*

Abigail usłyszała za sobą - w krótkim korytarzyku łączącym tylny pokój z kuchnią i drzwiami do piwnicy - jakiś dźwięk. Zanim jednak zdążyła zareagować, otrzymała cios w prawe udo. Nie próbowała utrzymać równowagi, tylko wyciągnęła przed siebie ręce, żeby zamortyzować upadek. Mimo to uderzyła mocno o chropowate deski podłogi, zdzierając sobie skórę na

lewym przedramieniu, po czym błyskawicznie przetoczyła się i stanęła na nogach. Ale nikogo już nie było.

Usłyszała tylko huk zatraskiwanych drzwi frontowych. Do licha!

Bolało ją udo, piekło, utrudniając poruszanie, kiedy chwyciła łom i pognęła przez frontowy pokój.

Zdała sobie sprawę, że przedmiot, którym zadano jej cios, przeciął spodnie i zranił ją do krwi. To nie był jej młot do burzenia ścian. Nóż? Została nim dźgnięta?

Dopadła frontowych drzwi i otworzyła je gwałtownym ruchem.

Nikogo. Zupełnie nic.

Odwróciła się, żeby wziąć z drabiny kluczyki, ale zniknęły. Wyskoczyła na zewnątrz i pokuśtykała najszybciej jak mogła do samochodu.

Tam też nikogo nie było.

Wstrząsnął ją dreszcz bólu i poczuła ciepłą krew spływającą po nodze. Wiedziała, że nie ma szans na dogonienie intruza, nawet jeśli ucieka na piechotę.

*Mattie.*

To jego pot poczuła.

- Cholera. - Abigail wciągnęła powietrze i przycisnęła dłoń do rany. - Cholera, cholera, cholera.

Najbardziej irytowało ją nie to, że dała się zaskoczyć i została zraniona. Nie miała powodu podejrzewać, że ktoś jest w domu, a potem było już za późno. Zresztą gdyby napastnik próbował zadać kolejny cios, obezwładniłaby go.

Przede wszystkim irytowało ją to, że będzie musiała się tłumaczyć ze skradzionych kluczyków Owenowi, Doyle'owi, Lou Beelerowi, agentom FBI przybyłym

na wyspę, a także Bobowi, Scoopowi, swojemu ojcu i pozostałym osobom, które się o nich dowiedzą. Owen miał już do czynienia z tyloma ofiarami wypadków, przemocy i katastrof, że potrafił rozpoznać te, którym trudniej znieść poczucie bezsilności niż ból spowodowany odniesionymi obrażeniami.

Abigail nienawidziła czuć się bezsilną. Nienawidziła prosić kogokolwiek o pomoc.

Rzuciwszy sweter na podłogę, nachyliła się nad stalowym zlewem w kuchni Owena i włożyła skaleczoną rękę pod zimną wodę. Chociaż miała zakrwawioną nogę, zdołała dotrzeć po skałach do jego domu, wejść przez werandę i niczego nie wyjaśniając, skierować się wprost do telefonu, żeby zadzwonić najpierw do Lou Beelera, a potem do Doyle'a Aldena. Nie zawracała sobie głowy numerem alarmowym 911.

Powiedziała Beelerowi, że dzwoni od Owena, ponieważ ktoś przeciął jej kabel telefoniczny. Zrobił to prawdopodobnie jeszcze przed jej powrotem z wycieczki.

Owen siedział na stołku przy blacie i stukał palcem w plastikową apteczkę, którą zdążył już skądś wyciągnąć.

- Jakby co, możesz skorzystać - oznajmił.

- Niczego nie potrzebuję. Dzięki. - Wreszcie spojrzała na niego. Teraz, gdy już zawiadomiła o zajściu stróżów prawa i włożyła rękę pod kran, jej twarz wydawała się nieco mniej blada. - Nie wiedziałam, że ktoś jest w moim domu, dopóki piła do płyt gipsowych nie rozharatała mi nogi.

- Skąd wiesz, że to była piła?

- Ponieważ upuścił ją, wybiegając z domu. Nie ujdzie mu to na sucho.
  - Jesteś pewna, że to był Mattie?
  - Tak. To, co zrobił, jest na tyle poważne, że można go przesłuchać, a nawet aresztować. Jeśli w ogóle go znajdziemy. Pewnie czmychnął gdzieś na rowerze. Gdyby nie ta cholerna noga... - Jęknęła, odwracając się z powrotem w stronę zlewu. - I to, że zabrał kluczyki do auta, mogłabym za nim pojechać. - Obejrzę twoją nogę...
  - Nic mi nie jest. - Zakręciła łokciem kran. - To niegroźna rana. Myślę, że nie chciał mi zrobić krzywdy. Zaskoczyłam go, a on nie miał ochoty się tłumaczyć.
  - Domyślasz się, dlaczego tam był?
  - Na pewno nie dlatego, że chciał mi pomóc w montowaniu płyt ściennych. - Uniosła ociekającą wodą rękę i obejrzała ranę. - Wygląda na czystą, prawda? To tylko kilka zadrapań. Jak po upadku z roweru. Trochę szczypie.
  - Mogę ci opatrzeć rękę. Samej będzie ci trudno.
  - Nie trzeba jej opatrywać.
  - Mam lód w zamrażarce.
  - Nie jest potrzebny.
- Owen otworzył apteczkę, po czym wyjął z niej opatrunek nieprzylepny, rolkę gazy, przyłepiec, nożyczki i maść z antybiotykiem.
- Krew skapuje na podłogę.
  - Faktycznie. Ale tylko trochę.
  - Opatrzę ci rękę. Uśmiechnęła się.
  - Czyżbym była trudna?
  - Trudna będziesz wtedy, gdy zaczniesz mierzyć do mnie z pistoletu. Na razie jesteś kimś, kto jest ranny,

ale nie potrafi się z tym pogodzić. - Podeszedł do Abigail, ujął jej rękę, odwrócił i obejrzał dokładnie ranę. - Zadrapania są głębokie.

- Przesadzasz. To nic poważnego. Zdaje się, że zahaczyłam o gwóźdź wystający z podłogi.

- Jesteś zaszczepiona przeciw tężcowi? Kiwnęła głową.

- Doyle i Lou będą tu lada chwila. Nie chcę, żeby zobaczyli, jak mnie opatrujesz.

- Jasne. - Owen przetarł ranę ścierką kuchenną. - Dlaczego jesteś pewna, że to był Mattie?

- Zostawił po sobie zapach.

- Myślisz, że był pijany?

- Nie mam pojęcia. Jeśli nawet, to poruszał się nadzwyczaj sprawnie. Wyskoczył z mojego domu jak zając, a potem błyskawicznie zniknął.

- No cóż, gdybyś gonila mnie z pistoletem w ręku...

- Najpierw musiałam go wziąć. Straciłam wtedy trochę czasu. - Skrzywiła się, kiedy Owen przyłożył opatrunek do posmarowanej maścią rany. - Na górę Cadillac pojechałam nieuzbrojona.

Owen owinał opatrunek gazą, a następnie zabezpieczył całość przyklepcem. Potem spojrzał na prawe udo Abigail. Krwawienie już ustało.

- Powinnaś pojechać z tą nogą na ostry dyżur.

- Zdarzały mi się poważniejsze skaleczenia podczas zbierania jeżyn. Kiedy zauważę, że wdało się zakażenie, pójdę do lekarza.

- Może trzeba to zszyć.

- Nie trzeba. - Abigail wyraźnie utykała, idąc w stronę werandy. Potem oparła się o drzwi i westchnęła. - Nie zaliczę tego dnia do najbardziej udanych w życiu. Ty nigdy nie robisz nic głupiego?

- Ja? Nigdy.

200

Roześmiała się.

- No jasne. Pokaż blizny. - Zarumieniła się i zrobiła głupią minę. - Albo może innym razem.

- Przykro mi, pani detektyw. Nie wrócisz do domu sama. - Podeszedł do niej i objął ją jedną ręką w pasie. - Odwiozę cię. Bez dyskusji.

- Nie mam pojęcia, jak zdołałam tutaj dojść po tych skałach. Chyba tylko dzięki naleśnikom, które zjadłam na śniadanie.

- A tak przy okazji... - powiedział Owen, prowadząc Abigail przez werandę. - Możesz obejrzeć moje blizny, kiedy tylko chcesz.

Zrobiłem to, pomyślał Mattie. Czuł się okropnie, kiedy prześlizgiwał się przez furtkę na tyłach ogrodu Ellisa, zaraz za skrajem lasu. Ellis pojechał do posiadłości rodzinnej nad Somes Sound. Mattie skorzystał z okazji i wkradł się do domu Abigail, licząc, że jej tam nie zastanie i będzie miał tyle czasu, ile potrzebuje.

Przedsięwziął środki ostrożności - przeciął kabel telefoniczny i ani na chwilę nie rozstawał się z piłą do płyt gipsowych. Ale nie uciekł wystarczająco szybko.

Stąpił teraz ostrożnie wzdłuż ogrodzenia, mijając huśtawkę, która stała tam jeszcze w czasach, gdy posiadłość należała do Garrisonów. Dotarłszy do szopy, obejrzał się, żeby sprawdzić, czy nie zostawił za sobą śladów.

Dopiero co ranił policjantkę. Wszyscy będą go szukali.

Jednak miał przygotowaną bajeczkę. Doyle mu uwierzy. Zawsze mu wierzył, nieprawdaż?

*Odebrano ci prawo jazdy, ponieważ Doyle ci nie uwierzył, kiedy mu powiedziałeś, że nie piłeś.*

Mattie zagłuszył w sobie głos zwątpienia, otworzył drzwi szopy i wszedł. Pomieszczenie było wypełnione po brzegi starannie ułożonymi narzędziami i akcesoriami ogrodniczymi. Na szczęście po wewnętrznej stronie drzwi też była zasuwka, więc Mattie mógł zamknąć je od środka.

Smugi światła wpadały przez małe, oszklone okienka, potęgując u niego poczucie klaustrofobii i osaczenia.

Przecisnął się między workami - z nawozem, torfem i suchym krowim łajnem - na koniec szopy, a tam odsunął na bok stare drewniane klatki na homary i uklęknął.

Potem zaczął walić pięściami w deskę, którą sam kiedyś przybił, żeby zasłonić dziurę, którą dawno temu wchodziły i wychodziły kury. Wystarczyłby im mniejszy otwór, ale właśnie dlatego, że był dosyć spory, mógł się teraz przydać Mattiemu. Deska ustąpiła gładko, lecz Mattie zostawił ją opartą o ścianę. Prawdopodobieństwo, że ktoś coś zauważy, było nikłe, ale on już dość tego dnia ryzykował.

W razie czego mógł się przecisnąć przez otwór i uciec do lasu.

Wiedział, że prędzej czy później to zrobi, ale najpierw chciał dostać pieniądze. Resztę obiecanej sumy. A może nawet więcej. Do licha, przecież Linc powinien zapłacić za to, co uczynił. Za swoją tajemnicę. Ten szantaż był dla niego szansą na wewnętrzne oczyszczenie.

*To wymówki. Należało powiedzieć wszystko Doyle 'owi poprzedniego wieczoru.*

Mattie potrząsnął głową. Nie mógł pozwolić, żeby

wątpliwości zmniejszyły jego determinację, zwłaszcza teraz, kiedy nie było już odwrotu.

Siedział na podłodze, oparty plecami o klatkę na homary. Czy to była jedna ze starych klatek Willa Browninga? Papa - tak go kiedyś nazywał. Stary papa Browning. Był jedynym Browningiem, który długo żył.

*Nie należy odpłacać pięknym za nadobne. Pamiętaj o tym, Mattie. Ach, ten papa.*

- Staram się - wyszeptał Mattie. - Naprawdę. Na szczęście papa Browning nie dożył tragicznej śmierci wnuka. Los mu tego oszczędził.

Mattie nie wiedział, czy zasnął, czy może popadł w jakiś trans, ale nagle dotarło do niego, że otwierają się ze skrzypieniem drzwi szopy. Zamarł, mówiąc sobie w duchu, że nie widać go od strony drzwi.

Potem usłyszał trzask zamykanych drzwi i poczuł czyjąś obecność.

- To ja - oznajmił Linc Cooper. - Jestem sam. Mattie wstał, ale pozostał przy otworze dla kur.

- Ellis jeszcze nie wrócił?

Linc pokręcił głową, po czym ruszył w stronę tylnej części szopy.

- Gliny przyjechały do drugiej rezydencji, żeby porozmawiać z nim i z moim ojcem. Szukają cię.

Uważają, że to ty zaatakowałeś Abigail Browning.

- Nie zaatakowałem jej... To nie tak.

- Więc powiedz to szeryfowi Aldenowi. Znacnie się. Uwierzy, że nie chciałeś zrobić nikomu krzywdy.

Uciekając, utwierdzasz ich w przekonaniu, że jesteś winny. A co z rowerem? Mattie, oni cię znajdą...

- Nie zrobiłem nic złego.

Schował rower w lesie, ale nie miał zamiaru dzielić

się tą informacją z Linkiem - nie chciał mu dać przewagi nad sobą.

Linc uśmiechnął się szyderczo.

- Jak zwykle niewiniątko, co?

- Nie muszę się przed tobą tłumaczyć. - Mattie poczuł zniecierpliwienie. - Zresztą, kto wie? Może pani detektyw Browning myśli, że to ty ją zaatakowałeś?

- Ja? Po co miałbym to robić? - Chłopak wyprostował ramiona i popatrzył na Mattiego chłodno, z wyższością. - Nie dam się wciągnąć w twoją grę.

- To nie jest żadna gra, do cholery!

- Mniejsza z tym. - Linc podszedł bliżej i podał Mattiemu kopertę. - Masz tu jeszcze dwa tysiące. To w sumie cztery. Weź je i uciekaj. Zanim posuniesz się za daleko. Wiesz, co by było, gdybyś zabił dzisiaj Abigail? Ona jest córką dyrektora FBI i policjantką...

- Jesteś draniem, Linc, wiesz o tym? - Mattie mówił spokojnym tonem mimo pożałowania godnej sytuacji, w której się znalazł. Nie chciał, by sprawy tak się potoczyły. - Jesteś taki sam jak twój ojciec. Nie myśl, że się choć trochę od niego różnisz. Obaj jesteście bezwzględnyimi sukinsynami. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Linc zrobił się czerwony jak burak.

- Lepsze to niż być śmierdzącym pijakiem, który zdradza przyjaciół.

Mattie wyrwał mu z ręki kopertę i popatrzył na zielone banknoty o różnych nominałach. Nowy początek. Ale jego oczy wezbrały łzami. Kichnął, zasłaniając dłonią twarz.

- Chcę całą sumę.

- Nie mogę...

- Mam naszyjnik Abigail.

204

Mattie upajał się reakcją Linca, który - wyraźnie zaszokowany - pobladł, cofnął się o krok i potknął o worek z krowim gnojem.

- Mattie... Chryste...

- Pamiętasz ten naszyjnik. Należał kiedyś do jej babci. Abigail nosiła go w dniu ślubu. Perły i wisiołek z kameą. Ukradłeś go.

- To nieprawda.

- Myślałeś, że nikogo nie ma w domu. W to nie wątpię. Ale ona tam była, a ty uderzyłeś ją w głowę...

- Pokaż mi go. - Linc doszedł już nieco do siebie. Jego tupet i arogancja znów dały znać o sobie. - Jeśli masz ten naszyjnik, pokaż mi go.

Mattie pokręcił głową.

- Mógłbyś wykorzystać moją chwilę nieuwagi

1 zdzielić mnie w głowę.

- Jeśli ja go ukradłem, to jak trafił do ciebie?

- Wiem, gdzie go ukryłeś.

Linc spojrzał na Mattiego tak, jakby miał za chwilę zwymiotować.

- Nie wiem, jak ty możesz spokojnie spać. Sześć-pak taniego piwa rozwiązuje problem, co?

- W ten sposób tylko sobie szkodzisz.

- Co z tego? Nie dostaniesz już ode mnie ani centa. Jeśli masz dowody na mój związek z zabójstwem Chrisa, idź na policję. Już mi wszystko jedno. Ale nie było mu wszystko jedno. Mattie widział w oczach chłopaka strach i nienawiść do samego siebie.

- Nie jestem chciwy.

- Jesteś łajdakiem, Mattie.

- Trzeba było wrzucić naszyjnik do oceanu. O tym teraz myślisz, prawda? Ale spanikowałeś.

- Wychodzę. - Linc wyprostował się. Nie był już

taki zielony na twarzy jak wcześniej. - Nie doniosę na ciebie. Utop się we własnym bagnie. Ale ja już z tobą skończyłem, Mattie. Zrób z naszymi, co chcesz. Nie ukradłem go. Nie zabiłem Chrisa i nie wiem, kto to zrobił.

Obrócił się na pięcie i wymaszerował z szopy, zamykając za sobą drzwi.

Mattie usiadł z powrotem na zimnej betonowej podłodze. Miał teraz cztery tysiące dolarów. Czy miał kiedykolwiek tyle pieniędzy? Czy nie powinien z nimi uciec?

Zadowol się tą sumą. Nie chciej więcej.

Zatakował Abigail Browning. Zonę Chrisa. Kobieta, która była wielką miłością jego przyjaciela.

*Szkoda, że nie przyszedłeś na nasz ślub, Mattie. Było wspaniale.*

Ale Mattie był wściekły na swojego przyjaciela, agenta FBI, który postanowił położyć kres ich przyjaźni.

*Znów pijesz. Koniec z nami.*

Mattie wyjął papierosa i wetknął sobie jednego do ust. Ale nie odważył się go zapalić. Zamiast tego oparł głowę o stertę klatek na homary.

- Do diabła, Chris. Zrobiłem to.

I już nie było odwrotu.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Owen stał na skalnym urwisku, z którego spadła kiedyś jego siostra. W dole kołysało się na falach stadko czarnych kaczek. Wzdłuż krawędzi pionowej ściany rosły wysokie jodły i świerki. Ich korzenie wystawały z płytkiej ziemi, a niektóre wisiały nad wodą.

Linc stał dwa kroki za Owenem.

- Nie boisz się, że spadniesz?

- Nie. Nie jest ślisko. - Owen uśmiechnął się do niego. - Poza tym trzymam się drzewa.

- Nie należę do tych, którzy lubią siedzieć z nogami zwieszonymi nad przepaścią. - Linc wychylił się ostrożnie poza krawędź klifu i popatrzył na wodę. Potem cofnął się i zaczął rezonować, żeby ukryć lęk. - Nigdy nie przyjeżdżam tu na długo. Bo i po co? Tutaj nie ma co robić. Chyba że ktoś lubi się wspinać.

- Albo obserwować ptaki.

- Obserwować ptaki? Owen też się cofnął.

- Nieważne.

212

- Och. - Linc wydawał się nieco zakłopotany.

- Twoja siostra. Grace mówiła mi, że Doe lubiła ptaki. Zapomniałem... - Skrzywił się. - Zapomniałem, że to tutaj spadła.

- To było dawno.

Dwa i pół hektara nadbrzeża wchodziło w skład posiadłości, którą sprzedawał Jason Cooper, i miało wkrótce przejść w ręce nowych właścicieli. Lincowi to na pewno nie przeszkadzało. Ale kiedy zjawił się przed godziną na tarasie Owena, wydawał się zdenerwowany i roztargniony. Owen zaproponował, by poszli na skały, a zrobił to z dwóch powodów. Chciał, żeby Linc się trochę uspokoił i żeby obaj spróbowali odszukać ślady człowieka, który zaatakował Abigail.

Po odwiezieniu Abigail do domu Owen zostawił ją z policjantami i wrócił na swój taras. Postawił krzesło przy balustradzie i siadając, oparł o nią nogi. Chciał popatrzeć na ocean i pomyśleć. Myślał przez dwie minuty, zanim zjawił się Linc.

Chłopak wsunął ręce do kieszeni.

- Mattie pracuje dla mojej rodziny od lat. Trudno uwierzyć, że mógł kogoś skrzywdzić. Abigail trochę go sprowokowała, ale ona wszystkich prowokuje.

- Zobaczymy, co Mattie powie, kiedy znajdzie go policja.

- Niedobrze, że nie mogą go znaleźć, prawda?

- To zależy. - Owen zauważył worki pod oczami Linca. - Masz kłopoty ze snem? Może za dużo od ciebie wymagałem podczas naszych wędrówek?

- Nie, nic mi nie jest. Dobrze sypiam. Po prostu...

- Wzruszył ramionami, patrząc na błękit wody i nieba.

- Całe to zamieszanie wokół mojej siostry i przyjazd Abigail... Wszystko to sprawia, że jestem jakiś rozstrojony.

- Gdzie jest teraz Grace?
  - Nie wiem. Pewnie w domu. - Zamilkł na chwilę, odchrząknął i zapytał prosto z mostu: - Czy Abigail myśli, że to Mattie zabił Chrisa?
  - Nie rozmawialiśmy o tym.
  - W pewnym sensie byłoby nam wszystkim łatwiej, gdyby okazało się, że to on. Gdyby tego dowiedziano. Wreszcie skończyłaby się ta niepewność.
  - Miałaś zaledwie trzynaście lat, kiedy zginął Chris
  - powiedział Owen. - To trudne doświadczenie dla kogoś tak młodego.
  - Był moim przyjacielem. - Linc zamrugnął, wstrzymując łzy. - Pamiętam poranek, kiedy go znaleziono. Nikt nie chciał ze mną mówić. Mój ojciec powiedział tylko, że Chris został ranny. Minęło wiele godzin, zanim się dowiedziałem, co naprawdę się stało.
  - Kto ci powiedział?
  - Mój tata, w końcu. Chris - załamał mu się głos
  - wierzył we mnie. Po jego śmierci zdałem sobie sprawę, że nikt nie musi we mnie wierzyć, bym sam w siebie uwierzył.
  - Wszyscy chcemy, by ktoś w nas wierzył...
  - Chcieć a potrzebować, to dwie różne rzeczy.
  - Może i tak.
- Linc wytarł wierzchem dłoni policzki.
- Muszę wracać. Owen popatrzył na niego.
  - Linc, chcesz mi powiedzieć, co się dzieje?
  - Nic się nie dzieje. Mam zszargane nerwy.
- Poszli z powrotem ścieżką wiodącą przez las, a potem skręcili w alejkę dojazdową. Kiedy dotarli do domu Owena, była tam Grace Cooper. Chodziła po tarasie z rękami splecionymi na piersiach, głęboko

zatopiona w myślach. Kiedy zobaczyła brata, odetchnęła z ulgą.

- Tu jesteś. Twoje auto stoi u Ellisa...

- Co z tego? Zostawiłem je tam i przyszedłem tutaj.

- Martwiliśmy się o ciebie. Linc przewrócił oczami.

- My?

- Tak, my. Ja, tata, Ellis. - Opuściła ręce. W markowym stroju żeglarskim, białych spodniach i bluzce w niebiesko-białe paski wyglądała na starszą, niż była.

- Po tej napaści na Abigail każdemu może grozić niebezpieczeństwo.

- Nie boję się. - Linc sprawiał wrażenie raczej bojowniczo nastawionego niż wolnego od strachu.

- To nie była przypadkowa napad. Ktokolwiek zaatakował Abigail, mnie nic nie zrobi.

Grace wydawała się nie przejmować konfrontacyjnym tonem brata.

- Może masz rację. Uważasz, że to nie Mattie? Policja go szuka.

- Nieważne, co uważam.

Grace straciła nieco rezon, lecz mimo to uśmiechnęła się grzecznie do Owena.

- To raczej nie jest odpoczynek, o jakim myślałeś.

- Nie szkodzi.

- Nie, bo ty nie potrafisz odpoczywać. - Jej uśmiech zbladł, zdradzając na chwilę starannie skrywane emocje. - Zrobiło się straszne zamieszanie.

- Martwi się o swoją nominację - wyjaśnił Linc, choć Owenowi nie trzeba było tego wyjaśniać.

- Wiesz, tylko to się liczy...

Siostra odwróciła się do niego gwałtownie.

- To nie fair!

215

Linc zaczerwienił się.

- Masz rację. Przepraszam. - Wzruszył ramionami, pełen krytycyzmu wobec siebie. - Bycie draniem pomaga mi o wszystkim zapomnieć.

Grace kiwnęła głową, przyjmując usprawiedliwienie brata.

- W porządku, nie gniewam się - zapewniła, po czym zwróciła się do Owena: - Pójdziemy już. Daj znać, jeśli będziemy mogli jakoś pomóc. Mam nadzieję, że Abigail czuje się lepiej.

Kiedy Grace i Linc udali się do jej samochodu, alejką dojazdową nadjechał Doyle Alden. Na fotelu pasażera siedziała Abigail. Wysiedli z auta i przywitani się z Cooperami, którzy mruknęli coś w odpowiedzi i poszli dalej.

- Dwóch ludzi Lou jest teraz w domu Ellisa - powiedział Doyle, wchodząc na taras. - Potem porozmawiają z Grace i Linkiem. Mattie ma dzisiaj wolny dzień. Trudno będzie go znaleźć.

Abigail podeszła do tarasu. Nie utykała już tak bardzo jak wcześniej. Chociaż włożyła świeże ubranie, krew przesiąkła przez spodnie khaki w miejscu, gdzie została raniona piłą. Owen zauważył, że plama nie jest duża. Abigail nie przejmowała się tym. Wzięła głęboki oddech i powiedziała:

- Podobno ma być dzisiaj prawie trzydzieści stopni.

Doyle zmarszczył brwi.

- Wyglądasz okropnie, Abigail.

- To jeden z tych dni, szeryfie.

- Chyba tak - rzekł Doyle i ciężko westchnął.

- Przynajmniej znaleźliśmy moje kluczyki do samochodu. Mattie rzucił je w trawę obok podjazdu.

Pewnie zrezygnował z kradzieży mojego auta.

- Nie wiemy, czy to był Mattie.
  - Ty nie wiesz. Gdybym tu była oficjalnie, jako policjantka, też bym miała wątpliwości. Ale nie jestem. - Krzywiąc się lekko z bólu, podeszła do szklanych drzwi. - To ja zapomniałam zamknąć te cholerne drzwi.
  - To pewnie niczego by nie zmieniło - zauważył Doyle. - Jeśli temu komuś zależało na dostaniu się do środka, mógł zbić szybę w oknie lub wyważyć drzwi.
- Najwyraźniej rozmawiali już o tym wcześniej. Doyle odczuł sporą satysfakcję, przekonując po raz wtóry Abigail, że popełniony przez nią błąd nie jest aż tak karygodny.
- Wiadomo coś nowego o Mattiem? - spytał Owen. Doyle pokręcił głową.
  - On zna tę wyspę jak własną kieszeń. Ma przyjaciół, którzy mogą go stąd wywieźć samochodem albo łodzią. Mogą mu też pożyczyć łódź. Jeśli nie chce z nami rozmawiać, trudno go będzie znaleźć.
  - Przecięcie kabla telefonicznego było sprytnym posunięciem - powiedziała Abigail. - W ten sposób opóźnił wasz przyjazd. Wiedział, że rowerem szybko nie ucieknie.
  - Ale skąd wiedział, że nie ma cię w domu? - spytał Doyle. - Przejeżdżał tędy przypadkowo, zobaczył, że nie ma twojego samochodu i skorzystał z okazji? No nie wiem. To wszystko nie trzyma się kupy. Może wszedł, żeby na ciebie poczekać, a potem nagle uznał, że trudno mu się będzie wytłumaczyć...
  - Więc złapał piłę i ciachnął mnie w tyłek? Doyle podrapał się po karku. Był czerwony na twarzy - od słońca, upału i frustracji.
  - Twierdzę tylko, że dopóki z nim nie porozmawiamy, niczego nie powinniśmy przesądzać.

Abigail spojrzała na Owena i uśmiechnęła się lekko.

- Policjanci stanowią zatrzymali moją piłę jako dowód rzeczowy.
- Pojedź do sklepu z narzędziami i kup nową
- zaproponował Doyle. - Dobrze ci to zrobi.
- A może przeszukamy dom Mattiego? Masz wystarczające podstawy, by wystąpić o nakaz...
- Dzięki za radę, pani detektyw - rzekł z sarkazmem Doyle.

Abigail zachowała spokój.

- Powinam była rozejrzeć się za jakimś kijem do podpierania, zanim przyjechałeś ze swoimi ludźmi. Może zaskarbiłabym sobie nieco współczucia.

- Wszyscy cieszymy się, że nie odniosłaś poważniejszych obrażeń.
- Tak, to byłby kłopot - powiedziała. - Wdowa po Chrisie, córka Johna Marcha...
- Przestań! - Doyle wymierzył w nią palec. - Przestań, zanim powiesz o jedno słowo za dużo. Ja staram się zachowywać przyzwoicie, a ty... - Opuścił rękę.
- Wystawiasz moją cierpliwość na próbę, Abigail. Zawsze to robiłaś.

Uśmiechnęła się ironicznie.

- Wybacz.
- Muszę odebrać chłopców. Chcesz, żebym wysłał radiowóz pod twój dom?
- Doyle...
- Rewanż! - oznajmił, prawie chichocząc. - Dam ci znać, jak znajdziemy Mattiego.
- Wiem, że od dawna się przyjaźnicie - rzekła Abigail. - Podtrzymuję to, co powiedziałam Lou i jego ludziom. Nie wierzę, by Mattie zaatakował mnie z zamiarem zrobienia mi krzywdy. Po prostu nie chciał dać się złapać.

- Ale zaatakował cię - powiedział Doyle. - A jeśli nie on, to ktoś inny. Do licha, twoja noga wciąż krwawi. Powinien ją obejrzeć lekarz.

- To drobiazg. Za bardzo ją nadwreżyłam. Przykleję plaster. Pożyczę go sobie z apteczki Owena. Owen, mogę?

Uśmiechnął się.

- Oczywiście. Gdybyś potrzebowała pomocy, daj znać. Będę tutaj.

- A ja będę w łazience na dole. - Odwzajemniła jego uśmiech. - Dzięki, poradzę sobie.

Owen milczał, kiedy Abigail wchodziła do środka, ale Doyle zawołał za nią:

- Cholera, może wdać się zakażenie! - Potem warknął na Owena: - Widzisz, co się dzieje? A Katie wyjechała. Wszystko jest na mojej głowie...

Westchnął.

- Możesz przywieźć chłopców, kiedy tylko chcesz.

- Żeby ktoś rzucił się na nich z piłą?

- To się już nie powtórzy.

- Może. - Doyle nie patrzył Owenowi w oczy. - Chciałbym wiedzieć, co kombinuje Mattie. I Abigail.

Cholera, nie mogę się w tym wszystkim połapać. Mam nadzieję, że nic gorszego już się nie wydarzy.

Że z wielkiej chmury będzie mały deszcz.

W łazience rozległ się huk.

- A niech to!

Doyle zerknął na Owena i uśmiechnął się.

- Wygląda na to, że pani detektyw potrzebuje jednak pomocy. Zostawiam to tobie.

- Cykor - odparł Owen i wszedł do środka.

Abigail podniosła się z podłogi, wytoczyła z łazienki i oparła o pokrytą sosnową boazerią ścianę w holu. Owen nie zdradzał żadnych oznak paniki.

- Straciłam równowagę i przewróciłam się - oznajmiła Abigail.
- Zaglądając do moich szafek?
- Raczej przeglądając półki. Jest ich tam z pięć milionów. Szukałam ibuprofenu. Stałam na brzegu wanny, żeby zajrzeć na wyższe półki. - Serce waliło jej jak młotem, bo to mogło się skończyć fatalnie.
- Ale nigdzie ani śladu ibuprofenu. W apteczce też go nie ma.
- Jest w kuchni.

Abigail zauważyła, że Owen zerka na jej nogę. Całe szczęście, że włożyła z powrotem spodnie, zanim przystąpiła do przeczesywania półek. Kiedy stała na środku łazienki ze spodniami w ręku, wyobraziła sobie, że się przewraca, Owen biegnie jej na ratunek i widzi ją zwijającą się z bólu na podłodze w samych majtkach. Niestety, ta ponura wizja nie uchroniła jej przed późniejszą decyzją o stanięciu na brzegu wanny.

- Z nogą wszystko w porządku - powiedziała.
- Naprawdę.
- Rana opatrzona?
- Znalazłam odpowiedni plaster. Teraz potrzebuję tylko dwóch tabletek ibuprofenu, kieliszka wina i gorącej kąpieli.

Owen podszedł bliżej.

- Da się załatwić.

Był teraz tak blisko, że Abigail mogła dostrzec czarne plamki w jego szarych oczach. Przywarła plecami do ściany. Gdyby umiała czarować, wtopiłaby się w boazerię. Ten facet zawrócił jej w głowie.

Owen patrzył na nią spokojnie i intensywnie zara-

zem, co w jego wypadku nie stanowiło żadnej sprzeczności.

- Doyle odjechał.

- Niełatwo mu będzie aresztować Mattiego, kiedy już przyjdzie ta chwila.

- Tobie byłoby łatwo?

- Nie. Chrisowi też. Oni trzej... - Oderwała plecy od ściany. Jej serce biło coraz szybciej. - Byli jak bracia. Zauważyłam to, kiedy po raz pierwszy przyjechałam na Mount Desert. Nie rozumiałam, czemu Chris ma tak ambiwalentny stosunek do swojej przeszłości na wyspie, dopóki nie poznałam Doyle'a i Mattiego.

- Jeśli Mattie może wytłumaczyć swoją obecność w twoim domu, to dlaczego cię zaatakował?

- On zawsze ma jakieś wytłumaczenie.

- Wniesiesz oskarżenie przeciwko niemu?

- To nie takie proste. - Abigail pomyślała o zdjęciach, które synowie Aldena znaleźli na tarasie Owena.

- Doyle'a nie było na łodzi, kiedy twoja siostra spadła ze skały, prawda?

- Nie. Nie wiem, gdzie był. Abigail...

- Miał wtedy piętnaście lat. Pewnie też bardzo to przeżył.

- Na pewno. On, Mattie i Chris byli przyjaciółmi. Abigail, co zamierzasz? Chcesz poszukać Mattiego? Mogę z tobą pojechać. Weźmiemy mój wóz.

- Dobrze. Możemy go poszukać. Lepsze to niż buszowanie w twojej łazience albo torturowanie się kolejnymi nieudanymi próbami ułożenia całej tej układanki. Ale nie znajdziemy go, jeśli się gdzieś zaszył i nie chce, by go znaleziono.

Owen powiódł zgiętym palcem po jej szczęce.

- Martwisz się o niego, prawda?

Kiwnęła głową.

- To nienormalne, wiem. Ten drań rzuca się na mnie, tnie moje najlepsze spodnie sportowe... no dobrze, jedyne moje spodnie sportowe, ośmiesza mnie przed kilkoma funkcjonariuszami policji z Maine oraz dwójką bardzo poważnych agentów FBI - mrugnęła, bo niespodziewanie napłynęły jej do oczu łzy - a ja się o niego martwię. Do licha!

- Twój ojciec...

- Komórka nie ma tu zasięgu, a Mattie przeciął kabel telefoniczny. - Uśmiechnęła się przez łzy. - No proszę, może zrobił to, żebym nie musiała rozmawiać z ojcem. Wyświadczył mi przysługę.

- Kabel został naprawiony? Kiwnęła głową.

- Jeden z ludzi Lou wiedział, co trzeba zrobić. Ja się na tym nie znam.

Owen dotknął palcem jej policzka i wytarł łzę. Potem pocałował to miejsce.

- Nie lubię, kiedy płaczesz.

- Ja nie płaczę.

- I nic nie stało ci się w rękę ani w nogę. Jesteś w stanie znieść wszystko...

- Tak, zniosę wszystko, bo muszę znaleźć zabójcę Chrisa. - Jej głos przypominał szept. - Wszystko. Nie cofnę się.

- Jak daleko jesteś gotowa się posunąć, żeby znaleźć zabójcę? Tak daleko, jak to będzie konieczne, niezależnie od konsekwencji?

- Są granice, których nie przekroczę.

- Jakie?

- Granice etyczne. Granice prawa. Ale nikogo nie będę kryć. Nie odwrócę wzroku, żeby kogoś nie zranić. Żeby nie zranić siebie.

217

Położył dłoń na jej karku.

- Wszystko przemyślałaś, prawda?

- Miałam na to siedem lat.

- Mimo że tak bardzo pragnę cię teraz pocałować i pragnąłem tego przez ostatnie lata, to gdybym mógł cofnąć czas i sprawić, by Chris wtedy z tobą został, zrobiłbym to.

- Owen... - Zakreśliło jej się w głowie. - Chris zawsze mówił, że jesteś jednym z najwartościowszych ludzi, jakich zna. Żałował, że nie zna cię lepiej. Nic dziwnego, że Linc Cooper i młodzi Aldenowie tak cię ubóstwiają. Należysz do najbardziej cenionych ratowników na świecie. Ale dla mnie - dotknięta blizny pod jego okiem - jesteś poza tym nadmiernym ryzykantem i tułaczem.

- Nigdy nie spadłem z wanny, szperając po czyichś półkach.

Kiedy się pocałowali, Abigail zamknęła oczy, słysząc szum oceanu, czując w powietrzu zapach soli i sosen. Objęła Owena i przyciągnęła do siebie, nie zważając na ból w ręce i w nodze. Przepelniające ją pożądanie czy też głębokie pragnienie, zamiast obudzić jej czujność i przestraszyć ją, dodało jej energii.

Owen chwycił ją w pasie, podniósł i pocałował w szyję. Owinęła nogi wokół jego bioder i rozkoszowała się wędrówką jego ust i języka po jej ciele.

Kiedy znów rzuciła mu się w ramiona, zbyt mocno napięła udo i krzyknęła z bólu. Zaraz potem próbowała to zakamuflować jękiem nieklamanej rozkoszy, ale człowiek, który doprowadził ją do stanu takiego podniecenia, znał się na bólu jak mało kto.

Owen postawił ją z powrotem na podłodze.

- Wszystko w porządku?
  - Moje ciało nie jest jeszcze gotowe do takich szaleństw.
  - Przynajmniej niektóre jego części.
  - Może i tak. - Nagle Abigail się zawstydziła. - Czy propozycja wspólnej przejażdżki jest wciąż aktualna?
- Pocałował ją w czoło.
- Ruszajmy, pani detektyw.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Ellis Cooper domyślił się, że Abigail próbuje sobie wyobrazić przyjęcie, które odbyło się w jego domu w dniu śmierci jej męża. Stała przy furtce wychodzącej na las. Chociaż wyraźnie odczuwała skutki porannego ataku, wyglądała na skupioną i czujną.

Z Owenem rzecz miała się inaczej. Ellis nie potrafił odgadnąć, o czym jego sąsiad myśli.

Wskazał laską tuje.

- Nie było jej tu siedem lat temu. W tym miejscu rósł klon. Musieliśmy go usunąć, kiedy uderzył w niego piorun.

- Pamiętam ten klon - powiedział Owen. - Wdrapywaliśmy się na niego z Doe, kiedy byliśmy mali.

Ellis starał się ukryć zakłopotanie, jakie poczuł, gdy Owen wspomniał o swoim wczesnym dzieciństwie, z którego część spędził w tej posiadłości. W ogrodach przetrwały ślady obecności Garrisonów, przypominające o ślicznej Doe. Ellis zachował wszystko, co mu się podobało, miało dla niego jakieś znaczenie albo było związane z jego własnymi wspomnieniami.

Postanowił zignorować komentarz sąsiada i mówił dalej:

- Od czasu, kiedy odbyło się tamto przyjęcie, posadziłem dużo nowych drzew i krzewów oraz dokonałem wielu innych zmian. W ogrodzie zawsze jest coś do zrobienia. Ta praca nigdy się nie kończy.

Abigail podchwyciła temat:

- Ale chcesz stworzyć nowy ogród, prawda?

- Zgadza się - przyznał, nie komentując tej niekonsekwencji. - Tak sobie jeszcze tutaj dłubię...

- Myślę, że spodobałoby mi się takie dłubanie.

- Abigail powiodła palcami po skoblu przy furtce, nie dając po sobie poznać, że boli ją obandażowana ręka.

- Czy tamtego dnia dużo gości wchodziło i wychodziło tą furtką?

- Z tego, co pamiętam, nikt z niej nie korzystał. Ale nie zwracałem na to szczególnej uwagi.

- Może ktoś miał ochotę na spacer którymś z pobliskich szlaków?

Ellis wzruszył ramionami.

- Może - odparł, po czym zwrócił się do Owena:

- O co właściwie chodzi?

Ale Abigail ruszyła w stronę ogrodowej szopy i Owen nie odpowiedział, tylko pokazał Ellisowi, żeby za nią poszli. Ellisa irytowało, że ta dwójka tak się rządzi. Byli na terenie jego posiadłości.

Czy też raczej... posiadłości jego brata.

Podeszli do pięknie wykonanej huśtawki z drewna cedrowego, która wisiała na konarze masywnego czerwonego dębu. Abigail pchnęła ją lekko.

- Cudowny zakątek, żeby usiąść i poczytać.

- Mam mało czasu na czytanie - rzekł oschle Ellis.

- Ja uwielbiam czytać. To pozwala mi nie zwariować.

- Moja siostra tu czytała. - Owen dotknął łańcucha, na którym wisiała huśtawka. - „Anię z Zielonego Wzgórza" przeczytała chyba z dziesięć razy.

Abigail nieco się zmieszała.

- Przepraszam, że ci przypomniałam...

- Nie przepraszaj. To dobre wspomnienia. Owen uśmiechnął się do niej z czułością, niemal namiętnie. Ellis był zaskoczony. Nie podejrzewał, że coś rodzi się między Owenem Garrisonem a Abigail Browning. Co powie na to Jason? I Grace... Choć nie chciała się do tego przyznać, zawsze wierzyła, że Owen może być jej. Wiązał się z różnymi kobietami, ale zawsze na krótko. Dla Ellisa nie ulegało kwestii, że dopóki Owen będzie wolny, Grace będzie przekonana, że może go mieć, jeśli tylko zechce.

Ellis wrócił szybko do wcześniejszego tematu.

- Większość gości była na patio. Niektórzy schodzili po stopniach nad wodę, żeby popatrzeć na klify... Abigail ruszyła w stronę rabaty obsadzonej różowymi i białymi tawułkami.

- Czy przekazałeś policji wszystkie zdjęcia, które wtedy zrobiłeś?

- Oczywiście. Zresztą sam wielu nie zrobiłem. Goście mieli do dyspozycji aparaty jednorazowego użytku. Niektórzy zrobili zdjęcia i zostawili aparaty. Przekazałem wszystko policji z własnej inicjatywy. Nikt nie musiał mnie o to prosić. Te zdjęcia raczej nie pomogły w śledztwie, a szkoda.

- Mattie też robił zdjęcia?

- Nie zleciłem mu tego, jeśli o to pytasz.

- Ale niewykluczone, że je robił?

- Niewykluczone. Abigail, proszę... O co tu chodzi?

Uśmiechnęła się.

- Wiem, że zadaję dużo pytań. Coś się dzieje na tej wyspie i ma to związek ze mną. - Podeszła do szopy. - Mogę zajrzeć do środka?

- Oczywiście, ale...

- Idź na kolację. Nie chcemy cię zatrzymywać. Ellis westchnął z rezygnacją.

- Dobrze, zajrzemy tam, a potem pójdziemy na kolację razem.

Jason, Grace i Linc byli w kuchni. Mieli wkrótce zjeść kolację i porozmawiać na temat wydarzeń związanych z ich ogrodnikiem i wdową po Chrisie Browningu. Wiedzieli, że jeśli informacja o napaści na Abigail dotrze do mediów - a Jason był przekonany, że tak właśnie będzie - posada Grace zawiśnie na włosku. Już stara sprawa zabójstwa jej przyjaciela była dość kłopotliwa. Nowe śledztwo przekreśliłoby marzenia Grace. Wobec groźby skandalu jej nominacja zostałaby wycofana. Zrobiono by to elegancko, ale to byłby koniec. Choć Grace ciężko zapracowała na miano specjalistki od spraw międzynarodowych, w tej sytuacji nie miałoby to żadnego znaczenia.

Owen otworzył drzwi szopy, ale Abigail weszła pierwsza. Ellis zauważył, że ma broń pod lekką kurtką. Nie zdziwiło go to. Gdyby jego spotkało tego ranka coś podobnego, też nie chciałby ryzykować. Wszedł za nimi do środka - bardziej znudzony niż zirytowany.

- Przechowuję tutaj rzeczy do ogrodu - powiedział. - Mattie często tu zagląda w ciągu dnia, ale... Abigail podniosła rękę.

- Zaczekaj.

Wyciągnęła broń. Owen milczał, idąc za Abigail w kierunku starych klatek na homary.

Ellis też to teraz spostrzegł. Klatki przestawiono. Ktoś tam był. *Mattie*.

- Wszystko w porządku? - spytał z paniką w głosie Ellis.

Abigail odsunęła nogą jedną z klatek. Do dusznego pomieszczenia wpadł powiew świeżego powietrza. Ellis zauważył, że deska zakrywająca wyjście dla kur została usunięta.

- Moja babcia hodowała kury - powiedział cicho Owen.

Abigail schyliła się i popatrzyła przez szeroki otwór.

- Cholera, nawet struś by się przecisnął.

- Chciała hodować świnię, ale dziadek się nie zgodził.

- Ty też masz jakieś dziwne hobby poza spuszczeniem się z helikoptera? - Nie obejrzała się jednak na niego, bo była skupiona na czym innym. - Wygląda na to, że ktoś tędy uciekł - powiedziała, kucając przy otworze.

Ellis poczuł, że jego serce bije coraz szybciej.

- Nikogo nie widziałem. Nie zauważyłem nic podejrzanego.

Abigail włożyła głowę w otwór i rozejrzała się. Potem cofnęła się i wstała.

- Nie wyjdę tędy. Nie chcę zatrzeć śladów. Ellis, muszę skorzystać z twojego telefonu i wezwać policję.

- Oczywiście - odparł ze ściśniętym gardłem. Miał nadzieję, że nie dostanie zawału. - Ale *Mattie* ciągle tu wchodzi...

- Przez otwór dla kur?

- Raczej nie.

Owen przecisnął się obok niego i skierował w stronę

drzwi, ale Ellis nie mógł się ruszyć z miejsca. Przybity i zakłopotany, oparł się na lasce. Czyżby Mattie ukrywał się w szopie przez cały dzień? Ellisa przytłaczała świadomość, że brat, bratanica i bratanek będą świadkami tego, jak Abigail Browning wzywa policję z jego telefonu.

Dotknęła jego ramienia.

- Ellis?

Otrząsnął się z letargu.

- Konsekwencje dla Grace byłyby...

- Dlatego że Mattie Young ukrył się w twojej szopie? Ludzie nie są tacy małostkowi, Ellis, a poza tym nie znamy jeszcze jego wersji.

Mimo swojego pojednawczego tonu Abigail zrobiła minę świadcząca o tym, że tak naprawdę nie jest zainteresowana wersją Mattiego.

- Proszę - powiedział Ellis, pokazując Abigail, żeby go wyminęła.

Pokręciła głową.

- Ty pierwszy.

- Co? Aha. - Ellis wciągnął nosem powietrze, wyraźnie zirytowany. - Chcesz wyjść ostatnia, bo obawiasz się, że mógłbym zatrzeć ślady?

Abigail nie odpowiedziała.

Ellis wyszedł na zewnątrz i stanął obok Owena.

- Abigail nie obchodzi, że ucierpią przez to niewinni ludzie.

- Obchodzi ją to, ale nie powstrzyma.

- Jak możesz być taki spokojny?

Nieskory do nerwowych reakcji Owen uśmiechnął się krzywo.

- Nie wiem jak ty, Ellis, ale ja myślę, że ktoś, kto przeciska się przez otwór dla kur, nie może być szczególnie niebezpieczny.

Ellis chciał odwzajemnić uśmiech i odpowiedzieć żartobliwie, ale nie był w stanie. W przeciwieństwie do swojego sąsiada nie potrafił zachować zimnej krwi w trudnych sytuacjach. Owen stykał się z nimi niemal na co dzień i lubił stawiać im czoło. Ellis był inny. Nie szukał ekstremalnych doznań. Wolał spokojne życie. Nie chciał, żeby go prześwietlano tak jak Grace, oceniano publicznie każdą jego decyzję, toczono z nim polityczne boje. Nie chciał też narażać się jak Owen.

Albo Abigail.

Chociaż ona była skomplikowaną kobietą, postawiła sobie teraz proste zadanie - znaleźć Mattiego i ustalić, czy jest zabójcą Chrisa.

Ale kiedy Ellis szedł przez ogród, podpierając się laską, myślał o własnym życiu - o tym, że traci nad nim kontrolę. Zresztą to zaczęło się dawno. Zbyt późno to zauważył. Teraz zdał sobie sprawę, że jeśli chce coś z tym zrobić, jeśli chce osiągnąć w życiu harmonię, musi być odważny.

Nie był taki jak Abigail czy Owen. Brakowało mu odwagi i śmiałości.

„Jesteś człowiekiem z za kulis - mówił mu wielokrotnie Jason. - Pomagasz innym zrobić to, co musi być zrobione”.

W mniemaniu Jasona był to komplement.

Ellis odwrócił głowę i spojrzał na szopę. Otworzyły się szeroko drzwi.

*Gdzie jesteś, Mattie? Co zrobiłeś?*

Zakreśliło mu się w głowie.

Próbując się uspokoić, Ellis położył dłoń na łomoczącym sercu i wziął głęboki oddech. Nienawidził być w centrum zainteresowania, ale teraz nie mógł przed tym uciec. Wkrótce przybędzie policja. Będą mieli zespoły poszukiwawcze, psy i kto wie, co jeszcze?

Całkowity brak kontroli.

Tym razem nie brat ani bratanica potrzebowali jego rady.

Tym razem musiał udzielić rady samemu sobie.

Nieprzenikniona wieczorna mgła zasnuła wyspę - niespodziewanie, jakby na zamówienie Mattiego, który przywołał ją siłą woli, żeby pomogła mu się ukryć i utrudniła poszukiwania.

Wkładając brudny talerz do zlewu w kuchni swojego wuja, Linc zdał sobie sprawę, że kibicuje Mattiemu i to wcale nie dlatego, że boi się, iż sprawa szantażu wyjdzie na jaw.

Kibicował mu, ponieważ Mattie był człowiekiem przegranym i miał wszystkich przeciwko sobie. Odbywało się polowanie na niego. Linc widział policjantów wychodzących przez furtkę do lasu.

Towarzyszył im owczarek niemiecki wielkości tygrysa.

Ten dureń nie miał wielkich szans.

Może weźmie te cztery tysiące i zacznie wszystko od nowa. Może wreszcie sobie uświadomi, że sięgnął dna, szantażując Linca, i to go otrzeźwi.

Napaść na Abigail. Ukrywanie się w szopie. Ucieczka wyjściem dla kur.

Może Mattie zrozumie, jak nisko upadł, i zapragnie zmienić swoje życie.

Ale Linc kibicował mu również ze względu na swojego ojca, wielkiego Jasona Coopera, który urodził się w zamożnej rodzinie, nigdy nie musiał walczyć z alkoholizmem i któremu nigdy nie zabito przyjaciela.

Linc wiedział, że śmierć Chrisa Browninga była

jego ojcu obojętna. Jasona irytowało tylko, że wdowa po Chrisie dąży uparcie do znalezienia zabójcy, grając wszystkim na nerwach.

- Linc? - Nuta troski zabrzmiała w głosie ojca, ale młodzieniec nie miał złudzeń co do prawdziwych intencji tego człowieka. Ojcu zależało tylko na tym, by Linc nie zrobił nic, co mogłoby zainteresować policję. - Synu, napij się z nami herbaty. Potem pojedziemy do domu. Mattie na pewno wyjaśni, co robił w szopie.

*Straszyl mnie naszymi*. Linc opłukał talerz. Naczynie było wykonane ręcznie i równie starannie dobrane jak wszystko w tej kuchni - stonowane kolory, terakota podłogowa, zrobione na zamówienie szafki. Na kolację podano duszonego kurczaka z rozmarynem z ogrodu, młodym groszkiem i chrupiącym chlebem z piekarni w Bar Harbor. Linc przesuwiał jedzenie po talerzu, udając, że je.

- Nie mam ochoty na herbatę - odparł, odwracając się plecami do zlewu.

Grace westchnęła. Była wyczerpana psychicznie.

- Och, Linc. Nie dąsaj się. To był wystarczająco męczący dzień.

- Poszukam Mattiego.

- Nie!

Jego siostra zerwała się z miejsca, ale ojciec pokręcił głową.

- Niech idzie - powiedział spokojnie. - Komary zapędzą go szybko z powrotem do domu.

- Ale Mattie zaatakował dzisiaj kogoś.

- Abigail - powiedział Jason, jakby to wszystko wyjaśniało.

Grace odwróciła się w jego stronę.

- Powiedziałeś to tak, jakbyś uważał, że Abigail zasłużyła na to, co ją spotkało.

- Nie twierdę, że zasłużyła. Ale jest doświadczonym detektywem. Powinna umieć sobie radzić w takich sytuacjach.
- Mattie mógł jej poderżnąć gardło.
- Nie sądzę. Użył zardzewiałej piły, której nie ostrzono pewnie z piętnaście lat. Poza tym miał zaledwie ułamek sekundy na zadanie ciosu, a to za mało, by człowiek jego postury mógł zrobić komuś wielką krzywdę.
- Patrzysz na to wszystko bardzo chłodnym okiem - powiedziała Grace.

- Po prostu staram się być obiektywny i zrozumieć sytuację.

Linc usłyszał dość. Wychodząc, trzasnął drzwiami. Abigail i Owen wyruszyli na poszukiwanie Mattiego jeszcze przed przyjazdem policji, ale chociaż znali okoliczne lasy, Mattie znał je lepiej. Wychował się tam, fotografował je. Dzięki mgłę i zapadającej ciemności mógł się skutecznie ukryć. Policjanci nie zapytali Linca wprost, czy go widział. Nie powiedział im wszystkiego, co wiedział, ale nie kłamał.

Jeden z agentów - agent specjalny Capozza - stał przed drzwiami szopy i odpędzał właśnie chmarę komarów.

Linc posłał mu współczujący uśmiech.

- Są nie do zniesienia, prawda? Rano i wieczorem jest najgorzej. Trzeba uważać na wirusa zachodniego Nilu. - Zajrzał do szopy. - Mattie na pewno tu był?
- Musisz zapytać porucznika Beelera albo szeryfa Aldena.
- Dobrze. Przepraszam.

Capozza trzepnął komara, który usiadł mu na rękę, po czym skrzywił się, widząc ślady krwi.

- Zdaje się, że dopadłem go za późno. Twój ojciec i siostra wciąż tu są?

- Piją herbatę w kuchni. Idę poszukać Mattiego.

- Dlaczego?

Linc poczuł przyływ emocji.

- Bo jest moim przyjacielem. Bo nie wierzę, że mógł komuś zrobić krzywdę. Nie chcę, żeby jakiś narwany glina zastrzelił go tylko dlatego, że...

- Ej! Uważaj, co mówisz.

- On nie zabił Chrisa Browninga.

Agent FBI odchylił głowę do tyłu i popatrzył uważnie na Linca.

- Skąd wiesz?

- Chris też był moim przyjacielem, a także przyjacielem Mattiego.

- Wygląda na to, że są tu sami przyjaciele. - Capozza nie zwracał teraz uwagi na komary. - Ale kiedyś doszło do serii włamań, była też napaść połączona z rabunkiem, morderstwo, a dzisiaj...

- Muszę już iść. - Linc pociągnął nosem, bliski płaczu. - W szopie jest środek przeciwko owadom.

Może pan skorzystać.

- Poszukajmy go razem.

- Czemu?

- Chcę jeszcze z tobą porozmawiać.

Godzinę później Linc siedział sztywno w samochodzie siostry. Wracali do posiadłości nad zatoką Somes Sound. Grace jechała zbyt szybko jak na panujące warunki, ale Linc bał się zwrócić jej uwagę, bo mogłaby stracić kontrolę i wjechać na drzewo.

- O czym rozmawiałeś z agentem Capozzą?
- O niczym szczególnym. Pytał, czy znałem dobrze Chrisa, jak dobrze znam Mattiego. Nie powiedziałem mu nic, o czym nie wiedzą miejscowi.
- Nie powiedziałem mu o szantażu ani o czterech tysiącach.*
- Pytał o mnie? - Grace chwyciła kierownicę obiema rękami. - Jeśli tak, muszę wiedzieć.
- Chciał się zorientować w relacjach między poszczególnymi osobami.
- Skwitowała te słowa kiwnięciem głowy.
- Nie chcę, żeby Mattiego spotkało coś złego, ale jeśli tak się stanie, nie będzie to moja wina. Ani twoja. Ani ojca, choć potrafi być wyjątkowo denerwujący. Widziałeś Ellisa? Wyglądał na zdruzgotanego.
- Boi się, że Mattie podetnie mu nadgarstki pod jakimś rododendronem.
- Linc! - Kopnęła w hamulec i auto zatrzymało się z piskiem na środku zamglonej drogi. - Do licha! Ty bezduszny draniu! Ja wspierałam cię, kiedy wylatywałeś z kolejnych szkół.
- Z dwóch.
- Z dwóch uczelni, a z ilu liceów? Ojciec i ja pociągaliśmy za sznurki, żeby przyjmowano cię do dobrych szkół. Nie jest łatwym człowiekiem, ale zawsze chciał dla ciebie jak najlepiej.
- We własnym mniemaniu.
- Przestań!
- Linc oparł się o fotel i westchnął, jakby wzburzenie siostry nie zrobiło na nim żadnego wrażenia.
- Jedźmy, zanim ktoś wpakuje nam się w tył.
- Byłam z ciebie dumna, kiedy poszedłeś do Owena i poprosiłeś, żeby cię szkolił. - Już prawie płakała.

- Mam nadzieję, że będzie to robił dalej. Że coś z tego będzie. Możesz dokonać wielkich rzeczy, Linc, jeśli przestaniesz się nad sobą użalać i wściekać na cały świat.

- A kto powiedział, że ja chcę czegoś dokonać? Może trenuję z Owenem tylko po to, żeby lepiej wyglądać?

- Od razu by się zorientował. Linc milczał przez chwilę.

- Jeśli tak bardzo go podziwiasz, to czemu za niego nie wyjdiesz?

- Nigdy nie byliśmy sobą zainteresowani w takim sensie.

- Po prostu kochasz kogoś, kto już nie żyje. Grace zareagowała błyskawicznie, wymierzając bratu siarczysty policzek.

Linc dostrzegł łzy lśniące w jej oczach, kiedy znów ujęła kierownicę i nacisnęła pedał gazu.

- O, cholera. - Omal sam się nie rozpląkał. - Cholera. Grace, przepraszam.

- Nie zostanę tu. Wyjeżdżam jutro. Mam mnóstwo roboty w Waszyngtonie. - Teraz już nie próbowała wstrzymywać łez. - Linc... Linc. Kocham cię. Nie chcę, żeby coś ci się stało.

- Nic mi się nie stanie, Grace. Obiecuję.

- Zawsze możesz na mnie liczyć. Rozumiesz? *Powiedz jej teraz.* Ale nie mógł.

- Rozumiem. Ty też możesz na mnie liczyć. Uśmiechnęła się do niego. Łzy wciąż spływały jej po twarzy.

- Chyba nikt jeszcze mi tego nie powiedział.

- Przepraszam za to, co powiedziałem wcześniej. Wiesz, a propos Chrisa.

- Chris... Mój Boże, kochałam go. - Wciągnęła

powietrze, zwalniając w gęstniejącej mgle. - Ale nie byliśmy sobie przeznaczeni.

- A on cię kochał?

- On kochał Abigail.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

*Nie chcę dzisiaj myśleć o śmierci.*

*Chcę myśleć o miłości.*

*Nie chcę myśleć o przemocy.*

*Ale właśnie o miłości.*

*Nie chcę słyszeć głosu Abigail.*

*Miłość.*

*Moje serce przepelnia miłość tak głęboka, czysta i uszczęśliwiająca, że niczego więcej nie potrzebuję.*

*Niewielu ludzi doświadcza w życiu takiej miłości.*

*Trochę im współczuję, ale przede wszystkim tym się od nich różnię.*

*Odrębność.*

*Samotność.*

*Izolacja.*

*Te słowa przychodzą mi do głowy, kiedy o sobie myślę, ale nie oddają tego, co czuję. Sugerują bowiem rozgoryczenie i niespełnienie, a ja niczego takiego nie odczuwam.*

*Dzięki mojej miłości.*

234

*Ja kocham.*

*To nie jest tylko stan emocjonalny. To przejawia się również w działaniu.*

*Kłamię. Zwodzę. Plączę. Zabijam.*

*To wszystko przejawy miłości.*

*Takie swobodne pisanie, bez żadnych ograniczeń, daje mi poczucie wolności.*

*Nie chcę więcej zabijać, ale nie mogę obiecać, że tego nie zrobię, bo to by znaczyło, że moja zdolność kochania osłabła.*

*Nie osłabła.*

*I nie osłabnie.*

*Nigdy.*

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Gdziekolwiek Mattie się znajdował, na pewno zamierzał zostać tam do rana. Abigail nie była tym zachwycona, ale kto był? Po ciepłym dniu przyszła chłodna noc. Jeśli Mattie nie miał odpowiedniego stroju, porządnego koca, wody, żywności - jeśli spanikował i zgubił się w lesie - wszystko mogło się zdarzyć.

Abigail obserwowała Owena, który klęcząc na jednym kolanie, układał drewnienka w kominku. Siedziała w jednym z foteli kominkowych i była okryta kocem, ale Owen nie wyglądał na zmarzniętego czy zmęczonego.

- Gdybyś wszedł dzisiaj na górę Cadillac i ktoś by cię potraktował piłą, byłbyś tak samo wykończony jak ja - oznajmiła Abigail.

- Nie weszłaś tam, tylko wjechałaś.

- Chodziłam wokół szczytu i to skoro świt. To też się liczy.

Owen spojrzał na nią przez ramię.

- Trzęsiesz się z zimna tylko dlatego, że tak się ubrałaś.

- Za mało na siebie włożyłam?

Znów zajął się układaniem drewnienek.

- To zależy, jak na to spojrzeć.

Szturchnęła go lekko stopą w plecy. Mokra buty zostawiła wcześniej przy drzwiach.

- Wiesz, o czym mówię.

- To nie jest strój do chodzenia po lesie w taką pogodę.

- A twój? Zapalił zapałkę.

- Ja jestem zahartowany.

- Masz na sobie dzinsy. To też chyba nie najlepszy wybór. Kiepsko chronią przed wilgocią i chłodem, zwłaszcza kiedy przemokną. No i co? Nieźle jak na miejską policjantkę, prawda?

Służące za rozpałkę gazety strzeliły jasnym płomieniem. Owen zamknął siatkową osłonę kominka, oparł się na dłoniach i wyciągnął przed siebie nogi. On też zdjął wcześniej buty. Trzymał teraz stopy blisko ognia. Wszystko to tworzyło intymną atmosferę.

Włączyli się w poszukiwania Mattiego, lecz trop już się zatarł, a widoczność była znikoma. Wszelkie ślady

- stóp czy podeptanych roślin - urywały się po kilku krokach. Mógł być wszędzie.

- Martwię się o niego - powiedziała Abigail. - Nigdy nie widziałam go w stroju, w którym dałoby się przetrwać zimną noc w lesie.

- Mógł się odpowiednio zaopatrzyć.

- Albo ukryć u kumpla lub na jakiejś rozklekotanej łajbie. Mógł też złapać okazję i wyjechać z wyspy...

- Abigail...

- Rozważam różne możliwości. - Westchnęła.

- Owen, nie chcę znaleźć go martwego. Nikt nie chce.

- Domyślasz się, co on kombinuje? Pokręciła głową.

- Niestety nie.
- Myślisz, że to on do ciebie dzwonił?
- Nie wiem. Osoba, która dzwoniła, rzekomo chce mi pomóc... - Urwała. - Cokolwiek Mattie robi, na pewno mi nie pomaga.
- Twój anonimowy rozmówca, kimkolwiek jest, też nie pomaga, tylko sieje zamęt.
- Słuszna uwaga.

Funkcjonariusze policji lokalnej i stanowej oraz agenci FBI opuścili dom Ellisa Coopera. Ellis nie zgodził się, by choć jeden radiowóz został pod jego domem. Powiedział Lou Beelerowi, że nie boi się Mattiego i uważa, że nie zrobił on nic strasznego, jeśli w ogóle coś zrobił.

- Ellis mógł równie dobrze powiedzieć, że przynoszę im pecha.
- Był zdenerwowany.
- Jason i Grace też nie byli zbyt mili. Ale przecież ja przyjechałam na wyspę dopiero po otrzymaniu anonimowego telefonu. Może to, co robi Mattie, ma więcej wspólnego z Cooperami niż ze mną. Nominacja Grace, sprzedaż domu... Te sprawy mogą być powodem całego zamieszania.
- Mogą - rzekł Owen.

Położyła mu dłonie na ramionach, zsunęła je po jego klatce piersiowej, po czym pochyliła się i przytuliła policzek do jego policzka.

- Ciebie to nie interesuje, prawda? Chwycił jej dłoń.
- W tej chwili nie. - Jednym wprawnym ruchem przeniósł Abigail nad swoim ramieniem i posadził sobie na udach. Potem objął ją i uśmiechnął się.
- Czułem, że nie będziesz się opierać.
- Opierać? Jestem ranna.

- Myślałem, że to tylko parę zadrapań. Owinęła mu ręce wokół szyi.
  - Dobrze myślałeś. Kiedy uganiał się za Mat-tiem, noga mnie nie bolała. Jest tylko trochę sztywna, nic więcej. - Uśmiechnęła się, czując na plecach żar bijący od kominka. - Po prostu nie chciałam, byś pomyślał, że jestem łatwa.
  - „Łatwa” to nie jest pierwsze słowo, które przychodzi mi do głowy, kiedy o tobie myślę. Raczej zdeterminowana, nieustępliwa, wytrwała...
- Abigail przewróciła oczami.
- Od razu mi lepiej. Objął ją mocniej.
  - Atrakcyjna. Seksowna. Brązowooka.
  - Zgrabna? Zaśmiał się.
  - Jasne.
  - Kłamca. Nie jestem zgrabna. Jestem - zastanawiała się przez chwilę - wysportowana.
  - No właśnie - powiedział, zbliżając usta do jej warg. - Całymi dniami mógłbym patrzeć, jak kręcisz tym swoim wysportowanym tyłeczkiem, chodząc po górach.
  - Łajdak - powiedziała ze śmiechem, ale ich usta się złączyły i nie mogła już nic dodać.
- Rozchyliła wargi, a potem jęknęła w odpowiedzi na namiętny pocałunek Owena. Tym razem jej sąsiad nie okazywał najmniejszej nieśmiałości, nie ukrywał, czego pragnie. Uniósł jej koszulę i położył ciepłą dłoń na jej brzuchu.
- Zostań na noc.
  - Możesz być pewien, że nie spuszczę się z okna po prześcieradle.

- Nie chcę, żebyś spała w pokoju gościnnym.

- Owen...

Przesunął dłoń nieco wyżej i uśmiechnął się.

- Tak, Abigail?

- Jesteś bezpośredni.

Nie odpowiedział, tylko dotknął jej piersi i zaczął wodzić palcami wokół sutka.

- Koronkowy. Właśnie takiego się spodziewałem.

- Aha. Wyobrażałeś sobie, jaki stanik noszę.

- A ty? Powiesz, co sobie wyobrażałaś, myśląc

o mnie?

Uśmiechnęła się.

- Nie.

Owen zsunął ją ze swoich ud, podniósł się z podłogi, wrzucił do ognia jeszcze jedno polano, a potem wziął Abigail za rękę i pomógł jej wstać. Szczapa zapłonęła z trzaskiem, a z kominka buchnął gorący powiew. Owen nie puścił ręki Abigail. Poszli krótkim korytarzem do jego sypialni, urządzonej w ciemnym drewnie i głębokich, ziemistych kolorach. Było tam chłodniej niż w pokoju z kominkiem.

- Piękna sypialnia - powiedziała Abigail. Owen wziął ją na rękę, położył na łóżku i pogłaskał po włosach.

- Spróbuj o wszystkim na chwilę zapomnieć. Ale jeśli coś będzie nie tak...

- Nie zastrzelę cię. Obiecuję.

Zignorował ten żart. Pocałował jej czoło, potem nos.

- Po prostu mi powiedz. Dotknęła palcami jego ust.

- Powiem. Dziękuję.

Rozebrali się nawzajem - zaczęło się od koszuli Abigail, a skończyło na jej staniku i majtkach. Owen

bardzo uważał na jej rany, ale ona nie czuła nic poza podnieceniem.

- Owen - powiedziała, zapominając, co ją na tę wyspę przywiodło. - Lubię wypowiadać twoje imię. Przesunęła dłońmi po jego plecach, czując pod palcami blizny i twarde mięśnie. Wiedziała, że pod względem tężyzny fizycznej nie może się z nim równać. Każdy milimetr jego ciała świadczył o ogromie wykonanej pracy. Owen był twardy, seksowny, niezłomny i całkowicie oddany temu, co robił.

- Nie myśl o niczym - wyszeptał, jakby czytał w jej myślach.

- Nie myślę. Naprawdę. Dotykam twoich blizn.

- Jej palce natrafiły na nabrzmiałego penisa. - To chyba nie jest blizna?

- Mam nadzieję!

Wziął jej sutek do ust, musnął go lekko zębami, a potem powędrował w dół, obsypując pocałunkami jej ciało. Nie padło już potem żadne słowo. Abigail zrozumiała, że nie ma odwrotu. Poruszyła się pod Owenem, kierując go ku sobie. Wszedł w nią tylko trochę, jakby chciał dać jej szansę na zmianę decyzji, ale odpowiedź była jednoznaczna - Abigail pomogła mu wsunąć się w nią głębiej.

Tylko na to czekał. Zaczął poruszać się w niej

- rytmicznie, bez zapamiętania. Abigail włożyła ręce pod głowę i zamknęła oczy, oddając się bez reszty doznaniom zmysłowym i emocjonalnym, które zlewały się w jedno.

Owen nie zmniejszał tempa, nie tracił impetu. Abigail chwyciła go za biodra. Wiedziała, że za chwilę będzie miała orgazm. Próbowwała opóźnić ten moment, ale Owen poruszał się w niej jeszcze szybciej i gwałtowniej, aż w końcu oszłamiający dreszcz wstrząsnął

całym jej ciałem. Krzyknęła, ale on nie przestawał, chcąc spotęgować jej rozkosz. - Owen!

Opadła bezwładnie na łóżko. Nie ruszała się. Nie mogła.

Ale Owen mógł i robił to, ale wolniej, jakby chciał sprawdzić, czy na pewno nie drzemią już w niej żadne siły.

O dziwo, ciało Abigail zareagowało na tę zachętę. Ostygłe po orgazmie podniecenie znów zaczęło dochodzić do głosu i niebawem przerodziło się w wartki nurt, porywający wszystko, co napotka na swojej drodze. Abigail wbiła palce w ręce Owena, a on znów zwiększył tempo, dając nieskrepowany upust swojej żądzy.

Na chwilę ich spojrzenia spotkały się.

Owen uśmiechnął się, przeżywając własne spełnienie. Drżał jeszcze, kiedy Abigail po raz drugi przeżywała rozkosz, tym razem jednocześnie ze swoim kochankiem.

Opadli na łóżko, a potem leżeli na plecach, ciężko oddychając.

Stopniowo zaczęli dostrzegać miejsce, w którym się znajdowali. Drewniane ściany. Bogate kolory. Abigail czuła zapach ognia w kominku dochodzący z drugiego pokoju, słyszała szum oceanu i rytmiczne pohukiwanie sowy.

Przed chwilą kochała się z Owenem Garrisonem.

Wcale się przed tym nie wzbraniała. Usiadła teraz, świadoma swojej nagości. W słabym świetle widziała zaczerwienione miejsca na swoim ciele, ślady namiętych igraszek. Wystarczyłby jeden dotyk - może nawet spojrzenie - a znów nabrałaby ochoty na dziki seks.

Pełen zachwytu wzrok Owena wędrował po jej ciele

- od piersi w dół i z powrotem. Pochlebiało jej to, i podniecało. Owen się nie zakrył. Wiedziała, że niedługo będzie gotowy, by znów się z nią kochać.

- Jesteś przystojnym draniem - powiedziała. Usiadł.

- Serio?

- Dobrze o tym wiesz. Jesteś przystojnym ryzykantem. Do tego cholernie bogatym.

- Co jeszcze?

- Aha, chcesz usłyszeć więcej, narcyzie. Cóż, jesteś dobry w tym, co robisz, oddany temu całym sercem, a także... - Żartobliwy ton nagle się ulotnił. - Niezako-rzeniony.

- Wszystko się zgadza. - Pochylił się i dotknął językiem jej sutka. - Każde słowo.

Wciągnęła powietrze.

- Owen...

- Jesteś najseksowniejszą kobietą, jaką znam.

- Wziął sutek do ust i ssał przez chwilę. Potem powiedział: - Uwielbiam twoje oczy.

Następnie dalej pieścił jej pierś. Podniecona Abigail nie potrafiła już dłużej siedzieć nieruchomo. Przesunęła ręką po plecach Owena.

- Mniejsza o moje oczy. Ja...

- I twoje serce. - Usiadł prosto, tak że ich oczy znalazły się na tej samej wysokości. - Uwielbiam twoje serce. Nie ma w tobie cynizmu. Widziałaś najgorsze rzeczy, do jakich zdolny jest człowiek, a jednak nadal wierzysz w ludzi.

Abigail położyła się na łóżku, ciągnąc za sobą Owena.

- Nie bądź tego taki pewien - szepnęła. - Kochaj się ze mną. Teraz. Jeśli czujesz się na siłach...

- Czuję się na siłach - zapewnił szeptem.

Kiedy wszedł w nią, nie od razu zaczął się poruszać, tylko czule ją przytulił.

- Zakochuję się w tobie, Abigail - powiedział. - To zaczęło się dawno.

Tym razem kochali się powoli i spokojnie, poznając się nawzajem, biorąc i dając - to było spotkanie ciała i dusz.

Nie przypuszczała, że będzie miała kolejny orgazm, nie dbała o to, ale zanim zorientowała się, co się z nią dzieje, przeszył ją dreszcz rozkoszy.

- Owen - powiedziała. - Owen, ja...

Ale nie mogła nic więcej wykrztusić. Była wyczerpana. Zaspokojona. Przewróciła się na bok i zasnęła w jego ramionach.

Doyle pocałował swoich synów na dobranoc, a potem zszedł ciężkim krokiem na dół, jakby miał milion lat. Nawet Will Browning w swoich ostatnich dniach - jako dziewięćdziesięcioletni staruszek - poruszał się z większym wigorem.

Wszyscy uważali, że sprawa Mattiego źle się skończy.

Już wcześniej zdarzały mu się autodestrukcyjne zachowania, ale dzięki szczęściu i przyjaciołom wracał znad krawędzi. Tym razem jego szczęście nie polegało na tym, że zasnął spity w trupa, zanim zdążył usiąść za kierownicą samochodu, ale na tym, że Abigail nie przyłapała go, kiedy przecinał kabel telefoniczny i buszował w jej domu. Uzbrojona czy nie, skopałaby mu chudy tyłek.

Poza tym miał szczęście, że nie zranił jej mocniej piłą. Przyjaciele.

Być może Mattie mógł jeszcze liczyć na innych przyjaciół, ale Doyle miał go serdecznie dosyć. Już sprawa jazdy po pijanemu wystawiła jego cierpliwość na ciężką próbę. Jeśli Mattie nękał Abigail anonimowymi telefonami - jeśli ją zaatakował - dalsza pobłażliwość, a tym bardziej przyjaźń, jakkolwiek szorstka, nie będzie możliwa.

Ten dureń przekroczył wszelką miarę.

Co innego robić krzywdę sobie, a co innego krzywdzić innych.

A jednak gdy Doyle usiadł przed komputerem i zaczął pisać e-maila do Katie, już pierwsze słowa zdradzały jego udrekę.

„Martwię się o Mattiego”.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Bob O'Reilly spojrział na stojącą w drzwiach Abigail i zmarszczył brwi.

- Browning, a niech mnie!

- Co? Mam brudny nos?

Ale tak naprawdę wiedziała, o co mu chodzi. Mgła już ustąpiła, więc Abigail włożyła szorty i t-shirt.

Bob zobaczył strup na ręce, z której zdjęła już opatrunek, oraz wystający spod szortów kawałek plastra.

- Chyba musisz powtórzyć kurs walki z napastnikiem uzbrojonym w piłę.

- Ja z nim nie walczyłam.

Była ósma rano. Abigail obudziła się w łóżku Owena skoro świt, po czym wróciła do swojego domu, żeby wziąć prysznic, napić się kawy i dojść ze sobą do ładu. Dobrze, że tak zrobiła, bo byłoby jej przykro, gdyby niezapowiedziany gość czekał pod drzwiami. Poza tym nie chciała, żeby Bob wiedział o Owenie. Wystarczyło, że miał pełne rozeznanie w jej życiu miłosnym - lub jego braku - w Bostonie, co wynikało stąd, że Bob mieszkał dwa piętra nad nią.

Gdyby musiała wyjaśnić przyjacielowi, co ją łączy

z Owenem Garrisonem, chyba by nie potrafiła. Sama nie bardzo wiedziała. Była pewna tylko jednego - że to nie jest przelotny romans.

- Co ty tu robisz? - spytała Boba. - Zapragnąłeś wyrwać się z miasta? Jest za gorąco w Bostonie czy też taki doświadczony detektyw jak ty nie ma tam teraz nic do roboty?

- Wiesz, dlaczego tu jestem.

Wiedziała. Gdyby jego ktoś napadł, nie czekałaby ani chwili.

- Scoop też chciał przyjechać, ale prowadzi dochodzenie. Prosił, żebym cię ucałował w skroń w jego imieniu.

- I wy, chłopaki, dziwicie się, że nie wychodzi wam z kobietami...

- Mnie wychodzi z kobietami. Wykańcza mnie tylko życie w związku.

- O tym właśnie mówię.

Bob stał przed schodkami ganku. Miał na sobie dzinsy i granatową koszulkę polo, ale każdy z miejsca rozpoznałby w nim policjanta.

- Ty nie jesteś kobietą, tylko detektywem.

- Cha, cha...

Wszedł po schodkach. Abigail odsunęła się, przepuszczając go. Zdziwił się na widok pomalowanego na niebiesko holu.

- Co za odmiana!

- Czy ten odcień nie przywodzi na myśl łubinu?

- No jasne. To pierwsze, co przyszło mi do głowy. Abigail uśmiechnęła się. Bob miał jeszcze niniejsze pojęcie o roślinach niż ona.

- Lubin nie od zawsze rósł w Maine. Przywieziono go z Japonii i przyjął się tutaj.

- Czytałaś o łubinie?

- Ellis Cooper mi powiedział.
  - Ellis, projektant ogrodów, którego brat zamierza sprzedać jego dom letniskowy.
  - Ma w ogrodzie przepiękny różowy łubin.
- Bob wszedł do frontowego pokoju. Nie chciał już słuchać o łubinie.
- Napastnik schował się tutaj? - O'Reilly nie ukrywał sceptycyzmu. - Jak to możliwe, że go nie zauważyłaś?
  - Nie było go tutaj. - Minęła Boba, przeszła do tylnego pokoju i pokazała krótki korytarz prowadzący do kuchni. - Pewnie usłyszał mnie i schował się tam.
  - Czemu nie przebiegł przez kuchnię, by uciec od razu frontowymi drzwiami?
  - Bo usłyszałabym go i zaczęła gonić.
  - Wiedział, że będziesz go gonić? - spytał z powątpiewaniem Bob.
  - Na to wygląda.
  - A więc wiedział, że jesteś policjantką. - Kiwnął głową na znak, że się z nią zgadza. - Przypadkowy włamywacz od razu wzięłby nogi za pas.
  - To kolejny dowód na to, że tą osobą był Mattie Young.
  - Wiadomo, gdzie może być? Abigail pokręciła głową.
  - Słyszałeś, że na jakiś czas zaszył się w szopie w ogrodzie Ellisa?
  - Tak, Lou Beeler zadzwonił do mnie wczoraj wieczorem.
  - Lou? Dlaczego?
- Mina Boba świadczyła o tym, że nie wierzy w jej udawane zaskoczenie.
- Nikt nie chce, żeby stała ci się krzywda - wyjaśnił. - Ani żebyś zrobiła coś nieroztropnego.

- Dziękuję za troskę, ale...
  - Żadnego „ale”. - Bob otworzył drzwi na werandę. Powiew chłodnej porannej bryzy wpadł do niewielkiego pokoju. - Zapowiada się ładny dzień. Wyruszyłem z Bostonu o drugiej w nocy.
  - Zdrzemnij się na górze, jeśli chcesz.
  - Nie mam ochoty na drzemkę, Abigail.
- Tym razem przynajmniej zwrócił się do niej po imieniu.
- To może napijesz się kawy?
  - Wypiłem jej mnóstwo po drodze. - Stojąc w drzwiach, odwrócił głowę i popatrzył na zdemolowany pokój. - Sama to zrobiłaś?
- Kiwnęła głową.
- Wymachiwanie młotem pozwala mi rozładować stres i skupić myśli.
  - Pomógłbym ci. Scoop też.
  - Wiem.
  - Zostaw resztę nam. Przyjedziemy na weekend i...
  - Bob, nie wrócę do Bostonu, dopóki nie ustalę, co się tutaj dzieje.
  - Tak. - Uśmiechnął się gorzko. - Warto było spróbować.
  - Przynajmniej daj się skusić na śniadanie - powiedziała.
- Ale Bob patrzył już na ocean, resztki mgły nad wodą, kutry rybackie zmierzające do boi, którymi oznaczono miejsca, gdzie znajdowały się kosze do połowu homarów.
- Coś wspaniałego. Pamiętam, jak stałem tu po raz pierwszy. Ten widok zapiera dech. - Nie odwracając się, mówił dalej: - Przykre, że na to niezwykle piękno kładzie się cień twoich wspomnień.
  - Mam też dobre wspomnienia związane z tym

miejszem. Nie tylko złe. - Usiadła na brzegu krzesła. - Nie przyjechałeś tu dlatego, że zadzwonił do ciebie detektyw z policji stanowej, prawda? Bob dalej wpatrywał się w ocean.

- Nad wodą unoszą się resztki mgły. Ładnie to wygląda.

- Bob.

- Agenci FBI wpadli do nas, żeby o tobie porozmawiać.

Abigail nie okazała żadnej reakcji.

- Miało to związek z wywiadem środowiskowym dotyczącym Grace Cooper?

Odwrócił się ku niej i uśmiechnął.

- Nie zdążyliśmy się dowiedzieć.

- Scoop był w złym nastroju?

- To też, ale kiedy ci dżentelmeni siedzieli w moim salonie, zadzwonił twój ojciec.

Abigail aż podskoczyła.

- Mój ojciec do ciebie dzwonił?

- Znaliśmy się kiedyś.

- No i?

- Chyba lepiej, że zadzwonił w twojej sprawie do mnie niż do kogoś innego, nie sądzisz?

Te słowa trochę ją udobruchały.

- Czego chciał?

- Żebym tu przyjechał.

- I oto jesteś. Świetnie, Bob. Po prostu super.

- Rozmawiał ze mną jako twój ojciec, a niejako...

- Dyrektor FBI? A ty na śmierć zapomniałeś o jego stanowisku, tak? O'Reilly zignorował to zaczepne pytanie. - Poprosił, żebym sprawdził, czy wszystko u ciebie w porządku. Gdyby przyjechał osobiście, to dopiero byłby spektakl. Dobrze o tym wiesz.

A gdyby do niej zadzwonił - co zresztą pewnie próbował zrobić - nie odebrałaby telefonu, bo nie było jej w domu, ale to akurat wolała zachować dla siebie.

- Gdyby jakiś dupek zaatakował piłą moją córkę, też chciałbym wiedzieć, czy wszystko z nią w porządku. To naturalna rzecz, niemająca nic wspólnego z tym, co się tutaj dzieje.

- To ma bardzo dużo wspólnego z tym, co się tutaj dzieje. Mój ojciec chce wiedzieć, czy w całej tej sprawie nie chodzi o niego, czy ktoś nie wykorzystuje śmierci Chrisa, żeby namieszać mi w głowie i pośrednio zaszkodzić jemu.

- Trochę przesadziłaś. Wzruszyła ramionami.

- Wszystko jest możliwe. Ojciec tak nie powiedział?

- Nie różnicie się tak bardzo, jak myślisz. - Bob przerwał na chwilę i kiwnął głową w stronę nadbrzeża.

- Czy to nie twój sąsiad? Batman Garrison? Śmiga po tych skałkach jak kozica.

- Owen jest tutaj?

O'Reilly usłyszał chyba coś szczególnego w jej głosie, bo odwrócił się do niej.

- Browning, ty się rumienisz?

- Ja się nigdy nie rumienię. - Podeszła do drzwi, ale Bob nie odsunął się na bok. - Powinnam do niego zejść. Może ma jakieś nowe informacje.

Bob ani drgnął.

- On opatrzył twoje rany?

- Co za różnica? Zna się na pierwszej pomocy.

- A więc on. No, ładnie. Powinienem poinformować o tym twojego ojca?

- Lepiej pilnuj swojego nosa.

Jej na wpół udawana irytacja potwierdziła podejrzenia Boba. Uśmiechnął się szeroko.

- Widzę, że nie tylko ta dziwna sprawa trzyma cię tutaj.
  - Jeśli pozwolisz, chciałabym do niego pójść i spytać, czego chce.
  - Stoję ci na drodze?
  - Bob!
  - Nie chcesz, żebym poznał twojego sąsiada? Widziałem go parę razy, kiedy tu przyjeżdżałem, ale zazwyczaj go nie było, bo ratował gdzieś ludzi. Nigdy się oficjalnie nie poznaliśmy.
  - Nie musicie się poznawać teraz.
  - Abigail? Cholera. Czy ty sypiasz z tym facetem?
  - Bob!
  - Jak się zwiążesz z Batmanem, wszystko się zmieni. Wiesz o tym?
- Nie zamierzał pozwolić, by poszła do Owena sama.
- Jesteś upierdliwy, Bob. Wiesz o tym? Puścił te słowa mimo uszu.
  - Jak się zwiążesz z kimś takim jak Scoop, nic się nie zmieni. Będziecie parą zapracowanych sztywniaków, niezależnie od tego, kim jest twój ojciec. Wynajmiecie jedno z waszych mieszkań, w drugim upchacie jego telewizor i sprzęt hi-fi oraz twoje rzeczy z IKEI i sprawa załatwiona. A Owen Garrison... - Bob zerknął na skały. - Wiesz, kim są Garrisonowie? Wiesz, kim on jest?
  - Tak, Bob. Wiem, kim są Garrisonowie, i wiem, kim jest Owen. Czemu proponujesz mi akurat Scoopa? Czemu nie tego przystojniaczka z wydziału narkotyków?
  - Abigail, kiedyś cała ta wyspa należała do Garrisonów.
  - Nie cała.
  - No dobrze, połowa, bo reszta należała do Rockefellerów.

- Jego babcia wychowała się w biednej rodzinie w Teksasie. Hodowała tutaj kury. Chciała też hodować świnie, ale jej mąż...

- Ten facet ciągle naraża się na niebezpieczeństwo.

Może dlatego się ze mną kochał, pomyślała. Pociągało go ryzyko, jakim był związek z nią - niedostępną kobietą. Jednak uśmiechnęła się na tę myśl.

Kiedy Owen przechodził przez wąski ogródek, Bob trącił ją łokciem, stojąc nadal w drzwiach.

- Jest przystojniejszy nawet od tego gościa z wydziału narkotyków.

Owen wszedł po schodkach na werandę. Abigail miała ochotę uderzyć Boba za to, że nie pozwolił, by wyszła sąsiadowi naprzeciw i zamieniła z nim słowo w cztery oczu.

Bob otworzył szerzej drzwi, jakby był właścicielem tego domu, natomiast Abigail, nie mając innego wyjścia, usunęła się na bok i przedstawiła sobie obu panów. Nie wyjaśniła, co robi u niej Bob. Nie spytała, po co przyszedł Owen.

Owen, ubrany swobodnie i przystojny jak zawsze, podał Abigail papierową torebkę.

- Zostawiłaś je u mnie. Posłała mu pytające spojrzenie.

- Skarpetki - wyjaśnił.

Unikając wzroku Boba, chwyciła torebkę i rzuciła ją na krzesło.

- Dzięki.

- Doyle do mnie wpadł - odezwał się znowu Owen. - Znaleźli w lesie rower Mattiego. Był ukryty przy szlaku za posiadłością Ellisa. Jednak nadal nie wiemy, gdzie jest Mattie. Lou Beeler poprosił Doyle'a, żeby ci o tym powiedzieć, a Doyle poprosił mnie...

Bob prychnął.

- Abigail, wygląda na to, że nikt tutaj nie chce z tobą rozmawiać.
  - Wszyscy są zaganiani. - Westchnęła, a potem zwróciła się do Owena: - Bob ma specyficzne poczucie humoru. Muszę was opuścić. Chcę pomóc w poszukiwaniach Mattiego. - Odwróciła się i pokazała na rozbebeszony pokój. - Nie obchodzi mnie, że wszyscy woleliby, żebym skupiła się na remoncie.
  - Zmarszczyła brwi, ale nagle coś ją bardzo zainteresowało. - Co to?
- Błyskawicznie przemknęła przez pokój, uklękła na podłodze i podniosła małą, białą kuleczkę. Potem uniosła ją do światła.
- To perła.
- Bob w mgnieniu oka znalazł się obok Abigail i wziął perlę w swoje wielkie dłonie.
- Jak to możliwe, że policjanci nie zauważyli jej wczoraj? - spytał.
  - Nikt jej nie zauważył. Nie szukaliśmy pereł.
  - Ściana - powiedział Owen.
- Nie musiał nic dodawać. Wszyscy troje zwrócili uwagę na to, że perła leżała przy ścianie, którą Abigail i Chris próbowali załatać w dniu, w którym Abigail została napadnięta i okradziona. Nadal klęcząc, Abigail nachyliła się ku wyburzonej częściowo ścianie, włożyła w nią rękę i sięgnęła w dół najdalej, jak mogła, próbując wymacać inne perły.
- Perła sama nie wyskoczyła na podłogę - powiedziała, dotykając palcami czegoś suchego i miękkiego.
  - O rany! Chyba natrafiłam na mysie odchody.
- Towarzyszących jej mężczyzn nie rozbawiły te słowa. Abigail ubabrała sobie czymś palce i zadrapała kontuzjowaną rękę.
- Ja to zrobię - powiedział Bob.

- Masz za grubą rękę. Owen też. Wyciągnęła brązowoszarą grudę brudu i cisnęła ją na podłogę.

Po deskach potoczyła się druga perła.

Ale wśród kurzu Abigail dostrzegła coś jeszcze

- wisiołek z kameą, który dostała od swojej babci. Usiadła na piętach. Szczypała ją ręka, bolała noga.

- Mój naszyjnik był w ścianie przez cały ten czas, a Mattie... - Wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić.

- Ten drań o tym wiedział.

Owen podał jej rękę i pomógł wstać.

- Teraz już wiemy, dlaczego tu wczoraj był.

- Wsunął piłę za ścianę i wyciągnął za jej pomocą naszyjnik. - Przeczesała dłonią włosy. - Cholerny Mattie.

Bob zmarszczył brwi, patrząc na kupkę kurzu, mysich odchodów i mysiej sierści - patrząc na perlę i wisiołek.

- Dlaczego czekał siedem lat? Dlaczego zdecydował się na to dopiero teraz?

- Bo wyburzałam ściany. Wiedział, że znajdę naszyjnik. Zadzwoń do Doyle'a i Lou. - Wciągnęła powietrze i uśmiechnęła się sztucznie. - Może teraz zechcą ze mną rozmawiać.

Lou Beeler był wściekły na siebie i swoich detektywów, że przeoczyli perlę. Miał taką minę, jakby zamierzał rozbić kopniakiem resztę ściany. Abigail rozumiała jego stan emocjonalny. Oparła się o framugę drzwi prowadzących do frontowego pokoju. Do jej domu przybywało coraz więcej policjantów. Doyle Alden był jeszcze w drodze. Abigail nie cieszyła się na

spotkanie z nim. Szeryf przyjaźnił się z Mattiem od dziecka, a naszyjnik stanowił dowód obciążający jego przyjaciela. Doyle'a czekał więc kolejny cios.

Z jakiegoś powodu Abigail czuła się za to wszystko odpowiedzialna. Może gdyby nie związała się z Chrisem, nie straciłby życia? Może Mattie uporałby się ze swoimi problemami i został wybitnym fotografikiem, jak mu wróżono?

Nie usiadła ani na chwilę od przyjazdu Lou. Była spięta i skupiona, ale także podekscytowana. Znalezienie pereł i wisiora stanowiło przełom w śledztwie. Chociaż Abigail nie była detektywem tak długo jak Lou i nigdy nie prowadziła tak starej sprawy, wydawało jej się, że wie, co teraz czuje jej starszy kolega po fachu.

Jeśli ktoś mógł się utożsamiać z porucznikiem Bee-lerem, to tylko Bob O'Reilly, ale on trzymał się z boku, a nawet - zauważyła Abigail - poza zasięgiem głosu.

Owen pożegnał się zaraz po tym, jak Lou powiedział mu, że może iść lub zostać. Abigail wiedziała, że Owen wybierze to pierwsze. Po prostu nie chciał przeszkadzać.

Lou wsunął ręce do kieszeni spodni.

- Nigdy nie przyszło mi do głowy, że złodziej mógł ukryć naszyjnik w ścianie - powiedział. - Doyle Alden prowadził śledztwo w sprawie tej kradzieży, ale kiedy zabito twojego męża, ja też tutaj zająłem. Wczoraj znów tu byłem.

Abigail przypomniała sobie chwilę, którą tak często opisywała w swoich pamiętnikach - chwilę, kiedy usłyszała spadające na podłogę narzędzia, poczuła chłodny powiew wiatru oraz zapach soli i róż.

- Ja patrzyłam na tę ścianę przez siedem lat - powiedziała. - Najlepsi detektywi z Bostonu też na nią patrzyli. Nikomu z nas nie przyszło to do głowy.

To nie pocieszyło Lou.

- Po co chować naszyjnik w ścianie?
- Nie wiem. To wydaje się bezsensowne.
- Myślę, że złodziej...
- Mattie - uściśliła Abigail.

Lou nie chciał niczego przesądzać.

- Wiem, że wszystko na to wskazuje, ale mogło też być tak, że złodziej powiedział o tym Mattiemu albo Mattie widział, jak ten ktoś chowa naszyjnik, tylko nigdy nikomu tego nie wyjawiał.
- Mogło tak być.

Lou wyciągnął ręce z kieszeni i spojrzał ze współczuciem na Abigail.

- Pewnie to nie jest dla ciebie łatwe.
- Próbuję zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. - Nie miała zamiaru zwierzać się ze swoich uczuć.
- Przepraszam, przerwałam ci wcześniej. Myślisz, że złodziej co?

Lou westchnął.

- Myślę, że się ciebie nie spodziewał. Miał już naszyjnik, kiedy się ocknęłaś z drzemki, a potem, gdy cię uderzył, nie chciał, żeby go z nim złapano. Spanikował i zrobił pierwszą rzecz, jaka przyszła mu do głowy.
- Wrzucił naszyjnik w dziurę w ścianie i uciekł.
- Taka wersja wydaje się logiczna, ale nie wiemy, czy złodziej kierował się logiką.
- Dwa kroki stąd jest ocean. Jeśli chciał się pozbyć naszyjnika, to dlaczego nie wrzucił go do oceanu? Prawdopodobieństwo, że ktoś znajdzie naszyjnik, byłoby znacznie mniejsze.
- Bał się, że odzyskasz przytomność i zobaczysz go. Gdyby uciekał z naszyjnikiem i został złapany, nie mógłby się w żaden sposób wytłumaczyć. Niektórzy

goście Ellisa poszli nad ocean. Aż dziw, że nikt go nie zauważył.

Lou i jego detektywi przesłuchali wszystkich uczestników przyjęcia, lecz nikt z nich nikogo nie widział.

Czy jednak ktokolwiek zwróciłby uwagę na Mat-tiego Younga?

- Zbadamy każdy pyłek kurzu w tej ścianie - zapewnił Lou, ruszając w stronę frontowego pokoju. -1  
będziemy mieli otwarte umysły.

Abigail uśmiechnęła się krzywo.

- Jeśli przestrzegasz mnie przed pochopnym wyciąganiem wniosków, to przyjmuję to z pokorą. Nie  
powinnam była grzebać w ścianie. Należało poczekać na speców od badania miejsc zbrodni. -

Spojrzała na stojącego w holu kolegę z bostońskiej policji. - O'Reilly, dlaczego mnie nie  
powstrzymałeś?

Wzruszył ramionami.

- Nie widziałem powodu.

- Ale...

Nie dokończyła, bo nagle przypomniało jej się, jak w dniu ślubu zakładała perłowy naszyjnik z kameą.  
Przyglądały jej się wtedy babcia i mama, obie szczęśliwie, nie przeczuwające tragedii, która miała się  
wkrótce wydarzyć.

Bynajmniej nie z powodu naszyjnika.

Złodziejowi - osobie, która ją zaatakowała przed siedmiu laty - nie chodziło o naszyjnik.

Abigail nie musiała tego mówić detektywom, z którymi teraz rozmawiała.

- Lou, co jeszcze wiesz? - spytała spokojnie. Detektyw zatrzymał się w drodze do wyjścia. - Co przede  
mną ukrywałeś przez te wszystkie lata?

Lou odwrócił się.

- Technicy policyjni będą tu lada chwi...

Abigail przełknęła ślinę.

- Powinam porozmawiać z ojcem, prawda?

- Zawsze powinnaś rozmawiać z ojcem. - Odchrząknął i kiwnął głową do Boba. - Miło było poznać cię wreszcie osobiście.

- Ciebie również, poruczniku - odparł Bob, po czym odsunął się na bok, żeby przepuścić detektywa. Kiedy Lou wyszedł na zewnątrz, by powitać nowo przybyłych policjantów, Abigail popatrzyła groźnie na O'Reilly'ego.

- Co znaczyło to „wreszcie”? Rozmawialiście za moimi plecami więcej razy, niż myślałam?

- Prawdopodobnie.

- Nie lubię być ciężarem dla innych.

- Cóż, czasem jesteś. Ale poza tym jesteś cholernie dobrym detektywem. Gdyby nie ty, po ulicach Bostonu grasowałoby paru zbirów więcej.

Nie spodziewała się tego dnia żadnych komplementów.

- Dzięki, Bob.

- Mówię, jak jest. To nie kurtuazja. - Jego zwaliste ciało zasłaniało prawie całe przejście. - Abigail.

Detektywie Browning. Jeśli narozrabiasz, jeśli przekroczyysz granice, których przekroczyć nie wolno, nie będę mógł ci pomóc.

- Jasne.

- To, że twój ojciec jest dyrektorem FBI, stawia cię w trudnym położeniu. Podobnie jak to, że do dziś nie znaleziono zabójcy twojego męża. Te sprawy są dla ciebie dodatkowym brzemieniem. Co innego zdecydowało o tym, że zostałam detektywem.

- Lubię myśleć, że zostałam detektywem dzięki ciężkiej pracy.

- Bo tak było. Nie pozwoliłaś, by to brzemień cię

przygniotło. - Zrobił taką minę, jakby przygotował sobie wcześniej te słowa, ale teraz, wypowiadając je, był do nich mniej przekonany. - Może jestem zbyt szczery, ale muszę taki być. Twoje brzemie skupia na tobie uwagę ludzi. Patrzą na ciebie podejrzliwie, a to niedobrze. Wspierałem cię, bo chciałem, żebyś sama dowiodła swojej wartości. I ty to zrobiłaś.

- Twoja wiara we mnie dużo dla mnie znaczy.

- Świetnie. Powiem Scoopowi, że musimy o tym pamiętać, kiedy reporterzy zaczną koczować pod naszym domem. - Ale O'Reilly jeszcze nie skończył. - Powiedz mi coś, dziewczyno. Co zrobisz, kiedy staniesz twarzą w twarz z zabójcą Chrisa? Zastanawiałaś się kiedyś nad tym?

- Codziennie przez ostatnie siedem lat. Nie był usatysfakcjonowany tą odpowiedzią.

- Widzisz siebie dzwoniącą na policję?

- Bob, wiem, do czego zmierzasz.

- Widzisz siebie wyciągającą glocka i strzelającą temu człowiekowi w głowę?

- Widzę Chrisa. - Abigail splotła ręce na piersiach i odwróciła wzrok od swojego przyjaciela i mentora, człowieka z niemal trzydziestoletnim stażem w policji. - Widzę, jak kiwa głową i mówi: „To on, kochanie. To mój zabójca”.

Bob nie miał na to odpowiedzi. Wszedł do frontowego pokoju i stanął przy Abigail. Lou tymczasem rozstawił swoich ludzi na werandzie i przy drzwiach w holu. Nikomu nie wolno było tknąć ściany związanej ze zbrodnią sprzed siedmiu lat.

- Piękne miejsce - powiedział O'Reilly, patrząc na ocean. - Ale umieram z głodu. Czy podają gdzieś homary o tak wczesnej porze?

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Grace podskubywała babeczkę malinową na osłoniętej siatką werandzie z widokiem na zatokę Somes Sound. Był to prawdopodobnie jej ulubiony zakątek na ziemi. Mattie chciał się tam z nią kochać, kiedy - na kilka miesięcy przed śmiercią Chrisa - przyjechała na długi weekend, ale Grace się nie zgodziła. Nawet wtedy - gdy ich romans kwitł - wiedziała, że ten związek nie ma przyszłości.

Chris poznał już wtedy Abigail i kiedy Grace zobaczyła ich razem, zdała sobie sprawę, że straciła go na zawsze.

Był późny poranek. Na bujną trawę, tak starannie pielęgnowaną przez Mattiego, padał - zgodnie z rytmem gnanych wiatrem po niebie chmur - to blask słońca, to cień. Jednak mimo pięknej scenerii Grace wolała być wszędzie, tylko nie tam.

Ojciec i stryj obserwowali ją teraz, siedząc przy okrągłym stole, suto zastawionym śniadaniowymi daniami i ozdobionym kryształowym wazonem z ostróżkami, które przywiózł Ellis.

Jak im powiedzieć - zastanawiała się - że jest mi już wszystko jedno?

Niech próbują czytać w jej myślach. Niech próbują nią manipulować. Miała to w nosie. Jej ojciec wiedział, że poprosił ją o coś, na co nie mogła się zgodzić. Wiedział, że poprosił o przekroczenie granicy, której przekroczyć nie mogła.

Może Grace przyjęłaby to spokojniej, gdyby jej ojciec powiedział to nieopatrnie, bez zastanowienia, ale tak nie było - Jason Cooper zawsze wiedział, co mówi i jakie wrażenie jego słowa zrobią na rozmówcy.

- Nie powiem Lincowi, żeby opuścił wyspę

- oznajmiła Grace, owijając się ciasniej długim, workowatym swetrem, chociaż wcale nie było jej zimno.

- Nie mogę tego zrobić i nie zrobię.

Jej ojciec wciągnął głośno powietrze - był to jeden z jego sposobów na okazanie niezadowolenia, rozpoznawalny sygnał. Jason oczekiwał od rodziny, by potrafiła odgadnąć, co on myśli i czuje - żeby nie musiał o tym mówić.

- Twój brat liczy się z twoim zdaniem.

- Dlatego nie powiem mu tego. Nie mogę poprosić go o opuszczenie wyspy z mojego powodu.

Ubrany szykownie Ellis odłamał kawałek babeczki, ale nie zjadł go. Żadne z nich nie miało apetytu.

Ellis kupił babeczki w Northeast Harbor i przywiózł je, kiedy były jeszcze ciepłe.

- Cokolwiek Linc ukrywa - powiedział spokojnym tonem - może kosztować cię nominację.

Grace odsunęła od siebie ciastko.

- Linc nie ma tu nic do rzeczy. O mojej nominacji zdecyduje nie to, kim jest mój brat, ale kim ja jestem.

- Ale chyba zgodzisz się, że Linc coś ukrywa

- rzekł Ellis. - Wiesz co?

Jason - jak zawsze elegancki i opanowany - wpat-

rywał się bacznie w córkę, kiedy obaj mężczyźni czekali na jej odpowiedź. W tym momencie nienawidziła ich obu - swoich najbardziej zaufanych powierników i głównych sojuszników. Zawsze mogła na nich liczyć, ale nie tym razem. Nie w sprawie Linca. Byli gotowi go poświęcić dla jej nominacji. Nie mieli poczucia, że zrobią mu krzywdę, bo uważali, że i tak nic w życiu nie osiągnie.

Co by zrobili, gdyby wiedzieli, że spała z Mattiem Youngiem?

Co by zrobili, gdyby wiedzieli, że okłamała miejscową i stanową policję, FBI, siebie samą?

- Nie mam pojęcia, co ukrywa Linc - odparła w końcu. - Pojechał do Owena.

- Do Owena. - Jason skrzywił się, odsuwając na bok talerz. - Kolejny problem. Przyznaję, że z początku byłem zadowolony, że Owen wziął Linca pod swoje skrzydła. Teraz jednak mam wątpliwości. Z Linkiem trzeba powoli, małymi krokami, a Owen lubi pójść na całość. Szanuję go, ale czy on nie widzi, że Linc nie jest poważnie zainteresowany ratownictwem?

Grace zrobiło się słabo, kiedy ojciec z niemal chirurgiczną precyzją analizował jej brata.

- Owen poświęca mu sporo uwagi. To chyba dobrze.

- Wszyscy poświęcają mu uwagę. Łącznie ze mną.

Grace ledwo się powstrzymała od parsknięcia śmiechem. Czy jej ojciec naprawdę wierzył, że interesuje się choć trochę synem? Zdjęła serwetkę z kolan i położyła ją obok talerza.

- Przejdę się - oznajmiła, wstając od stołu. Otworzyła drzwi werandy, zbiegła po kamiennych schodkach, a potem - biegnąc coraz szybciej - pognęła nad wodę.

Bujne krzaki dzikiej róży oddzielały ogród od linii brzegowej, na różowych płatkach połyskiwała poranna rosa.

Próbując się uspokoić, Grace obserwowała samotnego kajakarza. Kiedy ostatnio pływała kajakiem? Przez długi czas praca pochłaniała ją bez reszty. Decydując się na przyjazd do Maine, miała nadzieję, że wreszcie trochę odetchnie i będzie mogła robić coś dla przyjemności, nie przejmując się tym cholernym wywiadem środowiskowym.

Poczuła za plecami obecność stryja.

- Wiem, o co tobie i ojcu chodzi - powiedziała. - Nie martwicie się o Linca. Nie jestem nawet pewna, czy martwicie się o mnie. Przede wszystkim przejmujecie się Abigail Browning. To źle, że FBI przyjechało na wyspę i grzebie w naszej przeszłości. Ale jeszcze gorsze jest to, że Abigail może poznać nasze małe, brudne sekreciki...

- Grace, Grace. - Ellis stanął obok niej i wsparł się na lasce. Nie patrzył na bratanicę, tylko na zatokę, kajakarza, mewy i góry, jakby próbował wchłonąć całe to piękno. W końcu westchnął. - Nie przejmuję się Abigail ani FBI. Twój ojciec też. Martwimy się o ciebie. Chcemy dla ciebie jak najlepiej.

Zamrugnęła, bo do oczu napłynęły jej łzy.

- Wiem. Przepraszam.

- Posłuchaj. - Dotknął jej łokcia przez grubego sweter, zbyt ciepły na tę pogodę. - Proszę, Grace, posłuchaj uważnie.

Czekał na jej reakcję. Po chwili Grace kiwnęła głową.

- Dobrze, słucham.

- Abigail zależy wyłącznie na znalezieniu zabójcy

męża. Interesuje się nami tylko ze względu na tę sprawę. Chce ją doprowadzić do końca.

- Chce też sprawiedliwości, nie sądzisz? Ellisa nie stropił jej ostry ton.

- Nie sądzę, by w tej chwili sprawiedliwość była dla niej najważniejsza, choć Abigail na pewno wmawia sobie, że tak jest. Czy to może być przypadek, że cała ta historia z Mattiem wydarzyła się właśnie w tym tygodniu? To siódma rocznica...

- Wiem, jaka to rocznica.

- Abigail sieje zamęt i robi to celowo. Widziałaś, jak się wczoraj zachowywała, kiedy odkryła, że Mattie był w szopie. Ona nie cofnie się przed niczym.

- Jest detektywem, na litość boską.

- Co z tego? - Tym razem Ellis nie czekał na odpowiedź. - Lubię Abigail. Wszyscy ją lubimy. Ale to nie znaczy, że nie dostrzegam zagrożeń wynikających z jej obsesji.

- A jeśli znajdzie zabójcę Chrisa? - Wiatr dmuchnął jej w twarz. Miała nadzieję, że jeśli stryj dostrzeże jej łzy, złoży to na karb wiatru. - Wtedy w moim przekonaniu jej natręctwo będzie zasługiwało na pochwałę.

- Nawet jeśli na tym stracisz?

- To, czyja coś stracę, nie ma żadnego znaczenia.

- Grace. - Poczwała na sobie jego badawczy wzrok. Ellis różnił się usposobieniem od swojego znacznie starszego brata, ale kiedy chciał, potrafił być równie okrutny. - Najwyższy czas, żebyś zapomniała o Chrisie.

Wciągnęła gwałtownie powietrze.

- Przestań.

- Ktoś musi ci powiedzieć to, co już i tak w głębi duszy wiesz. Chris nigdy nie był dla ciebie osiągalny.

265

Był tylko fantazją. Już czas, żebyś się od niego uwolniła.

- On nie żyje. Myślisz, że o tym nie wiem?

- Może twój umysł wie, ale serce... Mam wątpliwości. - Ellis nie dawał za wygraną. - A ty ich nie masz? Śmierć Chrisa sprawiła, że w pewnym sensie łatwiej ci przy nim trwać.

Grace opuściła ręce i odwróciła się twarzą do stryja. Wiatr rozwiął jej włosy.

- Ellis, daj spokój. Nie jestem chorą z miłości wariatką. Nie chcę...

- Czego nie chcesz, Grace? Nie chcesz przyjąć do wiadomości, że masz trzydzieści lat, o siedem więcej niż Chris, kiedy umarł, i jesteś niezamężna? Nie chcesz przyjąć do wiadomości, że skoro Chris odszedł, nie musisz już dręczyć się tym, że kochał inną kobietę?

- On się ożenił z tą inną kobietą.

- Powiedz sobie, że wcale się z nią nie ożenił albo że to małżeństwo szybko by się rozpadło. Nie musisz wyobrażać sobie Chrisa i Abigail z gromadką dzieci. Nie musisz wyobrażać sobie, jak te dzieci dorastają, uczą się łowić homary, wspinać po skałach, chodzić po górach...

- Wyleczyłam się z Chrisa jeszcze przed jego ślubem. - Starła się mówić przekonującym tonem, spokojnie, bez emocji. - Wyleczyłam się z niego na długo przed jego śmiercią.

- Nie, Grace. Do dziś się z niego nie wyleczyłaś. Miała dość tej rozmowy, więc ruszyła przed siebie wąską ścieżką między różami. Cierniste, pokryte rosą gałązki smagały jej biodra i uda. Kolec zadrapał wierzch jej dłoni. Zejście do wody było krótkie i dosyć strome, ale jej to nie zraziło, bo chodziła tą ścieżką od

dziecka. Kiedyś Grace i Doe bawiły się w tym miejscu lalkami i machały na pożegnanie Chrisowi i jego dziadkowi, kiedy wypływali na połów homarów.

Już wtedy - jako mała dziewczynka - kochała Chrisa.

Ku jej uldze Ellis za nią nie poszedł. Obejrzała się i zobaczyła, że zawrócił w stronę domu. Była ciekawa, czy żałował swojej szczerości. Pomyślała, że jest tak mądry i wyrozumiały między innymi dlatego, że nigdy się nie ożenił i nie ma dzieci. Ceniła jego rady, trafne obserwacje na temat ludzi, cierpliwość. Któż inny bez słowa skargi przyjąłby fakt, że brat chce sprzedać jego ukochany dom? Jednak Ellis zawsze żył w cieniu swojego brata, tak samo jak Linc w cieniu siostry. Chociaż Grace uwielbiała wuja, nie chciała, żeby jej brat został przez nią tak zdominowany jak Ellis przez Jasona. Owen wspinał się piaszczystą ścieżką między krzakami jałowca i jagód poniżej ruin rodzinnego domu. Tu i ówdzie wyrastały z płytkiej ziemi młode sosny i świerki. Wcześniej zauważył w ruinach jakąś postać. Chciał sprawdzić, kto to taki. Nie skradał się, szedł normalnie.

Linc Cooper stał w miejscu, w którym przed paroma dniami Mattie Young pił piwo i palił papierosy, napędzając przy okazji strachu synom Doyle'a.

Kiedy zobaczył Owena, sapnął głośno, przeskoczył przez ocalały kawałek muru i puścił się biegiem w stronę lasu.

Owen pognął za nim. Znał możliwości chłopaka - wiedział, że za chwilę go dogoni.

Zaraz po wbiegnięciu do lasu Linc potknął się

o wystający korzeń, upadł na jedno kolano i krzyknął z bólu. Szybko się jednak pozbierał i pobiegł dalej.

Owenowi wydawało się, że słyszy płacz dwudziestolatka.

- Linc, zaczekaj! - zawołał.

Ale chłopak biegł jeszcze szybciej, dysząc ciężko i nie zważając na stłuczone kolano.

Ponieważ Linc wiedział, kto go goni, a mimo to nie zwolnił, Owen uznał, że już nie musi się bawić w uprzejmości. Dogonił młodego Coopera i ściał go precyzyjnie wymierzonym kopniakiem.

Potem rzucił się swojemu protegowanemu na plecy i przyszpilił go do ziemi, żeby nie mógł kopać, wierzcąc, gryźć i w ogóle wykonywać jakichkolwiek ruchów.

- Puść mnie. Zaskarżę cię.

- Dobra. W domu Abigail jest teraz policja. Zabiorę cię tam.

Ciało chłopaka stało się bezwładne. Linc zacisnął powieki, a z kącików jego oczu popłynęły łzy.

- Zostaw mnie w spokoju - powiedział. Owen go puścił.

- Nie uciekaj. Mało spałem zeszłej nocy. Nie chce mi się ciebie gonić.

- Biegłeś jak wariat. - Linc pociągnął nosem i usiadł. Miał we włosach sosnowe igły. - Myślałem, że chcesz mnie zabić. Zapomniałem, że byłeś w wojsku.

- Dlaczego rzuciłeś się do ucieczki?

- Cholernie mnie przestraszyłeś.

- Ciagle się tutaj kręcę. Jak mogłem cię przestraszyć?

Linc zdjął z wargi kawałek kory. Po chwili jego wrodzona arogancja znów dała o sobie znać.

- Nie wiem. Jestem nerwowy.
  - Szukałeś Mattiego, prawda?
  - Nie muszę odpowiadać na to pytanie.
  - Widziałeś go tutaj w niedzielę. Spotkałeś się z nim czy tylko go śledziłeś?
- Nagle z Linca uszło powietrze. Opuścił bezradnie ramiona. Smarki i łzy spływały mu do ust.
- Cholera, Owen.
  - To jest ponad twoje siły, Linc. Najlepiej powiedz prawdę.
  - Ty nie wiesz, jakie ja mam życie. Ojciec, siostra, stryj... Jestem osaczony. Jeśli nawalę, nigdy mi nie wybaczą.
  - Musisz zrobić to, co uważasz za słuszne, a reszta jakoś się ułoży.
  - Albo i nie.

Przez ostatnie parę godzin - odkąd Abigail znalazła przybrudzoną perłę - Owen starał się ułożyć układankę dotyczącą wydarzeń sprzed siedmiu lat.

Jeden z jej elementów był teraz z nim, wyraźnie udręczony.

- Linc, to ty dokonywałeś włamań siedem lat temu, prawda?

Chłopak rozplakał się na dobre.

- Chris o tym wiedział - odparł.

Potem wciągnął nosem powietrze i kichnął, próbując wziąć się w garść.

- Odszukał mnie w dniu, w którym został zabity, a Abigail napadnięta. - Mówiąc to, Linc patrzył na drzewa tak, jakby widział siebie i Chrisa podczas tamtego spotkania. Miał wtedy trzynaście lat. - Skarcił mnie. Obiecałem mu, że z tym skończę. Nie chciałem go zawieść.

- Wierzył w ciebie.

- Owszem. - Linc zamknął oczy. - Tak mi wstyd. Ale to nie ja ukradłem naszyjnik Abigail. Nie ja ją uderzyłem. Przysięgam. Tylko kto mi uwierzy?
- To dlatego nigdy nikomu nie powiedziałaś? Kiwnął głową.
- Myślałem, że nikt o tym nie wie. Ze człowiek, który to zrobił, opuścił wyspę na zawsze. - Podciągnął kolana pod brodę. - Nigdy nie okłamałem policji, tylko nie wszystko powiedziałem.
- Mattie wiedział, że to ty dokonałaś tych włamań? Linc zawahał się, a potem kiwnął głową.
- Szantażuje mnie. Żąda dziesięciu tysięcy.
- Ile mu dałeś?
- Cztery.
- Kto o tym wie? Linc wziął oddech.
- Nikt.
- Masz dwadzieścia lat i dźwigasz na barkach taki ciężar. - Owen wyciągnął do niego rękę. Linc chwycił ją i wstał. - Niepotrzebnie.
- Wiem, jestem głupi...
- Tego nie powiedziałem.
- Owen, wybacz. Podczas naszych wędrówek nieraz chciałem ci powiedzieć, ale zabrakło mi odwagi. Nominacja mojej siostry... - Przełknął ślinę, znów ogarnięty paniką. - Bałem się.
- Linc - powiedział spokojnie Owen. - Jeśli mnie udało się do tego dojść, policja też to zrobi. Zza niskiej gałęzi wyskoczyła Abigail. Owen wiedział, że stała tam już jakiś czas.
- Czy Mattie ci groził? - spytała.
- Linc zachował spokój, kiedy ją zobaczył.
- Fizycznie nie, jeśli o to pytasz. Nie musiał, bo wiedział, jaka ze mnie oferma i że nie mogę zawieść

rodziny. Ja nigdy... -Podniósł głowę, jego dolna warga drżała. - Chris umarł przeze mnie.

- Pociągnąłeś za spust?

- Nie!

- W takim razie nie umarł przez ciebie - powiedziała. - Umarł, ponieważ ktoś go zastrzelił.

Brzmiało to logicznie, ale dla Linca zaskakująco, bo w jego życiu nic nie było takie proste.

- Co teraz?

- Opowiesz wszystko porucznikowi Beelerowi.

- I agentom FBI?

- Oni też tam są.

- Chris...

Abigail kiwnęła głową, jakby wiedziała, co chciał powiedzieć.

- On jest tam duchem. Pamiętaj o tym, dobrze? Nie możesz zmienić tego, co zrobili inni. Nie możesz zmienić tego, co sam zrobiłeś. Ale możesz powiedzieć prawdę i zaufać losowi.

- To samo siedem lat temu powiedział Chris.

- Nie dziwi mnie to. - Abigail cofnęła się o krok i uśmiechnęła do Owena, rozładowując nieco napięcie. - Fajnie było zobaczyć cię w akcji. Cieszę się, że zdążyłam na moment kulminacyjny.

Owen wyobraził sobie, że goni ją przez las, i też się uśmiechnął.

- Pewnie chcesz, bym pogadał ze stróżami prawa?

- Cóż, oni na pewno będą chcieli pogadać z tobą.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Jason Cooper stał na swojej werandzie, wychodzącej na Somes Sound. Ubrany w strój żeglarski, pozował na kogoś, kto nie ma żadnych poważnych problemów. Wziął małą Sis na rękę i spojrzał wyniośle na Abigail, co uznała raczej za przejaw frustracji niż pewności siebie. Nie zezłościło jej to, a tym bardziej nie przestraszyło.

- Gdzie jest teraz mój syn? - zapytał Jason.

- U mnie. Rozmawia z porucznikiem Beelerem.

- Bez adwokata?

- Ma dwadzieścia lat. Jest pełnoletni.

- Ale jest też moim synem. - Jason wciągnął gwałtownie powietrze. Nadal starał się okazywać swoją wyższość. - Przez lata tolerowaliśmy twoją obsesję, nieustanne wtrącanie się w nasze życie.

Robiliśmy to ze względu na twoją sytuację i dlatego, że my też kochaliśmy Chrisa. Ale żeby oskarżać mojego syna o ukrywanie czegokolwiek przed policją...

- O nic go nie oskarżam - zaprotestowała Abigail. - Jeśli chcesz z nim porozmawiać, wiesz, gdzie mieszkam.

Piesek spojrzał w górę, jakby chciał polizać swojego pana po brodzie albo ugryźć. Jason postawił Sis na podłodze, ale została posłusznie przy jego nogach.

- Abigail, może powinnaś wyjść, zanim powiesz coś, czego będziesz potem żałowała.

- Albo zanim ty coś takiego powiesz.

Sis zaszczekała na Abigail, jakby wiedziała, że ta zachowała się niegrzecznie. Jason przeszył rozmówczynię wzrokiem, ale jego gniew wyraźnie osłabł.

- Kocham swojego syna. Jestem z niego dumny. Wierzę w niego.

- Nie mam powodu podejrzewać, że jest inaczej.

- Oczywiście, że masz. Nie zawsze byłem dobrym ojcem. Zdaję sobie z tego sprawę. -Nie chciał rozwijać tego tematu. - No cóż, pojedę do Linca. Wiedz jednak, że mój syn nie miał ze śmiercią Chrisa nic wspólnego.

- Wiedziałaś, że siedem lat temu dokonywał włamań?

Jason pstryknął palcami i Sis potruchtała do domu przez otwarte drzwi.

- Gdybym wiedział albo podejrzewał coś takiego, a nie mówię, że tak było, nie poruszyłbym tej sprawy z Linkiem. W naszej rodzinie inaczej rozwiązuje się problemy. Pozwoliłbym, żeby sam zrozumiał swój błąd.

- Miał trzynaście lat.

- Wiem. Wszystkie skradzione rzeczy zostały zwrócone. - Jason zrobił hardą minę, jakby prowokował Abigail, żeby zaprzeczyła. - Bez względu na to, co zrobił mój syn, nie on na ciebie napadł i nie on ukradł naszyjnik.

Ucinając kwestię, Jason wszedł do domu. Abigail była trochę zaskoczona, że jej nie wyprosił, ale na  
273

pewno zdawał sobie sprawę, że będzie chciała zamienić słowo z jego córką i że on nie zdoła temu zapobiec.

Po chwili Abigail zauważyła Grace, która szła właśnie nad wodę między krzakami róż, ciągnąc z tyłu jasnopomarańczowy kajak.

Abigail zamknęła cicho za sobą drzwi werandy i zeszła po kamiennych schodkach. Zieleń nie była tutaj tak okazała jak w ogrodzie Ellisa, ale zaprojektowana ze smakiem i zadbana dzięki ciężkiej pracy ogrodnika, który prawdopodobnie - zważywszy na zachowanie Mattiego - miał już niebawem przestać nim być. Nie spytała Jasona, czy wie, że Linc wyciągnął ostatnio z banku pokaźne sumy. Postanowiła zostawić to Lou i jego ludziom.

Poszła ścieżką między różami nad wodę.

- Wydaje mi się, że te róże miały kiedyś mniej kolców - powiedziała do Grace. - Tylko tego mi trzeba... kolejnych zadrapań.

- Jestem pewna, że upajasz się każdym kolejnym zadrapaniem. - Grace zepchnęła kajak do wody, a potem wyprostowała się. Wiatr podwiewał jej rozpięty, workowaty sweter. Spojrzała na Abigail. - Popłynę z wiatrem. Mam nadzieję, że przestanie wiać, zanim wyruszę w drogę powrotną.

- Dokąd płyniesz?

- Nie wiem. Wszystko jedno. - Uśmiechnęła się gorzko. - Dokądkolwiek.

- Idealny dzień na pływanie kajakiem.

- A ty pływasz kajakiem?

Abigail wzruszyła ramionami i weszła na miękkie, sypki piasek.

- Nie jestem w tym dobra.

- Ja to uwielbiam. Pływałabym częściej, gdyby nie praca. - Odgarnęła do tyłu targane wiatrem włosy.

- Liczyłam na to, że będę mogła zostać dłużej, ale muszę wracać do Waszyngtonu.

- Pewnie masz teraz urwanie głowy?

- Owszem. - Grace otuliła się swoim zmechaco-nym, starym swetrem. - Nie jestem dobrze ubrana do pływania kajakiem, ale nie szkodzi. Właściwie mogłabym popłynąć obok domu Owena. Gdyby coś poszło nie tak, może by mnie uratował. Chociaż taki incydent nie wyglądałby najlepiej w raporcie FBI, prawda?

- Lepiej zostać uratowanym niż...

- Utonąć? - Grace weszła do płytkiej wody. Nadchodził przypływ, podnosząc z wolna poziom wody w zatoce. Dalej od brzegu kłębiły się coraz większe fale. Grace była w długich spodniach i sportowych sandałach. Kiedy zanurzyła stopy w szarym piasku, ziarenka dostały jej się między palce. - Rzadko pływam w tamtą stronę. Właściwie nigdy. Woda jest tam często wzburzona, ale nie o to chodzi. Nie chcę przepływać koło miejsca, w którym utonęła Doe.

Abigail usiadła na drewnianej ławeczce na pasie trawy za krzakami róż. Czuła ich słodki zapach, kiedy patrzyła, jak Grace podnosi wiosło - mało brakowało, a uderzyłaby się nim w głowę. Potem przytrzymała wiosłem kajak, żeby nie odpłynął.

- Widziałaś kiedyś zdjęcia Doe? - spytała Grace. Zachowywała się prowokacyjnie, wręcz podle, ale Abigail przyjmowała to ze stoickim spokojem.

- Parę dni temu ktoś podrzucił Owenowi zdjęcie martwej Doe. Niestety, synowie Doyle'a znaleźli je pierwsi.

Nie takiej odpowiedzi spodziewała się Grace.

- Co?

Wiosło wypadło jej z ręki. Natychmiast rzuciła się

za nim, lecz runęła jak kłoda na kajak, a potem wylądowała na kolanach w płytkiej wodzie. Kiedy próbowała się pozbierać, trzymała kurczowo wiosło i kajak.

Czując lekkie wyrzuty sumienia, Abigail wbiegła do zimnej wody i podała Grace rękę.

- Poradzę sobie. - Grace wstała.

Dolna połowa swetra, który sięgał jej teraz do kolan, była mokra. Niezrażona tym, odzyskała równowagę, położyła wiosło w poprzek kajaka, po czym chwyciła linkę przywiązaną do jego dzioba i posłała Abigail chłodne spojrzenie.

- Zrobiłaś to specjalnie. Żebym przeżyła szok. No cóż, dopięłaś swego.

Abigail nie przeprosiła jej. Wskoczyła z wody, wytrząsnęła z sandałów tyle mokrego piasku, ile zdołała, a potem obserwowała, jak Grace wyciąga kajak na brzeg.

- Doe była tak piękna, jak Owen jest przystojny

- powiedziała Grace, odwrócona do niej plecami.

- Nawet po śmierci. Garrisonowie to ładni ludzie.

- Owszem.

Grace klapnęła na trawę, ale nogi nadal miała w wodzie - zanurzone po kostki.

- Dziwne, że to zauważyłaś.

- Dlaczego?

- Bo jesteś detektywem, kobietą, która wydaje się nie zwracać na takie rzeczy uwagi, kimś, kto... bo ja wiem... żyje przeszłością? - Z obawy przed ripostą Grace natychmiast zmieniła temat. - Wiesz, skąd wzięło się to zdjęcie?

- Przypuszczam, że zrobił je Mattie - odparła Abigail. - Ale gdzie było przez te wszystkie lata i jak trafiło pod drzwi Owena, nie mam pojęcia.

- Ja też nie mam pojęcia. Ani Linc, ani mój ojciec i stryj. Nikt z nas tego nie wie. Abigail nie chciała z nią polemizować.
  - W dniu, w którym utonęła Dorothy Garrison...
  - Byłam w domu, należącym jeszcze wówczas do naszej rodziny. Wszyscy tam byliśmy. Pokłóciłam się z Doe. Poszło o jakąś błażostkę. Ta sprzeczka nie mogła zaważyć na naszej przyjaźni. Doe od rana chodziła jak struta. Była ponura, smutna i rozdrażniona. To mogła być kwestia hormonów. Pewnie nigdy się nie dowiem.
  - Sama pobiegła nad ocean?
  - Myśleliśmy, że siedzi na schodach. Przynajmniej ja tak myślałam. Wiem, że jej rodzice też. Owen zorientował się, że zniknęła, i poszedł jej poszukać. - Grace załamał się głos. - Dotarł nad urwisko w momencie, gdy Doe z niego spadła.
  - Jesteś pewna, że się poślizgnęła? Grace odwróciła się, ale nie wstała.
  - Oczywiście. Myślisz, że Owen ją zepchnął? Abigail nie odpowiedziała.
  - A może myślisz, że Doe skoczyła? To niedorzeczne. Miała czternaście lat. Była pełna życia. Na pewno nie skoczyła. - Grace wstała, cała mokra. - Nie do wiary, że sugerujesz coś podobnego.
  - Niczego nie sugeruję. Po prostu pytam.
  - To było nieuczciwe pytanie.
  - Możliwe. Ty też poszłaś tamtego dnia nad urwisko?
- Grace pokręciła głową. Jej gniew nieco zelżał wobec powagi tematu.
- Nie. Chris i jego dziadek usłyszeli Owena, kiedy udało mu się wreszcie zawołać o pomoc. Był z nimi na łodzi Mattie. Potem zrobiło się wielkie zamieszanie.

- Czy ktoś został z tobą w domu?
  - Moja matka. Rozwodziła się wtedy z ojcem, ale była tam.
  - Czy zauważyłaś, że kogoś wśród was brakowało, zanim Owen zwołał o pomoc?  
Grace zamarła.
  - Nie. Abigail, do czego zmierzasz? Nie jest tajemnicą, że Owenowi wydawało się, że usłyszał kogoś wśród drzew. Miał jedenaście lat. Nie potrafił się pogodzić z tym, co się stało. Czuł się winny. Oczywiście niesłusznie, ale w takich chwilach mało kto myśli racjonalnie.
  - Próbuję dociec, dlaczego zdjęcie Doe trafiło pod drzwi Owena.
  - Bo jakiś stuknięty sukinsyn je tam zostawił. Abigail kiwnęła głową.
  - No tak.
  - O rany! - Grace zatrzęsała się, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, że ma przemoknięty sweter i zziębnięte stopy. - Nie mogę popłynąć mokra. Zamarzłabym przy takim wietrze.
  - Grace, wiesz, że twój brat...
  - Słyszałam początek rozmowy z moim ojcem.
  - Próbowała zapiąć sweter, ale szybko się poddała.
  - Dlatego tu przyszłam. Wiesz, zgodnie z zasadą „walcz lub uciekaj”.
  - Zależy ci na Lincu, prawda?
  - Oczywiście.
  - Tak bardzo, że okłamałaś Chrisa, kiedy zapytał cię, gdzie jest twój brat?
- Grace uniosła podbródek. Abigail zauważyła, że jej rozmówczyni zbiera się w sobie, że inteligencja i energia, którym zawdzięczała nominację na stanowisko w Departamencie Stanu, zaraz dadzą znać o sobie.

- O czym ty mówisz?
- Mnie też podrzucono zdjęcia. Powiedziałaś policji, że nie rozmawiałaś z Chrisem, kiedy przyszedł do twojego stryja po tym, jak zostałam napadnięta. Ale rozmawiałaś z nim, prawda?
- Istnieje zdjęcie, na którym jesteśmy razem?
- Tak.
- Powiedziałam policji, że go widziałam. Jeśli ze zdjęcia nie wynika, że rozmawialiśmy... - Urwała, dając za wygraną, i zniżyła głos: - Zapytał mnie, gdzie jest Line.
- Co mu powiedziałaś? Spojrzała na swoje sine stopy.
- Że jest w ruinach starego domu Garrisonów. Naprawdę tak myślałam. Nie skłamałam. Nie w rozmowie z Chrisem.

Coś w jej głosie sprawiło, że Abigail trochę zmiękła, mimo profesjonalizmu, z jakim do tej pory przyciskała Grace. Usiadła z powrotem na ławce, rozgrzanej przez słońce. Bob O'Reilly powiedział jej, żeby zostawiła przesłuchiwanie świadków detektywom z policji stanowej, ale nie posłuchała go.

- Linca nie było w ruinach - oznajmiła. - Znalazłam pod drzwiami jeszcze jedno zdjęcie. Przedstawiało twojego brata stojącego przy furtce w ogrodzie stryja. Zdjęcie zostało zrobione mniej więcej w tym samym czasie co to, na którym jesteś z Owenem.
- Line... - Grace wydawała się zaskoczona. - Mój brat był w ogrodzie?
- Popijał ukradkiem martini.
- Aleja myślałam, że on... - Nie dokończyła.
- Dlaczego myślałaś, że jest w ruinach?
- Nie pamiętam.

- Wiedziałaś, że jest włamywaczem, o którym wszyscy wtedy mówili?

- Podejrzywałam, ale nie miałam pewności. Nadal nie mam, bez względu na to, co komu teraz naopowiadał.

- Mój mąż wiedział - rzekła z przekonaniem Abigail. - Nie powiedział mi o tym. Ale zakładam, że wiedział i że rozmawiał z Linkiem, dając mu jeszcze jedną szansę. A Linc...  
Grace zdjęła sweter, zwinęła go w kłębek i odwróciła się w stronę kajaka.

- Muszę już iść.

- Grace, to nie Linc włamał się do mojego domu, to nie on mnie uderzył i ukradł naszyjnik. Chris o tym wiedział. Wyczytałam to z jego twarzy. Wiedział, kto to zrobił i że tą osobą nie jest zagubiony trzynastolatek.

- Wydajesz się tego pewna.

- Niewiele wiem o tamtych wydarzeniach, ale jeśli o to chodzi... - Kiwnęła głową. - Tak, jestem pewna. Chris chciał wiedzieć, gdzie jest twój brat, by się upewnić, że nic mu nie grozi. Myślałaś przez te wszystkie lata, że to twój brat zabił Chrisa?  
Grace potrząsnęła głową.

- Nie, nigdy.

Chwyliła linę przywiązaną do lekkiego jak piórko kajaka i wyciągnęła go dalej na trawę. Puściła linę i wrzuciła do kajaka sweter, a potem zadarła głowę do góry, jakby spodziewała się ujrzeć na niebie ducha Chrisa.

W końcu skierowała wzrok na Abigail.

- Myślałam o tym, że posłałam twojego męża na śmierć.  
Abigail zdała sobie wreszcie sprawę, co słyszała w głosie Grace. Wstała i wyciągnęła do niej rękę.

- Grace - powiedziała. - Ty go kochałaś.

Ale Grace udała, że nie usłyszała tych słów. Kopnęła lekko kajak.

- Później po ciebie przyjdę - powiedziała w przestrzeń, po czym popatrzyła spod przymrużonych powiek na Abigail. - Cieszę się, że nie odniosłaś wczoraj poważniejszych obrażeń. Wiem, że potrafisz o siebie zadbać, ale nie chcę, żeby coś ci się stało. Nikt z nas tego nie chce.

Po tych słowach odeszła ścieżką między różami.

Abigail nie ruszyła za nią. Podeszła do wody, której poziom wyraźnie się podniósł. Popatrzyła w dół i dostrzegła coś jaskrawego, niepasującego barwą do szarości i brązów dna. Włożyła rękę do wody, pogrzebała palcami w piasku i okrągłych kamykach, po czym wyłowiła tajemniczy przedmiot.

Był to kawałek fioletowego szkła, oszlifowany przez morską wodę i piasek. Oplukała szkiełko i uniosła do słońca, wyobrażając sobie, że pochodzi z butelki, którą Chris jako mały chłopiec wrzucił do zatoki. Zobaczyła go pływającego łodzią dziadka wokół wyspy, wyciągającego z wody pułapki na homary, marzącego o zostaniu agentem FBI.

Czy kiedykolwiek marzył o kobiecie, z którą się ożeni?

Zamknęła szkiełko w dłoni i cisnęła je do wody najdalej, jak potrafiła.

Dowiem się, kto go zabił - pomyślała.

Wracając znad Somes Sound, Abigail wstąpiła do baru, w którym przed paroma dniami - w towarzystwie Lou Beelera i Doyle'a Aldena - jadła bułkę ze smażonymi krewetkami. Miała wrażenie, że od tamtego czasu minęły całe wieki. Zamówiła to samo, co wtedy,

ale tym razem na wynos. Nie zjadła nic z O'Reillym, zanim wyruszył w drogę powrotną do Bostonu, wcześniej każąc jej obiecać, że pozostanie z nim w kontakcie, będzie grzeczna, nie zrobi nic głupiego i tak dalej - lista była długa.

Abigail poszła z parującą bułką do malowniczego portu. Przyglądała się tam wpływającym i wypływającym kutrom rybackim oraz statkom wycieczkowym. Było pięknie, letnie popołudnie. Port należał do nielicznych miejsc na wyspie, gdzie miały zasięg telefony komórkowe.

- Abigail - powiedział jej ojciec, kiedy odebrał połączenie. - Wszystko w porządku?

- Czy Mattie Young był informatorem FBI? Cisza. Wbrew pozorom to pytanie nie było strzałem w ciemno. Lou Beeler zasugerował, że jej ojciec może coś wiedzieć. Napięcie między Chrisem i Mattiem tuż przed ślubem też dawało do myślenia. Wszystko układało się w logiczną całość.

- Może przerywa - powiedziała Abigail - więc powtórzę pytanie. Czy Mattie Young był informatorem FBI?

- To nie takie proste - odparł jej ojciec.

- To jest proste. Wystarczy powiedzieć „tak” lub „nie” .

- Porozmawiaj z porucznikiem Beelerem.

- Już z nim rozmawiałam. - Mówiła ostrym tonem, ale jeśli ktokolwiek znał odpowiedź na jej pytanie, to właśnie dyrektor FBI, John March. Jej ojciec. - Ty też?

- Jesteś detektywem, Abigail. Dobrze wiesz, że pewnych szczegółów śledztwa się nie ujawnia.

- To zrozumiałe w przypadku Lou, ale ty nie prowadzisz tej sprawy. A może się mylę?

- Mattie był informatorem Chrisa - rzekł po chwili

milczenia jej ojciec. - Dowiedziałem się o tym dopiero po jego śmierci.

- Nigdy mi nie mówiłeś...

- Lou Beeler wiedział.

A więc według niego wystarczyło o tym poinformować głównego śledczego. Ona nie musiała wiedzieć.

- Chris też mi nie powiedział.

- Ty na jego miejscu postąpiłabyś tak samo. Chris zakończył współpracę z Mattiem kilka tygodni przed waszym ślubem. Zaprzętały go inne sprawy. To był wasz miesiąc miodowy. Nie było potrzeby...

- Była, skoro wkrótce potem został postrzelony i wykrwawił się na śmierć, skoro został zabity. - Wciągnęła powietrze. - Do licha!

- Pamiętaj, że siedem lat temu nie byłaś jeszcze detektywem.

- Tak, wiem. - Abigail położyła bułkę z krewetkami na upstrzonej mewimi odchodami barierce. - Jakie informacje przekazywał Mattie?

- Myślę, że Chris po prostu próbował pomóc przyjacielowi. Chciał, żeby miał jakiś cel, coś do roboty.

- Usłyszała w głosie ojca wzruszenie, co nie zdarzało się często. - Mogę wsiąść do samolotu i przylecieć do ciebie.

- Wiem, tato. Dzięki. Poradzę sobie. Żałuję tylko, że nie powiedziałaś mi o Mattiem dużo wcześniej.

- Nie mogłam.

- Wiem.

Po rozłączeniu się Abigail odgoniła mewę, która zainteresowała się jej bułką z krewetkami. Potem zaczęła obserwować wysłużoną łódź do połowu homarów, wpływającą właśnie do portu. Mężczyzna i chłopiec wykonywali rutynowe czynności po dniu spędzo-

nym na morzu. Abigail chciała krzyknąć do chłopca, żeby pozostał rybakiem, nie pragnął niczego więcej, nie opuszczał wyspy i nie zakochał się w córce przyszłego dyrektora FBI.

*Twój mąż miał swoje tajemnice.*

Pierwsza: Linc Cooper był włamywaczem.

Druga: Mattie Young był informatorem.

Trzecia: Grace Cooper była w nim zakochana.

Abigail zastanawiała się, czy Chris wyjawilby jej później te sekrety. Może tak naprawdę to nie były żadne tajemnice, tylko informacje, którymi nie zdążył się z nią podzielić. Oboje myśleli wtedy głównie o swoim ślubie i miesiącu miodowym, a także o wspólnej przyszłości.

Może po prostu zabrakło czasu.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Doyle przeczytał trzy razy rozwlekły e-mail od Katie, po czym wyłączył komputer, poszedł do kuchni i wyjął z zamrażarki kotlety wieprzowe. Jego żona relacjonowała mu szczegółowo, co robi w Anglii - czego się uczy na szkoleniu, jakich ludzi poznała, jakie miejsca zwiedziła. Pisała tak, jakby mówiła. Od jej wyjazdu rzadko do siebie dzwonili ze względu na różnicę czasu, liczne obowiązki i wysoki koszt połączeń międzynarodowych.

Chociaż Doyle tęsknił za Katie i potrzebował jej rady i wsparcia, nie chciał, żeby wiedziała, co się dzieje na wyspie. Będąc tak daleko, niewiele mogła zrobić i tylko niepotrzebnie by się martwiła.

Chłopcy - zaraz po kolacji - kontaktowali się z mamą za pomocą komunikatora internetowego. Doyle nie bardzo wiedział, jak się go obsługuje.

Wyjrzał przez okno nad zlewem. Sean i Ian wybrali się na przejażdżkę rowerową. Powiedział im, żeby trzymali się z daleka od domu Mattiego. Co jeszcze mógł zrobić? Miał ich trzymać w domu całymi dniami?

Doprowadzić do tego, że zaczynają się bać własnych cieni?

Poszukiwania Mattiego trwały nadal. Jeśli wciąż ukrywał się w lesie i nie znalazł pożywienia ani wody, groziła mu śmierć z zimna lub pragnienia. Doyle wyobrażał sobie taki obraz miliony razy - Mattie Young martwy na stercie liści albo na skałach, albo w rozbitym samochodzie. Lepsze to - mówił sobie zawsze - niż gdyby miał kogoś zabić, jadąc po pijanemu.

Położył zamrożone kotlety na blacie kuchennym i przeszedł do salonu. Musiał pamiętać, żeby włożyć kotlety do piekarnika, zanim zalęgą się na nich bakterie. Jak na razie udało mu się nie zatruć ani siebie, ani chłopców.

Abigail Browning stała przed frontowymi drzwiami zaopatrzonymi w siatkę przeciwko owadom.

Doyle nie słyszał, jak przyjechała. Dostrzegł, że stoi za nią Owen. Oboje mieli posępne miny. Serce podeszło mu do gardła. Czyżby coś się stało Seanowi albo Ianowi? A może Katie? Natychmiast powiedział sobie, że musi się uspokoić. Był to jeden z tych dni, kiedy wszyscy mieli posępne miny.

- Wejdźcie - powiedział.

- Cześć, Doyle. - Owen stanął przed Abigail i pchnął drzwi. - Widzieliśmy chłopców na rowerach.

Wygląda na to, że świetnie się bawią.

- Wiedzą, że szukamy Mattiego. Nic więcej im nie powiedziałem. - Podniósł rękę, żeby powstrzymać spodziewane protesty. - Nie powiem, dopóki nie będę musiał.

- Twoja decyzja.

Abigail rozejrzała się po urządzonym w wiejskim stylu pokoju.

- Ostatnio byłam tutaj kilka lat temu. Wykonaliście z Katie kawał dobrej roboty.
- Dzięki. - Doyle wskazał ręką sofę. - Usiądźcie...
- Przyjechaliśmy tylko na chwilę - odparła Abigail. - Co z Mattiem?
- Od czasu znalezienia roweru nie natrafiliśmy na żaden nowy ślad. Wyszedłem z komisariatu przed godziną. Lou jeszcze tam został. Agenci FBI chcą porozmawiać z Linkiem Cooperem. - Wzdychając ciężko, Doyle usiadł w głębokim fotelu. - Nie rozumiem Mattiego i pewnie nigdy nie zrozumiem. Nie potrafi wziąć się w garść. Miał możliwości, jak my wszyscy, ale był zbyt samolubny. Zawsze stawiał siebie na pierwszym miejscu.
- Nadal nie znamy odpowiedzi na wiele pytań. Doyle nawet się nie obruszył, że użyła liczby mnogiej, jakby też uczestniczyła oficjalnie w tym śledztwie.
- Nie wiecie, jak to jest. Żadne z was. Pamiętam, jak stary Browning zabrał kiedyś Mattiego, Chrisa i mnie na przejażdżkę łodzią w piekielnie zimny dzień, długo po zakończeniu sezonu wakacyjnego. To było coś wspaniałego. A teraz... Do licha! Chrisa i jego dziadka już nie ma. Być może Mattiego też. Abigail świdrowała go wzrokiem, zresztą nie pierwszy raz w historii ich spotkań. Nie zamierzała pozwolić, żeby użalał się teraz nad sobą.
- Wiedziałaś, że Mattie był informatorem FBI? Doyle przechylił głowę na wysokie oparcie fotela i zastanawiał się przez chwilę, czy nie wyrzucić ich z domu i nie pooglądać telewizji. Byle tylko przez najbliższe pół godziny nie myśleć o swojej pracy i życiu.
- Ja nie wiedziałem - wtrącił cicho Owen.

Doyle pochylił się do przodu.

- Informator FBI to za dużo powiedziane. Mattie starał się mieć oczy i uszy szeroko otwarte i mówił Chrisowi, czego się dowiedział. Zwykle były to rzeczy mało istotne, ale raz natrafił na próbę przemytu narkotyków do Kanady. Federalni też nad tym pracowali, ale on znał nazwiska przemytników, ich miejsce spotkań. Jego informacje okazały się przydatne. Dostał od Chrisa pieniądze. Było coraz lepiej.

- Ale potem wrócił do picia i Chris z niego zrezygnował.

- Tak to mniej więcej wyglądało.

- Nie interesuje mnie żadne „mniej więcej”, Doyle. Chcę wiedzieć wszystko.

- W porządku. - Oparł ręce na poręczach fotela, głównie po to, by nie rzucić się Abigail do gardła. - No więc to już wszystko. Zadowolona?

Nie zareagowała na ten sarkazm.

- A Grace Cooper... Wiedziałaś, że kocha Chrisa?

- Kiedy Doyle zerknął ukradkiem na Owena, Abigail wciągnęła powietrze. - Cholera, wszyscy o tym wiedzieliście.

- Oni nie byli sobie przeznaczeni - powiedział Owen. - O tym też wszyscy wiedzieliśmy. Zresztą to się skończyło dawno temu.

- Nieprawda. - Doyle podniósł się ciężko z fotela.

- Dla Chrisa, owszem. On nigdy nie był nią zainteresowany. Ale Grace nie przestanie go kochać. Kto wie? Może Chris by nie zginął, gdyby to w niej się zakochał?

Owen złapał przyjaciela za rękę.

- Wystarczy. Jesteś zdenerwowany. Nie pogarszaj sytuacji.

Abigail zbladła, co Doyle - z powodu nastroju,

w jakim był - uznał za swoje zwycięstwo. Jednak Abigail nie podniosła głosu, kiedy powiedziała:  
- Jeśli uważałeś, że Chris powinien się ożenić z inną kobietą, to dlaczego byłeś jego świadkiem na ślubie?

- Bo mnie o to poprosił, był moim najlepszym przyjacielem. Miał nadzieję, że kiedyś dostrzegę w tobie to, co on widział.

- Kolejny mały sekret - powiedziała bez goryczy. Na podjeździe zaklekotał rower.

- Tato! - krzyknął jeden z chłopców.

Sean, pomyślał Doyle, rzucając się ku drzwiom. Niemal w tym samym momencie zawołał Ian.

- Tato, szybko! To Mattie!

Owen wybiegł błyskawicznie przez frontowe drzwi, wyprzedzając Doyle'a. Abigail pognąła za nimi dwoma. Doyle jednym skokiem pokonał schody i pomknął przez trawnik w stronę garażu, niedaleko którego leżeli z rowerami pomiędzy nogami jego synowie.

Ian wstał pierwszy. Miał obdarte kolana.

- Przewróciliśmy się, bo uciekaliśmy - powiedział z płaczem. - Myślałem, że Sean zobaczył ducha!

Owen uklęknął. Jego oczy znalazły się na wysokości oczu Seana, kiedy ten pokazał ręką na garaż.

- Mattie tam był! Jestem tego pewien. Zrobił sobie posłanie...

- Sprawdźmy to - powiedział spokojnie Owen. - Widzieliście go?

Ian pokręcił głową. Przy Owenie czuł się bezpieczniej.

- Nie ma go tam.

Drzwi garażu nie otwierały się automatycznie. Doyle nie protestował, kiedy Abigail poszła do bocznych drzwi, które chłopcy zostawili na wpół uchylone.

- Sean i Ian nie musieli otwierać tych drzwi kluczem - wyjaśnił. - Zamek jest zepsuty. Już od paru tygodni. Nie miałem czasu go naprawić.

Abigail kiwnęła głową i weszła do środka. Zaraz potem Doyle podniósł główne drzwi i też wślizgnął się do garażu. Niemal całą przestrzeń zajmował samochód Katie. Na hakach i półkach były różne narzędzia, akcesoria, łopaty do odśnieżania oraz rozmaite drobiazgi, które Katie zamierzała w przyszłości wykorzystać do tworzenia wyrobów rękodzielniczych.

- Samochód jest zamknięty? - spytała Abigail.

- Tak. Kluczyki są w domu.

Dobrze przynajmniej - pomyślał Doyle - że Mattie nie wybił szyby, by przespać się w samochodzie. Obszedł auto i stanął przed jego maską. Abigail wskazała niebieską plandekę rozłożoną na betonowej podłodze. Na plandecce leżał zwinięty koc samochodowy oraz karimata, o której istnieniu Doyle już nawet nie pamiętał.

- Wygląda na to, że myszkował w waszej spiżarni

- powiedziała Abigail.

Doyle zobaczył na podłodze pudełko po krakersach Wheat Thins, puszkę po gruszkach w syropie i pustą paczkę ciasteczek Oreo. Mattie zjadł wszystko na miejscu lub wziął część jedzenia ze sobą.

To na pewno był on. Doyle wiedział, że nie musi nic mówić. Charakterystyczny zapach, pojedyncze długie włosy na prowizorycznej poduszce, gumka do włosów

- to były wystarczające dowody zarówno dla niego, jak i Abigail.

- Pewnie zakradł się do kuchni, kiedy szukałem go wczoraj wieczorem - powiedział Doyle. - Nie ma własnego klucza, ale wie, gdzie trzymam swój. Nigdy bym nie pomyślał...

- Nie obwiniaj się. Może dzięki temu przeżył.

- Dobrze, że nie miałem w domu piwa. - Kiedy Abigail próbowała przejść obok niego, Doyle złapał ją za rękę. - A propos tego, co powiedziałem wcześniej... Wcale tak nie myślę.

Uśmiechnęła się.

- Wcale?

Kiedy wyszli z garażu, chłopcy wybiegli ojcu naprzeciw, a ten objął ich - jednego lewą, drugiego prawą ręką - i podniósł do góry. Potem kiwnął głową do przyjaciela.

- Dzięki.

- Nie ma za co.

Owen spojrzał na Abigail.

- To był Mattie?

Skinęła głową bez słowa komentarza. Zamknęła się w sobie, skupiła na zadaniu, które miała do wykonania.

- Zadzwoń do Lou - oznajmiła, ruszając w stronę domu.

Doyle nie dostrzegł tego wcześniej, ale teraz już tak - drugi jego przyjaciel zadurzył się w Abigail Browning.

- W tej chwili nie ufa nikomu z nas - rzekł do Owena.

- A ty byś ufał?

- Pewnie nie.

- Tato - odezwał się Sean. - Co się dzieje? Doyle wiedział, że nie może dłużej zwlekać, że musi powiedzieć synom o Mattiem i Chrisie - jak najwięcej, wszystko. Postawił ich z powrotem na ziemi i zwrócił się do Owena:

- Mógłbyś się tutaj rozejrzeć i poszukać śladów?

- Jasne - odparł Owen, po czym ruszył w stronę

garażu i zaczął przeczesywać teren badawczym wzrokiem doświadczonego ratownika. Mattie trzymał się kurczowo mokrego mchu i wystającego korzenia na stromym zboczu, obok zygzakowatych schodów, które przed stu laty ekscentryczny Edgar Garrison kazał wykuć w granicie. Huczało mu w głowie. Bolały go zęby. Nozdrza wypełniał ostry zapach podgniętych igieł i szyszek sosnowych. Wędrówka, którą odbył po opuszczeniu garażu Doyle'a - głównie przez las, wymagająca unikania policji - była istną torturą. Nie wyspał się poprzedniej nocy. Leżał przerażony na prowizorycznym pościeli, słysząc dochodzące przez otwarte okno sypialni chrapanie swojego przyjaciela, a zarazem policjanta. Nawet w pociągu towarowym miałyby lepsze warunki do spania. Gdyby Katie nie wyjechała, być może zapukałby do drzwi ich domu i poprosił ją o pomoc, zapytał, co powinien zrobić. Katie była osobą rozsądną. Potrafiła spojrzeć na wszystko z dystansu. Co innego Doyle - mógł go nawet zastrzelić. Do tego jeszcze policja stanowa... Wiedział, że jest w beznadziejnej sytuacji. Wszyscy myśleli, że próbował zabić Abigail i że zabił Chrisa. Poza tym pieniądze Linca, cały ten szantaż... - Chrzanić pieniądze - wyszeptał. Posuwał się ostrożnie w poprzek śliskiej, niebezpiecznej, niemal pionowej ściany, próbując dotrzeć do szczeliny skalnej, w której ukrywali się z Doyle'em w dzieciństwie, żeby szpiegować Garrisonów. Była to

mała wnęka w granitowej skale, przywodząca mu na myśl Tolkiena i hobbitów.

Przytulony do półki skalnej, naciągnął na siebie zielony płaszcz przeciwdeszczowy, który znalazł w garażu Doyle'a. Miał butelkę wody i trochę czekolady. Liczył na to, że wpadnie na jakiś plan, zanim umrze z głodu i pragnienia.

- Boże - wyszeptał. - Czego ja bym nie dał za gorący prysznic?

Zastanawiał się, czy nie wejść po skalnych schodach i nie zapukać do drzwi Ellisa. *Cześć, wykonam dla ciebie jakieś prace w ogrodzie, jeśli pozwolisz mi skorzystać z prysznica i nie piśniesz ani słowa.*

Kto wie, jak zachowałby się Ellis? Był dyskretnym człowiekiem. Inaczej nikt by mu nie zaufał, a w jego fachu zaufanie było najważniejsze. Poza tym cechował go skrajny perfekcjonizm - narzekał z powodu dwóch chrząszczy japońskich na krzewach róż, zamiast cieszyć się, że nie ma ich tam znacznie więcej. Mattie nie wiedział, jak Ellis przyjął całe to zamieszanie wokół swojego ogrodnika - czy chętnie współpracował z policją, czy raczej martwił się tym, że musi doglądać ogrodu sam.

To bez znaczenia, pomyślał. Gdyby teraz ruszył się z miejsca, pewnie by spadł i roztrzaskał sobie głowę. Był wyczerpany i skołowany, a od krawędzi skalnej dzieliło go zaledwie kilka centymetrów. Wydawało mu się, że lada moment usłyszy syreny policyjne i warkot helikoptera albo zobaczy nad sobą wielkiego, paskudnego psa z cieknącą z pyska śliną.

Drink ukoiłby jego nerwy. Mattiemu nie w głowie był teraz program wychodzenia z nałogu. Na to będzie czas później, kiedy jego życie się unormuje.

Musiał stawić czoło zbyt wielu przeciwnościom i zbyt wielu cwanim, wpływowym ludziom.

*Jesteś pieprzonym ogrodnikiem.*

Poza tym był gnidą. Zawiódł swoich przyjaciół. Pozwolił, by alkohol, kompleksy i poczucie niespełnienia podsyciły jego gniew i namieszały mu w głowie.

Opadły mu powieki. Czuł, że jego ciało wiotczeje.

Czy spadnie w przepaść podczas snu?

Czy znajdą go psy gończe?

*Wszystko mi jedno.*

*Ach, Chris.*

*Czy leżąc w kałuży krwi, myślałeś, że to ja cię zabiłem?*

*Tak myślałeś, przyjacielu?*

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

W pokoju z tyłu domu Abigail zapadła niepokojąca cisza, kiedy opuścili go wreszcie wszyscy policjanci, a właścicielka wyburzyła ostatnią płytę gipsową.

Tak wiele pytań, pomyślała Abigail, ściągając z głowy czerwoną chustkę i otrzepując się z gipsowego pyłu.

Owen związał ostatni worek z gruzem i zaniósł go do kuchni. Abigail patrzyła za nim. Był wspaniale zbudowany. Ale jak mogła się w nim zadurzyć?

Jak mogła zadurzyć się w nim tutaj?

Mattie Young spędził noc w garażu przyjaciela. Gdzie był teraz? Dopóki chłopcy nie dokonali swojego odkrycia, Doyle nie wiedział, że Mattie tam był. Lou Beeler oczywiście uwierzył szeryfowi, kiedy ten wyjaśnił, że odkąd wyjechała Katie, nikt nie korzystał z garażu na co dzień. Doyle nie miał ostatnio czasu na koszenie trawy czy przycinanie róż. Nie musiał więc zaglądać do garażu.

Wiadomo było, że Mattie znalazł tam schronienie. Gdyby zapukał do drzwi Doyle'a, żeby oddać się

w ręce policji, zasługiwałoby to na pochwałę, ale nie uczynił tak.

Po opuszczeniu garażu mógł się udać wszędzie. Do parku narodowego Akadia, nad ocean. Mógł się wślizgnąć do jakiegoś innego garażu, włamać do pustego domu letniskowego albo schować gdzieś pośród skał.

Unikał policji i ludzi, którzy mogli go rozpoznać. Choć media poinformowały o jego zniknięciu, turystów odwiedzających wyspę Mount Desert takie lokalne sprawy raczej nie interesowały. Mijając spacerowiczów czy biwakowiczów, niespecjalnie więc narażał się na to, że ktoś zwróci na niego uwagę lub rozpozna w nim człowieka poszukiwanego przez policję.

Abigail wyszła na werandę. Objechali z Owenem okolicę, licząc, że zobaczą gdzieś Mattiego. Potem wybrali się do jego ulubionej kryjówki w ruinach. Nic.

Zapowiadała się cieplejsza i wilgotniejsza noc od poprzedniej, ale i tak chłodna jak na lipiec - o wiele chłodniejsza od tych w Bostonie. Abigail dostrzegła w oddali światła luksusowych jachtów, kołyszących się na wodzie. Czy jeden z nich należał do Jasona Coopera? Czy Jason postanowił oderwać się od problemów rodzinnych i porozkoszować w samotności swoim bogactwem?

Poczuła za sobą - za drzwiami na werandę - obecność Owena.

- Zmieniłam się przez ostatnie lata - powiedziała, nie oglądając się. - Nie chciałam przyznać się do tego przed sobą. Sądziłam, że gdybym to zrobiła, musiałabym również przyznać, że Chrisowi mogłabym się nie podobać taka, jaka jestem teraz.

Drzwi otworzyły się i zamknęły. Owen odegnał komara, który krążył koło nosa Abigail.

- Jego śmierć sprawiła, że poszłaś inną drogą. Ale jesteś tą samą Abigail.
  - Nie żywię urazy do Doyle'a Aldena i Cooperów o to, że mnie nie lubią.
  - Masz wszelkie prawo dążyć do poznania prawdy.
  - Nie tylko o to chodzi. Ilekroć tu przyjeżdżam, przypominam im o Chrisie. Przeze mnie nie mogą o nim zapomnieć. - Przeczesała dłońmi włosy. W wilgotnym powietrzu jej krótkie loki były jeszcze wyrazistsze. - Nawet nie muszę nic robić. Jestem wdową po nim. To się nie zmieni. To trochę tak, jakbym była zamknięta w szklanej bańce, która nie pozwala ludziom zbliżyć się do mnie, przypominając im, że straciłam męża podczas miesiąca miodowego. Owen położył rękę na jej ramieniu.
  - Ja nie boję się do ciebie zbliżyć. Uśmiechnęła się.
  - Może to błąd. Cholera. Nie do wiary, że mówię ci to wszystko. Pewnie gdybym wyszła ponownie za mąż...
  - Cieszę się, że tego nie zrobiłaś.
- Znów spojrzała na ciemną wodę. Jachtów już nie było.
- Przez siedem lat myślałam, że gdybym wtedy coś zrobiła, przeszła się po skałach albo wstąpiła na przyjęcie u Ellisa, Chris by nie zginął. Teraz już nie jestem tego taka pewna. Nie wiem, czy mogłam uchronić go od śmierci.
  - Włamanie, napaść na ciebie...
  - To była okazja, z której skorzystał zabójca, ale nie przyczyna śmierci Chrisa. - Abigail nadal wpatrywała się w ciemność, jej oczy przyzwyczajały się do mroku, zaczynały wyławiać gwiazdy, kontury skał i drzew. - Nie powiedział mi, co się dzieje.

Owen milczał.

- Nie miało znaczenia, kim byłam. Gdybym już wtedy była detektywem, Chris i tak by mi nie powiedział. Nie ukrywał niczego przede mną, po prostu mi nie mówił. Taką miał naturę. - Robaczek świętojański zamigotał między drzewami, tam, gdzie przed kilkoma dniami schowali się synowie Aldena, przekonani, że zobaczyli ducha. - Co ja wiedziałam o jego relacjach z mieszkańcami tej wyspy? Znałam go od osiemnastu miesięcy. Małżeństwem byliśmy zaledwie kilka dni.

- Abigail...

Chwyciła Owena za rękę i splotła swoje palce z jego palcami.

- Nie chcę być tej nocy sama.

- Nie musisz.

Uniosła jego dłoń do swoich ust.

- Nie tutaj. Nie mogę spać z tobą tutaj.

Koszmar wyrwał Abigail ze snu. Leżała w ciemności, nie wiedząc, gdzie jest.

Usłyszała pohukiwanie sowy na pobliskim drzewie, poczuła chłodny wiatr, wpadający przez otwarte okno, i ciepło miękkiego koca, którym była okryta. Wtedy przypomniała sobie o miłosnych igraszkach, jej i Owena, trwających do późnej nocy.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia, sądząc, że on śpi. Ale przykrył dłonią jej dłoń. Abigail podsunęła się do niego. Czuła się tak, jakby go znała od zawsze, a jednak wciąż niewiele o nim wiedziała, prawie nic.

- Nic nie wiesz o moim prawdziwym życiu - wyszeptała. - W Bostonie prowadzę śledztwa w sprawach zabójstw. Nie jestem tylko wdową mieszkającą pośród skał. Ja z kolei nic nie wiem o twoim życiu.

303

- Mamy na to czas. - Przekręcił się na bok i przyciągnął ją do siebie. - Mnóstwo czasu.

Abigail powiodła koniuszkami palców po bliźnie na jego ramieniu.

- Skąd masz tę bliznę? - Jej dłoń powędrowała na jego klatkę piersiową i tam też natrafiła na bliznę.

- A tę... a tę...

- Nie pamiętam. Nie myślę o nich.

Pchnęła go lekko na plecy, po czym usiadła na nim okrakiem.

- Nie myślisz o nich, ale pamiętasz, skąd je masz.

- Podrapała go delikatnie po biodrach, czując pod sobą dreszcz jego podniecenia. - Każdą, co do jednej.

Uniosła się nieco, a kiedy po chwili znów na nim siedziała, był już w niej. Jęknęła i zaraz potem opadła na jego klatkę piersiową, przeżywając orgazm.

Owen wyszeptał jej imię, poruszył się w niej gwałtownie i też przeżył ekstazę.

Zimny, nocny wiatr owiewał ich rozpalone ciała, ale nie okryli się kocem. Abigail położyła głowę na piersi Owena i zamknęła oczy, mając nadzieję, że tym razem nie przyśni jej się nic złego.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Poranek był na tyle ciepły, że Abigail przeszła bosą po gładkiej, drewnianej podłodze w domu Owena i otworzyła szeroko drzwi na taras, żeby wpuścić do środka świeże powietrze i odgłosy oceanu. Ze względu na panującą aurę nie poprosiła Owena o rozpalenie w kominku. Zabrała się do parzenia kawy, czując na sobie promienie słońca wpadające przez wysokie okna. Jej rany i zadrapania goiły się, ciało było odprężone po upojnej nocy.

Kiedy zadzwonił telefon, nie kwapiła się, żeby odebrać. Zrobił to siedzący na stołku przy kuchennym blacie Owen.

- Halo? - Wstał. Jego oczy powiedziały Abigail wszystko, gdy podawał jej słuchawkę. - Do ciebie.

*Jej tajemniczy rozmówca.* Owen obszedł blat i stanął przy Abigail. Kiwnęła do niego głową, po czym odezwała się oficjalnym tonem:

- Abigail Browning, słucham.

- Dzień dobry, pani detektyw. - To był ten sam głos, co poprzednio, złowieszczy i przytłumiony.

- Nie jestem w nastroju na twoje gierki. Czego chcesz?
- Nerwowa dzisiaj, co?
- Powiedz, czego chcesz.
- Chcę, żebyś wróciła do Bostonu żywa. - Głos po drugiej stronie linii brzmiał bezbarwnie, bezosobowo. - Musisz być ostrożna w najbliższych dniach. Bardzo ostrożna.
- Dlaczego? Co wiesz? Rozmówca zignorował te pytania.
- Jak daleko posuną się przyjaciele twojego męża, żeby nie odkryto ich tajemnic?
- A jak daleko ty się posuniesz? Wszyscy mają swoje tajemnice. Jakie są twoje?
- Moje tajemnice są błahe. Twój mąż...
- Chris nie miał długiego języka. Nie zdradzał niczyich tajemnic. Był człowiekiem, z którym wszyscy chcieli się przyjaźnić. - Przerzywając swojemu rozmówcy, trochę ryzykowała, ale cierpliwe wysłuchiwanie monologów tego człowieka prowadziło donikąd. Abigail oblizwała usta, próbując wychwycić jakieś dźwięki w tle, cokolwiek, co pomogłoby jej zidentyfikować tajemniczego rozmówcę. - Jeśli chcesz sprawić, bym straciła szacunek do męża z powodu tego, czego mi nie powiedział, to trudzisz się daremnie.
- Ja chcę ci tylko pomóc.
- Nieprawda. Gdyby tak było, wiedziałabym, kim jesteś. Spotkalibyśmy się.
- Nie ty tu rządzisz. - Głos rozmówcy po raz pierwszy zdradził jakieś emocje. - Jeszcze o tym nie wiesz?

Zasyczał ekspres do kawy, pierwsze krople zaczęły skapywać do dzbanka. Abigail poczuła ciarki na plecach.

- Czy to znaczy, że ty tu rządysz? - spytała spokojnie.
- To znaczy, że musisz być ostrożna.
- Skąd masz ten numer?
- Bułka z masłem.
- Mogłam być gdziekolwiek...
- Namierzenie cię było jeszcze łatwiejsze, pani detektyw. Ostatnio zrobiła się z ciebie niezła zdzira. Ta obelga nie zbiła jej z tropu.
- A więc jesteś na wyspie. Obserwujesz mnie. Doszło do jakiegoś kontaktu między nami...
- Szkoda twojego czasu - zapewnił rozmówca spokojnym tonem. - Pomyśl raczej o tajemnicach, które skrywają ludzie. I uważaj na siebie.

Abigail przez całą rozmowę stała przy blacie kuchennym. Wsłuchiwała się uważnie w każde słowo.

- Obiecaj, że będziesz ostrożna, pani detektyw. Poczula na sobie wzrok Owena i odwróciła się do niego. Kiedy zobaczyła jego zaciśnięte zęby i przymrużone oczy, wiedziała już, że oboje myślą to samo.

- Pani detektyw?

- Ty jesteś zabójcą.

- Nie musisz zakładać podsłuchu w swoim telefonie. - Głos był teraz bardziej wyraźny. - Więcej już nie zadzwonię.

Kiedy rozmówca się rozłączył, Abigail miała ochotę rzucić telefonem o skały. Owen położył przed nią na blacie bloczek kartek i długopis. Chciała coś powiedzieć, ale powstrzymała się i zapisała szybko całą rozmowę.

Z zabójcą swojego męża.

Potem zadzwoniła na komórkę Lou Beelera i powiedziała mu, co się stało.

Stary detektyw nie skomentował faktu, że Abigail jest u Owena.

- Masz tam kawę?
- Będzie gotowa za dwie minuty.
- Przyjadę za pięć.
- Za pięć minut?
- Spałem tej nocy na sofie szeryfa Aldena.

Abigail nie mogła mieć mu tego za złe. Powiedziała, że będzie czekać. Odkładając słuchawkę, zauważyła, że Owen przegląda jej zapiski z rozmowy z tajemniczym rozmówcą. Ich spojrzenia się spotkały.

- Przepraszam - powiedział, po czym wyszedł na taras, zostawiając ją w kuchni samą.

Abigail poczekała, aż kawa się zaparzy, a potem zdjęła z półki dwa ciemnobrązowe gliniane kubki i postawiła je na blacie. Nalała do nich kawy i wyszła z nimi na zewnątrz. Powietrze było ciepłe, ale taras chłodny pod jej stopami. Zobaczyła, że Owen poszedł po skałach nad wodę. Zastanawiała się przez chwilę, czy ruszyć za nim, czy pójść włożyć buty przed przyjazdem Lou. Wybrała to pierwsze. Zeszła z tarasu na piaszczystą ścieżkę, dotarła nią do płaskiego, zaokrąglonego głazu i wspięła się na niego.

Pamiętając o tym, że jest boso i niesie kubki z kawą, zeskoczyła miękko na mniejszy głaz i stąpając ostrożnie, doszła do granitowej bryły nad samą wodą, gdzie stał Owen. Podała mu jeden z kubków.

- Pewnie byłoby mi wygodniej w kiepskich butach niż w żadnych.

Uśmiechnął się, ale zauważyła, że myślami jest gdzie indziej.

- Niekoniecznie.
- Szorstka skała może zastąpić peeling do stóp.

- Zamilkła, widząc emocje malujące się na jego twarzy. - Owen...

- Dlaczego akurat zdjęcie Doe? - spytał cicho.

Abigail wiedziała, czemu zadał to pytanie. Z wszystkich elementów układanki ten jeden - zdjęcie martwej siostry Owena - wydawał się pasować najmniej.

- Musi być jakiś powód. Niekoniecznie logiczny.

- Dla nas. Kiwnęła głową.

- Właśnie. Mój rozmówca wcale nie próbuje nam pomóc w znalezieniu zabójcy.

- Też tak myślę, ale nie mamy pewności.

- Ja ją mam. To zabójca Chrisa.

Abigail dziwnie się czuła, wypowiadając te słowa. Próbowała spojrzeć na całą sprawę bez emocji, wyłączenie jako detektyw, a nie jako wdowa po ofierze, kobieta, którą przez siedem lat dręczyły pytania dotyczące śmierci jej męża. Ale czy mogła udawać, że nie jest w tę sprawę osobiście zaangażowana? Upiorny głos w słuchawce, zdjęcia, rana na jej nodze, wspomnienia z poprzedniej nocy - to wszystko nie pozwalało na obiektywizm.

- Twój rozmówca wie coś o śmierci Doe - powiedział Owen, patrząc na kałużę wody pośród skał. - Wspomniał o jakichś tajemnicach. Może zna również tę?

- Może. Niewykluczone jednak, że to zdjęcie miało nas tylko zmylić albo cię rozdrażnić.

Na jego szczęście drgnął mięsień. Owen zmusił się do wypicia łyka kawy.

- Chcę dorwać drania.

- Wiem. Ja też. - Głos Abigail był spokojniejszy niż ona sama. - Ten człowiek jest zuchwały, zdolny do manipulacji i prawdopodobnie zdesperowany. Ma

jakiś plan, nawet jeśli to nie jest najlepszy plan. Poza tym zakładając, że to rzeczywiście zabójca Chrisa, nie dał się złapać przez siedem lat.

- Co najmniej siedem. Abigail wzięła oddech.

- Jeśli myślisz, że twoją siostrę ktoś popchnął...

- Widziałem, jak spadła. Nikt jej nie popchnął. Ale była bardzo zdenerwowana... Sprzeczka z Grace nie sprawiłaby jej w taki stan. - Owen zmrużył oczy, patrząc na trzy mewy lecące nad wodą od strony domu Abigail. - Może ktoś był wtedy w lesie? Może sobie tego nie uroiłem?

- Ale kto?

Owen patrzył, jak mewy lądują na skalnym cypelku.

- To nie mógł być Will Browning ani Chris... ani Mattie. Byli razem na łodzi.

- Jesteś pewien, że Mattie też był na łodzi?

- Miałem jedenaście lat. Niczego nie mogę być pewien.

Owen miał wtedy tyle lat, co teraz Sean Alden. Abigail pamiętała, jak bardzo Sean był wystraszony i skołowany poprzedniego dnia. Gdyby powiedziała mu, że w garażu jego ojca grasuje duch, uwierzyłby jej- Czy ktoś ci powiedział, że w lesie nikogo nie ma? - spytała.

- Wszyscy tak mówili.

- Kto konkretnie?

Owen nie odpowiedział od razu. Przez dłuższą chwilę sączył kawę i obserwował mewy. Był pogodny, ciepły dzień.

- Cooperowie, moi rodzice, Polly. Wszyscy tam byli.

- Ale kto ci powiedział, że w lesie nikogo nie ma?

- Nie pamiętam.
  - Czy ktoś poszedł się rozejrzeć? Owen pokręcił głową.
  - Nie było czasu. Musieliśmy jak najprędzej dotrzeć do Doe.
- Abigail wolała sobie nie wyobrażać tej sceny - przerażenia, rozpacz i szoku tych ludzi, kiedy stali na granitowej skale, wiedząc, że czternastoletnia Dorothy Garrison wpadła do wody.
- To zrozumiałe - powiedziała Abigail. - Pamiętasz, w jakiej kolejności poszczególne osoby docierały na miejsce?
  - Ostatnia dotarła moja babcia. To pamiętam. Jeśli chodzi o pozostałe osoby... - Pokręcił głową, próbując się opanować. - Nie wiem.
  - Skoro pamiętasz, że Polly dotarła ostatnia, to może jesteś w stanie przypomnieć sobie, kto przybył pierwszy? - Pociągnęła kolejny łyk kawy. - Mniejsza z tym. Co się stało, kiedy wszyscy dotarli nad urwisko? Ciało twojej siostry już wyłowiono czy wszyscy widzieli, jak ona...
  - Widzieli, jak dziadek Chrisa wciąga ją do łodzi.
  - Co było potem? - pytała dalej Abigail, choć jej też udzieliły się emocje.
  - Pojechaliśmy do portu.
  - Jak? Z kim pojechałeś? Gdzie były samochody?
  - Pod domem Ellisa. Poszli po nie Jason Cooper i mój ojciec. Reszta z nas ruszyła w stronę drogi i tam się spotkaliśmy. Nie wiem, czy mogę to pamiętać, ale wydaje mi się, że zobaczyłem na jodle sowę. Nie odleciała... siedziała na gałęzi i wpatrywała się we mnie. Moja siostra interesowała się ptakami, więc pomyślałem... - Wzruszył ramionami, wylewając resztkę kawy do oceanu. - Pomyślałem, że

próbuję mi powiedzieć, że cokolwiek stało się mojej siostrze, gdziekolwiek jest, wszystko jest w porządku. Abigail dotknęła jego ramienia.

- Nie wiem, kto zostawił to zdjęcie pod twoimi drzwiami i dlaczego, ale to przechodzi ludzkie pojęcie.

- Jeśli dzięki niemu znajdziemy zabójcę Chrisa, nie będę robił z tego tragedii. - Owen spojrzął na lśniąca wodę. - Ja tamtego dnia i tak nigdy nie zapomnę.

- Wierzę ci.

- Kiedy już porozmawiamy z Lou, pochodzę po skałach za domem Ellisa. Może wtedy coś jeszcze sobie przypomnę.

- Pójdę z tobą. Uśmiechnął się.

- Spodziewałem się tego.

- Chyba że wolisz iść sam... Pokręcił głową.

- Nic podobnego.

Abigail powiedziała stanowczo „nie”, kiedy Lou Beeler zasugerował, że policja znajdzie dla niej jakieś bezpieczne schronienie. Była grzeczna i wdzięczna za troskę, ale nieugięta.

- To wykluczone - powiedziała, dolewając detektywowi kawy.

Lou nie zamierzał się łatwo poddać. Siedząc na stołku, który wcześniej zajmował Owen, wysłuchał relacji z kolejnej tajemniczej rozmowy telefonicznej. Przerywał Abigail kilka razy, zadając różne pytania.

- Zgódź się przynajmniej, żebym przydzielił ci kogoś do ochrony.

- To to samo.

307

- Nie podoba mi się ten twój rozmówca. Od początku mi się nie podobał.
- Mówiłeś, że to pewnie tylko głupi żart.
- Tak mówiłem? No cóż, to wciąż możliwe. - Podmuchał gorącą kawę. - Odechciewa się odbierać telefon, co?
- Nie. Mam nadzieję, że ten człowiek jeszcze zadzwoni.

Lou pozostawił to bez komentarza.

Po rozmowie z detektywem stanowym Owen poszedł wziąć prysznic, zostawiając Abigail sam na sam z Lou. Od momentu kiedy detektyw pojawił się w drzwiach, było oczywiste, że jego zaniepokojenie całą sytuacją wyraźnie wzrosło.

Abigail nie dziwiła się temu.

Wylała resztkę kawy do zlewu i powiedziała:

- Mam nadzieję, że kiedy ten drań zadzwoni następnym razem, będę już po kilku kawach. Może wtedy uda mi się go zapędzić w kozi róg. Nienawidzę odbierać takich telefonów przed pierwszą kawą.
- Widzę, że nie straciłaś animuszu - rzekł Lou, jakby trochę zawiedziony.
- Chcę dorwać tego człowieka. Mój rozmówca to zabójca Chrisa. Wiem o tym.
- Myślisz, że celowo się zdemaskował?
- Tak. Myślę, że wszystko, co robi i mówi, jest zamierzone. - Spojrzała na starego detektywa, który siedział naprzeciwko niej po drugiej stronie granitowego blatu. - Poza tym wciąż nie wiemy, czy to mężczyzna, czy kobieta.
- Podejrzewasz kogoś? Możesz podać jakieś nazwiska?

Pokręciła głową.

- To na pewno nie jest Mattie Young - odparła.

- Mimo tych zdjęć, naszyjnika, ataku na ciebie i szantażu?

- Mimo.

Lou przyjrzał jej się uważnie, nie dając po sobie poznać, co myśli i czuje.

- Do licha, Lou. Masz taką kamienną twarz - powiedziała, niecierpliwiąc się. - Myślisz o naleśnikach z jagodami? Co chodzi ci po głowie?

- Nic. - Podniósł kubek, ale nie napił się kawy. - Abigail...

- Wiem, co chcesz powiedzieć. Staram się nie wyciągać pochopnych wniosków, mieć otwarty umysł.

- Nie ty prowadzisz tę sprawę. Spróbuj postawić się w mojej sytuacji. Twój ojciec jest dyrektorem FBI. Twój mąż był agentem FBI. Na wyspie są federalni i prześwietlają przeszłość osoby, która ma objąć wysokie stanowisko w Departamencie Stanu.

- Wiem, Lou. To niezręczna sytuacja.

- Niezręczna? Cholernie skomplikowana. A nie wspomniałem jeszcze o pogmatwanej historii rodziny Garrisonów, o Owenie i jego pracy. Rozmawiałem wczoraj z Doyle'em. Jego żonę czeka poważne wyzwanie. Będzie dyrektorem nowej szkoły ratownictwa, która powstaje w Bar Harbor. Organizacja Fast Rescue nie jest dla mięczaków. Owen ma ambitne plany. Niczego nie robi na pół gwizdka... - Urwał nagle. Abigail zdała sobie sprawę, że się zaczerwieniła albo coś w tym stylu. - A niech to, Browning. Abigail odchrząknęła.

- Wracając do zdjęć... Czy udało się potwierdzić, że zrobił je Mattie?

Lou odetchnął, kiedy Abigail zmieniła temat.

- Na razie nie mamy na to żadnych dowodów.

309

Mattie spalił część negatywów, a jego zbiory to jeden wielki bajzel, delikatnie mówiąc.

- Jeśli jest autorem tych zdjęć, mógł je komuś podarować albo sprzedać. Nie wiemy, czy przez te wszystkie lata były w jego posiadaniu. Mógł zrobić odbitki i rozdać je różnym ludziom.

- To mało prawdopodobne. Ktoś by się zgłosił z taką informacją.

- Ale możliwe. - Nie chcąc się wdawać w spekulacje, Abigail znów zmieniła temat. - A Linc Cooper?

- Jest w domu z rodziną. Powinien był wcześniej się do wszystkiego przyznać. Agenci FBI zainteresowali się jego zeznaniami. To, co zrobił, nie powinno zaszkodzić nominacji Grace, choć sprawa pachnie skandalem. Ale to, co zrobiła sama Grace, zatajając przed policją, że rozmawiała z Chrisem na przyjęciu u Ellisa, kryjąc swojego brata... - Lou wzruszył ramionami.

Abigail dokończyła za niego:

- Nie pachnie, ale śmierdzi skandalem. - Pokazała na jego kubek. - Skończyłeś?

- Tak. Doyle robi paskudną kawę. Ta była lepsza.

- Jak się mają chłopcy?

- Dobrze. Znają Mattiego. Nie boją się go, choć może powinni.

Wylała resztkę kawy Lou do zlewu, a potem włożyła wszystkie trzy kubki do zmywarki i zatrzasnęła klapę.

- Znaleźliście w domu Mattiego jakąś broń palną?

- Nie.

- Powiesz mi, z jakiej broni zastrzelono Chrisa?

- Przez siedem lat nie powiedziałem i teraz też tego nie zrobię. Wiesz, że nie mogę.

Procedura operacyjna nie pozwalała na ujawnianie

takich informacji, ale Abigail postanowiła przynajmniej spróbować.

- To był pistolet automatyczny, prawda? Leżały tam łuski od nabojev. Wtedy nie wiedziałam, co to oznacza...

- Abigail - ostrzegł Lou.

- Chrisa nie zabił szczęśliwy strzał. Zabójca umie strzelać. Lubi broń palną. Jeśli wyrzucił pistolet do oceanu, potem sprawił sobie taki sam. - Podeszła do Lou. - Przynajmniej tak mi się wydaje.

Detektyw stanowy zignorował jej słowa.

- Co zamierzasz teraz robić?

- Chcemy z Owenem zajrzeć do Ellisa. - Uśmiechnęła się niewinnie. - Stęskniłam się za ostróżkami.

- Mattie.

Mattie drgnął, ukryty wśród gęstych wiecznie zielonych drzew, rosnących wzdłuż klifu, z którego spadła Doe Garrison. Wyteżył słuch. Wydawało mu się, że ktoś wyszeptał jego imię.

- Mattie Young. Duch?

Duch Chrisa?

Otrzeptał się z igieł sosnowych i wstał. Otaczały go niskie gałęzie jodeł balsamicznych i świerków.

Wyruszył tam o świcie, po ciężkiej nocy spędzonej na półce skalnej. Chwilę po tym, jak przeszedł na drugą stronę prywatnej drogi dojazdowej i zniknął w lesie, przejechał nią radiowóz policji stanowej.

Mattiemu dopisało wtedy szczęście.

Usłyszał szelest suchych liści i zarośli, wywołany jego własnymi ruchami. Poczul w powietrzu zapach soli.

To nie Chris.

*Chris nie żyje. Co się z tobą dzieje, do cholery?*

- Wiem, że tu jesteś, Mattie. Ten głos.

To nie był głos Abigail, Owena ani Doyle'a - ludzi, których zdradził, ale którzy nie zrobiliby mu krzywdy. To był inny głos.

Ogarnął go dziwny spokój. Wiedział, co go czeka. Zamknął na chwilę oczy i wyobraził sobie, że jest w zaśnieżonej Akadii w mroźne, zimowe popołudnie. Zdjęcia, które robił zimą, należały do jego najlepszych. Wyspa podobała mu się najbardziej w najmroźniejsze dni.

Dał się złapać w pułapkę na szczycie wysokiego na prawie sto metrów urwiska.

Nie miał dokąd uciec. Za nim, daleko w dole, był ocean. Przed nim - zabójca.

- Mattie.

Rozpoznał ten głos, ale nie spojrzał, żeby się upewnić.

Miał w życiu szanse, ale je zmarnował. Nie warto było dalej żyć.

Wiedział, że nie pożyje dłużej niż godzinę.

- Mattie, co ty robisz? *Idę do Chrisa.*

*Do jednego z przyjaciół, których zdradziłem. Do mojego najlepszego przyjaciela.* Odwrócił się i wyszedł swojemu zabójcy naprzeciw.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Abigail poszła do siebie, żeby wziąć prysznic, przebrać się i uporządkować myśli. Ustaliła z Owenem, że spotkają się na schodach wiodących do posiadłości Ellisa. Potrzebowała kilku minut samotności, by spokojnie pomyśleć w cichym domu, gdzie mężczyzna, którego pokochała, poślubiła i straciła, mieszkał przez większość swojego krótkiego życia.

Gdyby tylko ściany mogły mówić, pomyślała Abigail, schodząc po schodach do holu z mokrymi po kąpieli włosami. Wcześniej włożyła dżinsy, dobre buty do biegania i luźną koszulę. Wzięła też swojego glocka kaliber 0,40. Mimo podziału na jurysdykcje i obowiązującego w Maine prawa dotyczącego broni, liczyła na wyrozumiałość Lou Bee-lera.

Przed progiem stali agenci Capozza i Steele. Abigail otworzyła drzwi.

- Czym mogę służyć?

- Wpadliśmy, żeby zapytać, jak się masz - powiedział Capozza.

- Mam się dobrze. Właśnie umyłam włosy. Jeszcze ich nie wysuszyłam...

Steele przewróciła oczami.

- To nieoficjalna wizyta. Chcieliśmy ci tylko powiedzieć, że Grace Cooper zrezygnowała z ubiegania się o posadę w Departamencie Stanu. Nie podała powodu swojej decyzji.

Capozza patrzył na Abigail twardym, niewzruszonym wzrokiem. Podobał jej się ten agent.

- Powód mógł być taki, że podczas śledztwa okłamała policję - oznajmił. - Na przyjęciu u Ellisa Coopera powiedziała twojemu mężowi, agentowi Browningowi, że jej brat jest na nadbrzeżu. Była przekonana, że on tam jest. Gdyby siedem lat temu powiedziała o tej rozmowie śledczym... - Wzruszył ramionami. - To kto wie?

Abigail otworzyła drzwi szerzej.

- Jestem umówiona z Owenem Garrisonem, ale zapraszam.

Steele pokręciła głową.

- Musimy jeszcze zbadać parę tropów.

- Daj nam znać, jeśli będziemy potrzebni - powiedział Capozza.

Abigail była przekonana, że jego uprzejmość nie ma nic wspólnego ze stanowiskiem piastowanym przez jej ojca. Ten facet naprawdę chciał pomóc. Puścił do niej oko.

- Do zobaczenia, pani detektyw.

- Abigail - przypomniała.

- Tak.

Kiedy agenci poszli, Abigail zamknęła drzwi i skierowała się do tylnego pokoju, żeby sprawdzić, czy tym razem drzwi na werandę są zamknięte. Potem stanęła na środku remontowanego pokoju i usłyszała huk

314

narzędzi spadających na podłogę, jakby to było tamto letnie popołudnie sprzed lat. Przypomniała sobie również cios w głowę i trwający ułamek sekundy strach, że umrze.

I to, jak zobaczyła później Chrisa, przerażony wyraz jego twarzy. Przypomniała sobie swoje niezliczone próby opisanie tych zdarzeń w pamiętnikach. Chris wiedział, kto ją uderzył.

Mattie.

Prawdopodobnie, pomyślała. Niemal na pewno. Ale to, co się tamtego dnia wydarzyło, nie sprowadzało się do Mattiego Younga, jego gniewu na Chrisa, jego picia i poczucia klęski.

Kiedy Chris poszedł do Ellisa, nie dlatego szukał Linca, że podejrzewał, że to on jest sprawcą włamania, ale dlatego, że bał się o niego.

*Coś się dzieje na Mount Desert.*

Dlaczego tajemniczy rozmówca - zabójca - ściągnął ją na wyspę właśnie teraz?

Abigail poszła do kuchni i wyciągnęła zrobione przez siebie opisy podrzuconych zdjęć. Były bardzo dokładne.

Przeczytała je i ujrzała te zdjęcia oczami wyobraźni - ludzi, którzy na nich byli, kąty ujęć, cienie, pory dnia. Lou przekazał fotografie do zbadania specjalistom wyposażonym w odpowiedni sprzęt.

*Obiektywizm.*

Abigail pomyślała o zdjęciu, na którym była z Owenem. Czuła na sobie jego rękę, oddech, kiedy nie chciał dopuścić jej do męża. Pamiętała, że nienawidziła go w tamtej chwili. To była naturalna reakcja, bo to właśnie on znalazł ciało Chrisa i pierwszy zdał sobie sprawę, że już nic nie da się zrobić.

To on jej o tym powiedział.

Odłożyła notatki i wyszła na zewnątrz, zamykając frontowe drzwi na klucz. Potem zobaczyła na gałęzi pękatego rudzika i poczuła niezrozumiałą przypiływ nadziei.

W połowie alejki dojazdowej skręciła na ścieżkę prowadzącą przez las do urwiska, z którego spadał Doe Garrison. Chris zabrał ją tam kiedyś, ale ten zakątek nigdy nie należał do jej ulubionych. Było tam zbyt stromo.

Wiedziała, że Owenowi to nie przeszkadzało.

Jedną z różnic między nimi, pomyślała, przyspieszając kroku.

Sądziła, że zdjęcie martwej Doe zrobił Mattie, kiedy jemu i Browningom nie udało się jej uratować.

Ale on miał wtedy siedemnaście lat.

Czy nastolatek zrobiłby zdjęcie martwej dziewczynki, pięknej czternastolatki, którą znał?

I po co miałby zachować takie zdjęcie?

Po co miałby je potem podrzucić jej bratu?

Mattiego nie było na zdjęciu. To mogło sugerować, że on je zrobił.

Abigail przystanąła w cieniu dużego świerku. Na dole sękatego pnia sterczały kikuty suchych gałęzi. Drzewo, choć rosło w odsłoniętym miejscu i było wystawione na srogie działanie żywiołów, jednak przetrwało.

Kąt, z którego wykonano zdjęcie Doe, jej zrozpaczonej rodziny i przyjaciół, wskazywał, że fotograf nie znajdował się w łodzi ani w porcie, ale w miejscu usytuowanym wyżej parkingu - zapewne w samochodzie.

Abigail zamknęła oczy i ujrzała przerażenie malujące się na twarzach Garrisonów - Owena, jego rodziców i babci. Zobaczyła też Jasona Coopera, który obejmował jedną ręką swoją córkę.

Kto mógł zrobić to zdjęcie?

Chris i jego dziadek też byli na fotografii - smutni, przygnębieni, ale nie stali razem z Garrisonami i Cooperami, ale jakby trochę z boku.

Nie było tam Mattiego. Na pewno. Pamiętałyby.

*/ Ellisa.*

Abigail otworzyła oczy i poczuła na twarzy ciepły powiew wiatru.

Na zdjęciu nie było Ellisa Coopera.

Lou Beeler nigdy nie przepadał za Grace Cooper. Mówiono, że jest miła, inteligentna i ustosunkowana. Ale dla niego była jak mumia. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że pod atrakcyjną powłoką kryją się tylko kości i kłębki kurzu.

Mimo swoich sukcesów i bogactwa była zagubiona. Nie wiedziała, kim tak naprawdę jest.

Lou odetchnął z ulgą, widząc, że przed domem Cooperów nie ma samochodu agentów FBI.

- Poruczniku Beeler! - zawołała z ganku Grace. Wydawała się spokojna i opanowana. - Przyjechał pan do mnie, prawda?

Podchodząc do frontowych schodów, Lou zauważył, że rośliny w podwieszonych doniczkach są przyschnięte - wyraźnie odczuwały brak Mattiego Younga.

- Mogę zamienić z panią słowo? - spytał.

- Oczywiście. - Grace siedziała na wiklinowej sofie, ze zwiniętym w kłębek pieskiem na kolanach.

Chociaż uśmiechnęła się uprzejmie, miała bladą twarz i nieobecny wzrok. - Proszę usiąść.

Lou pokręcił głową.

- Mam mało czasu. Chciałbym panią o coś zapytać,

pani Cooper. - Milczał przez chwilę, obserwując reakcję swojej rozmówczynie. - Dlaczego powiedziała pani Chrisowi, że pani brat jest w ruinach starego domu Garrisonów?

- Ja... ja... - Nie mogąc wykrztusić nic więcej, opadła bezwładnie na oparcie sofy. Piesek ześlizgnął się z jej kolan i wdrapał na fotel bujany.

Lou nie zamierzał się poddać.

- Wiedziała pani, że brat jest na terenie posiadłości?

- Nie. - Wzięła się w garść. - Nie wiedziałam. Nie okłamałam Chrisa.

- Pani Cooper... Grace, dlaczego myślałaś, że twój brat jest w ruinach domu Garrisonów?

Nie potrafiła odpowiedzieć, ale Lou zdał sobie sprawę, że już nie musi.

Zobaczył odpowiedź w jej oczach. Prawda poraziła ją jak grom. Detektywa również.

*Ellis.*

Stryj jej powiedział.

Pierwszy raz od lat pod Lou ugięły się kolana. *O Boże.*

Kiedy Owen zaczął wspinać się po stromych schodach, na drodze dojazdowej zatrzymał się samochód agentów FBI. Siedząca po stronie pasażera agentka Steele opuściła szybę i zawołała do niego.

- Schody są niewidoczne z drogi. To niesamowite. Na tej wyspie jest chyba mnóstwo takich niezwykłych zakątków. - Agentka nie próbowała jednak udawać turystki. - Właśnie rozmawialiśmy z panią detektyw. Powiedziała, że zaraz przyjdzie.

323

Ray Capozza wychylił się zza kierownicy.

- Nie powinien pan kręcić się po okolicy sam.

- To chyba dobra rada.

Steele zabębniła palcami po krawędzi opuszczonej szyby.

- Tyle że nie zamierza pan z niej skorzystać. Owen zbył to milczeniem. Kiedy agenci odjechali, znów zaczął się wspinać. Wiedział, że zobaczy Abigail, gdy ona również ruszy w górę. Znał każdy szczegół tych schodów, podobnych - choć nie aż tak malowniczych - do słynnych schodów w Northeast Harbor, prowadzących do Ogrodu Tui, dostępnego od jakiegoś czasu dla turystów.

Posiadłość jego pradziadka spotkał zupełnie inny los.

Pokonując wąski odcinek schodów, Owen wyobraził sobie, że zwiedza Ogród Tui z Abigail, że przemierzają razem wszystkie szlaki na Mount Desert, pływają kajakiem... Potem jednak poczuł wyrzuty sumienia, bo zdał sobie sprawę, że Chris bez wątplenia snuł podobne plany. Otrząsnął się z tych myśli i skupił na czekającym go zadaniu.

Kiedy dotarł na szczyt schodów, zobaczył, że na podjeździe stoi samochód Jasona Coopera.

Spojrzał w dół pionowego zbocza, na schody i drogę, ale nie dostrzegł nigdzie Abigail. Ruszył więc w stronę domu Ellisa, czując napływającą w powietrzu wilgoć.

Przypomniał sobie, jak wybiegł z tego domu za swoją siostrą.

Gdyby dwadzieścia pięć lat wcześniej ktoś powiedział, że jedno z dzieci Garrisonów spadnie z urwiska i utonie, wszyscy orzekliby zgodnie, że to będzie Owen.

Frontowe drzwi urokliwego domu były otwarte na

oścież. Owen szedł ku nim zacięną kamienną ścieżką. Koliber przysiadł na doniczce z jakimiś czerwonymi kwiatami, jakby przysłał go duch Doe, żeby

o sobie przypomnieć.

Owen zajrzał do środka przez drzwi z siatką chroniącą przed owadami.

- Halo, jest tam kto?

Ponieważ odpowiedziała mu cisza, otworzył drzwi

i wszedł do wyłożonego chłodną terakotą holu. Odkąd jego rodzina sprzedała ten dom, rzadko w nim bywał

- nie tylko z powodu bolesnych wspomnień. Ellis nie przepadał za towarzystwem, wystarczały mu kameralne spotkania w gronie rodziny i najbliższych przyjaciół. Przyjęcie sprzed siedmiu lat było tylko wyjątkiem potwierdzającym regułę.

Owen przeszedł do kuchni. Przy zlewie stał Jason. Patrzył przez okno na ogród swojego brata.

- Jason? Co się dzieje?

- Chris uważał, że w Ellisie jest coś dziwnego

- powiedział Jason, nie odwracając się. - Coś ekscentrycznego. Aleja nie chciałem słuchać. - Pochylił lekko głowę, jakby ze wstydu. - Podejrzewałem Chrisa

o zawiść.

- Jason...

- Żałuję, że byłem ślepy. Że nie widziałem, co się dzieje. Myślałem... - Z trudem powstrzymał szloch.

- Myślałem, że warto sprzedać ten dom. Miałem nadzieję, że to pomoże Ellisowi... nam wszystkim.

- Gdzie on jest? Jason pokręcił głową.

- Nie wiem. - Oparł dłonie o krawędź zlewu

i spuścił nisko głowę. - Boję się, że zupełnie się

320

pograżył w swoich obsesjach. Chyba już się z nich nie wyleczy.

Owen opuścił kuchnię i zajął szybko do salonu, biblioteki i jadalni, ale nikogo tam nie było. Potem poszedł korytarzem w kierunku znajdujących się z tyłu sypialni. Od dzieciństwa nie zapuścił się tak daleko w głąb tego domu. Teraz musiał odegnać wspomnienia.

Dotarł pod drzwi dawnej sypialni Doe. Przyszedł za nim Jason.

- Ten pokój jest zawsze zamknięty na klucz.

- Był.

Owen cofnął się i wyważył drzwi solidnym kopniakiem. Potem wszedł do środka.

Pokój wyglądał tak jak przed dwudziestoma pięcioma laty, kiedy jeszcze mieszkała w nim Doe.

Te same białe dywaniki, ta sama różowa narzuta szenilowa, te same proste, sosnowe meble.

Ale były także różnice.

Ptaki, zauważył Owen. Tuziny wypchanych ptaków stojących na półkach lub zwisających z sufitu.

Jastrzębie, orły, ruzniki, drozdy, kolibry, sikorki.

I broń palna wyeksponowana w szklanej gablocie. Strzelba, śrutówka, dwa rewolwery i dwa pistolety.

Poza tym amunicja i stos papierowych tarcz.

Jason zachwiał się i oparł o framugę.

- Mój Boże!

- Nie wchodź dalej. Nie wolno niczego dotykać. - Owen położył rękę na ramieniu Jasona, żeby się nie przewrócił. - Musimy wezwać policję.

- Co on zrobił? - Jason mruknął nerwowo, blady jak ściana. - O Boże, przez te wszystkie lata...

- Ellis był wtedy w lesie. Mógł ją uratować.

- Owen, wierz mi, nie miałem pojęcia... Wiedzia-

łem, że był do niej przywiązany, ale... Znasz go. Zawsze taki spokojny, wrażliwy. Nie jest brutalem, raczej introwertykiem.

- Nie myliłem się. Tamtego dnia w lesie ktoś był. To Ellis tak zdenerwował Doe. Nie uratował jej, ponieważ wiedział, że nigdy nie będzie należała do niego... albo z obawy, że go skompromituje. - Owen słyszał złość w swoim głosie. - Pewnie ją wtedy zaczepił. Bóg jeden wie, co próbował jej zrobić... i co zrobił. Odtrąciła jego zaloty. To nie z powodu Grace była zdenerwowana.

- Mój Boże!

- Teraz wszystko jasne. Spójrz na ten pokój, Jason. Twój brat miał dwadzieścia pięć lat i próbował molestować czternastolatkę.

Jasonowi zrobiło się niedobrze.

- Nie miałem pojęcia, że to zaszło tak daleko. Boże, Owen, co Ellis zrobił? - Chwycił jego rękę. - Co... Ellis... zrobił?

- Musimy go znaleźć. Na wyspie roi się od policjantów, którzy szukają Mattiego Younga. Zadzwoń...

- Nie. - Jason stanął pewnie na nogach. - Ja zadzwonię.

Owen pomyślał o Abigail. Zabójca jej męża był w pobliżu.

- Zrób to - powiedział.

- Dokąd idziesz?

- Muszę znaleźć Abigail.

Doyle zlikwidował prowizoryczny biwak Mattiego w garażu. Technicy policyjni zdjęli odciski palców i zabrali wszystko, na czym mogło być coś - choćby

rzęsa - co zawierało ludzkie DNA. Doyle zauważył, że Mattie nie próbował zacierać śladów, zależało mu tylko na tym, żeby nie zamarznąć, nie umrzeć z głodu lub pragnienia i nie dać się zastrzelić. Sean i Ian obiecali, że pozostaną w zasięgu głosu. Doyle słyszał, jak sprzecniają się w ogrodzie. Wycofał się ze śledztwa i trzymał chłopców w domu. Był szefem policji w małym miasteczku, przywykł do tego, że zna ludzi, z którymi ma do czynienia, ale ta sprawa była szczególna. Dotyczyła bowiem Mattiego Younga, człowieka, którego znał od przedszkola.

I dotyczyła Chrisa.

Doyle wrzucił na wpół wypełniony worek ze śmieciami do plastikowego pojemnika, zamknął pokrywę i zdusił w sobie ni to jęk, ni szloch. Czuł się nieswojo, odkąd Mattie - a był to na pewno Mattie - zaatakował piłą Abigail.

*Do licha, Mattie. Co cię napadło?*

Mattie z pewnością nie wiedział, co robi, kiedy przed siedmioma laty włamał się do domu Chrisa, uderzył jego żonę w głowę, ukradł naszyjnik i uciekł.

Ale nie zabił Chrisa.

W to akurat Doyle nie wierzył. Mattie był nieudacznikiem i frustratem, ale nie mordercą - nawet kiedy sobie popił. Nie mógłby zacząć się na swoją ofiarę, a potem zabić ją jednym strzałem, jak uczynił to zabójca Chrisa.

Ale to już nie był jego problem. Doyle obiecał chłopcom, że zabierze ich do Ellsworth na pizzę i do kina.

Na podjeździe pojawił się samochód Lou Beelera. Doyle zawołał synów. Podbiegli do niego. Chwilę potem wysiadł z auta detektyw stanowy. - To Ellis Cooper - oznajmił Lou.

- Ellis?
  - Szukamy go. Masz z kim zostawić synów? Sean pociągnął lekko ojca za rękę.
  - Możemy zostać z panią Casey. Wszystko będzie dobrze.
- Przekonany, że synowie będą bezpieczni, Doyle kiwnął głową do detektywa stanowego.
- Zaczekaj chwilę. Odprowadzę chłopców do sąsiadki, a potem z tobą pojedę.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Ellis Cooper przyłożył pistolet do głowy bratanka. Linc - blady, zastygły w bezruchu - patrzył szeroko otwartymi ze strachu oczami na Abigail, która stała z glockiem w ręku na krawędzi klifu, zaledwie trzy metry od obu mężczyzn.

Gdyby Abigail wcześniej zorientowała się w sytuacji, postrzeliłaby Ellisa, zanim ją zobaczył. Ale tak się nie stało.

- Rzuć broń, Abigail. - Głos Ellisa był spokojny, tak jak podczas porannej rozmowy telefonicznej. - Inaczej Linc umrze. Jestem świetnym strzelcem.

W to akurat nie wątpiła.

- To jedna z twoich tajemnic.

Wciągnął nosem powietrze. Lubił kontrolować sytuację.

- Zrób to.

- Dobrze, położę na ziemi...

- Wrzuć do wody.

*Cholera.* Abigail kiwnęła głową i rozluźniła dłoń, w której trzymała pistolet.

- Rzucam - oznajmiła, po czym cisnęła glocka poza krawędź urwiska. - Już. A teraz puść bratanka. Masz mnie. Jeden zakładnik ci wystarczy.
- Jakie to szlachetne.
- Ellis... Jezu... - wydukał ze złością i przerażeniem Linc.
- Ratuń własną skórę - powiedziała spokojnym, opanowanym głosem Abigail. Nie mogła okazać słabości, bo to dodałoby Ellisowi pewności siebie. Musiała go przekonać, że nie wolno mu pociągnąć za spust. - Uciekaj, Ellis. Nie marnuj czasu na te gierki.
- Ty się nie poddasz. Zawsze będziesz mnie szukać.
- Nie tylko ja, ale również FBI, Doyle Alden, Owen Garrison i Lou Beeler, ten ostatni nawet na emeryturze. Policja nie zamknie akt Browningów. Znam dwóch detektywów z Bostonu, którzy będą cię tropić do upadłego.
- To wszystko przez ciebie.
- Nie, w tej sprawie nie chodzi tylko o mnie. Zresztą nie z mojego powodu jesteś tu teraz. Gdybyś chciał mnie zabić, strzeliłbyś do mnie, kiedy siedziałam na skałach i czytałam książkę. Linc oblizał usta.
- Ellis, jesteś chory. Rodzina ci pomoże...
- Zamknij się! - Przycisnął lufę pistoletu do skroni bratanka. - Nie chcę waszej pomocy: Zawsze żyłem w cieniu swojego brata. Trzymałem się z boku. Tak dużo zrobiłem dla ciebie i Grace. Dla niego. I jak mi się odwdzieczył? Decyzją o sprzedaży mojego domu. Mojego azylu.
- Ten dom stał się dla ciebie azylem, ponieważ kochałeś Doe - powiedziała Abigail.
- Ja wciąż ją kocham. Nie jestem perwersem, który lubi małe dziewczynki i skacze z kwiatka na kwiatek.

Każdego dnia podtrzymuję pamięć o Doe. Ja ją otaczam czcią.

- A jeśli jej duch jest tutaj, w miejscu jej śmierci, i obserwuje cię teraz? - Niech mówi, pomyślała Abigail. Dopóki mówi, nie strzela. Dobierała słowa szybko, ale starannie. - Z tego, co wiem, Doe była delikatną i wrażliwą dziewczynką. Widziałam zdjęcie, które podrzuciłeś. Zdjęcie zrobione przez ciebie. Nawet po śmierci była śliczna. Zostawiłeś to zdjęcie Owenowi, żeby przypomnieć mu o niej?

- On nigdy jej nie doceniał. Przez niego umarła. Nie przeze mnie.

Jedenastoletni chłopiec, młodszy brat. Chore oczekiwania Ellisa zatrwały jego duszę. Ale Abigail chciała, żeby mówił. Wiedziała, że Owen wkrótce zacznie jej szukać. Musiała tylko zyskać na czasie.

- Nikt nie cenił Doe tak jak ty - powiedziała. - Teraz to widzę.

- Ona nie rozumiała. Była taka młoda... Taka niewinna... Byłem tylko jedenaście lat starszy. To, co do niej czułem, nie było wynaturzenieih.

- Miała czternaście lat.

- Obiecałem jej, że zaczekam.

- To nie dlatego pobiegła z płaczem. Nie dlatego była tak roztrzęsiona, że aż się poślizgnęła i spadła ze skały. - Abigail przerwała na chwilę. Chciała się upewnić, że Ellis jej słucha. Wyglądał na poirytowanego jej słowami. - I nie dlatego pozwoliłeś jej utonąć.

- Nie chciałem, żeby utonęła!

- Chciałeś. Ty ją doprowadziłeś do takiego stanu emocjonalnego. Nie ograniczyłeś się do wyznania miłości i zapewnienia, że będziesz czekał. Twoje zamiary wobec niej nie były zupełnie niewinne, prawda?

332

- Nasza miłość była czysta...

- Zgwałciłeś ją?

Zrobił się czerwony na twarzy.

- Umarła nieskalana.

- Ale przystawiałeś się do niej - upierała się Abigail. - Pociągała cię jej lśniąca skóra, jedwabiste włosy. Pragnąłeś jej, Ellis. Chciałeś ją mieć tylko dla siebie. Jeśli jej nie zgwałciłeś, to co zrobiłeś? Obnażyłeś się przed nią? Zmusiłeś ją, żeby ona się obnażyła...

- Ty zdiro! Ty suko!

Właśnie na to czekała. Rozwścieczony Ellis opuścił broń.

- Skacz! - krzyknęła do Linca.

Ale on nie potrzebował zachęty. Wiedział, że to jego jedyna szansa. Był przyływ, woda - głęboka, a Linc nie był wystraszoną czternastolatką. Skoczył z klifu, a Abigail rzuciła się na jego stryja. Złapała go za rękę, w której trzymał pistolet, i zastosowała chwyt, który ćwiczyła niezliczenie wiele razy. Skutek był taki, że trzasnęła kość łokciowa prawego przedramienia, a Ellis wrzasnął z bólu i wypuścił broń. Pistolet ześlizgnął się z urwiska i wpadł do wody. Potem Abigail kopnęła Ellisa w łydkę i powaliła na gołą skałę.

- Ty suko! - zawył.

- Gdzie jest Mattie? Był tutaj. Znalazłam jego poncho...

Ellis uśmiechnął się z zadowoleniem, przyciskany przez Abigail do skały.

- Mattie też jest w wodzie. Już od jakiegoś czasu. Ty chciałaś zabójcy, a ja chciałem, żebyś zakończyła wreszcie swoje śledztwo. Poza tym musiałem jakoś skłonić brata do rezygnacji ze sprzedaży domu.

Ogrodnik-morderca, szum w mediach... Jason nie znalazłby

nabywcy. I jeszcze Grace. Niełatwo było poświęcić bratanicę, ale nie miałem wyjścia. Wszyscy potrzebowaliśmy zabójcy.

Ellis w swoim chorym umyśle uznał, że Mattie znów może mu się przydać.

- Jak długo Mattie jest w wodzie?

- Za długo. Jeśli jeszcze żyje, to są to jego ostatnie chwile. Linc nie zdoła go uratować. Zbyt kiepsko pływa. Woda jest zimna, fale wzburzone.

- Ty mogłeś uratować Doe.

- Uratowałem ją. Ale ty tego nigdy nie zrozumiesz.

- Chris nie poszedł nad wodę, żeby znaleźć Mat-tiego albo Linca. Szukał tam ciebie. Wiedział o twojej obsesji.

- Widział pokój Doe.

*Jej pokój.* Abigail zajrzała w oczy człowiekowi, który pozwolił utonąć czternastoletniej dziewczynce. Człowiekowi, który zabił jej męża.

- Budzisz we mnie odrazę.

Próbował chwycić ją za gardło zdrową ręką, ale Abigail huknęła jego głową o skałę. Ellis stracił przytomność. Abigail sprawdziła, czy morderca nie ma żadnej innej broni, a potem wstała i wyrzła za krawędź klifu.

Wielka fala rzuciła Linca na skałę na lewo od Abigail, ale uchwycił się jej i trzymał kurczowo.

Bezpośrednio pod sobą zobaczyła Mattiego na chwilę przed tym, jak fala wciągnęła go pod wodę. Nie walczył. Jeśli nawet był przytomny, nie miał już siły.

Abigail wiedziała, że jeśli nic nie zrobi, Mattie utonie albo fale roztrzaskają go o skały.

Woda była głęboka, a Abigail świetnie pływała.

Owen już z pewnością jej szukał. Powinien się zjawić lada moment. Musiała teraz ratować Mattiego.

Nie mogła pozwolić mu umrzeć. Skoczyła.

Nikogo nie było na szczycie urwiska, kiedy dotarł tam Owen. Na drzewach targanych zachodnim wiatrem skrzypiały suche gałęzie. Niebo nad wyspą zasnuły ciemne chmury, zanosilo się na burzę.

Owen zauważył przydeptane kępki dzikiej trawy.

Przyklęknął i zobaczył na skale plamę krwi.

Potem usłyszał za plecami - wśród drzew - jakiś szmer.

Zza niskiej jodłowej gałęzi wyszedł chwiejnym krokiem Ellis. Podpierał się laską.

- Nic się nie da zrobić. Abigail jest w wodzie. - Mówił szybko, z rany po prawej stronie jego głowy sączyła się krew. - Skoczyła, żeby ratować Linca. Mattie zupełnie stracił panowanie nad sobą.

Zepchnął Linca. Mnie też chciał zepchnąć, ale miałem swoją laskę. Poradziłem sobie z nim. Teraz cała trójka jest w wodzie. Abigail, Mattie i Linc.

Owen wstał.

- Dlaczego masz zranioną głowę?

- Co? A, o tym mówisz. - Przeciągnął palcami po krwawiącej ranie. - To drobiazg.

- Abigail rozbiła ci głowę o tę skałę, prawda? Wydawał się oszołomiony. Ciekło mu z nosa. Miał pot na czole i pod pachami.

- To twoja wina. Nie poślizgnęłaby się, gdybyś...

- Nie mam na to czasu.

Owen usłyszał, że ktoś się zbliża. Agenci FBI, Lou, Doyle? To nie miało znaczenia. Musiał się uporać z Ellisem i dotrzeć do ludzi, którzy byli w wodzie.

Ellis podniósł laskę. Krew spływała mu do oka.

- Odsuń się od krawędzi skały. Chcę, żeby utonęli. Jak twoja siostra.

Owen dopadł do niego dwoma skokami. Wyrwał mu laskę i cisnął ją na bok. W tym samym momencie zjawili się, z pistoletami w rękach, Doyle i Lou.

- To jego wina! - krzyknął Ellis. - To wina Owena! Owen spojrzął na policjantów.

- Muszę wyciągnąć ich z wody.

Abigail nigdy jeszcze nie było tak zimno. Trzymała w ramionach Mattiego, ale fale co chwila rzucały nimi o strome skały. Mattie był wyczerpany walką z żywiołem, miał bezwładne ciało. Dzwoniły mu zęby. Próbował coś powiedzieć, lecz z jego ust wydobywał się tylko niezrozumiały bełkot. Abigail wiedziała, że to oznaki wyziębienia i że wkrótce sama je poczuje.

Po drugiej stronie skalnej zatoczki w kształcie podkowy Linc Cooper trzymał się prostokątnego głazu, który znajdował się tuż pod powierzchnią wody. Jednak przez cały czas zalewały chłopaka fale. W tak zimnej wodzie nie mógł długo wytrwać.

Abigail wiedziała, że ona też.

Bez pomocy nie mieli żadnych szans. Samotna zatoczka nie była dobrze widoczna od strony wody, nie dostrzeżono by ich z przepływających łodzi, a krzyki o pomoc zagłuszyłyby świst wiatru i huk rozbijanych o skały fal. Nie mogli też liczyć na kajakarzy, żaden nie zapuściłby się tam w taką pogodę.

- Wyobraź sobie, że bierzesz gorącą kąpiel - szepnęła Mattiemu do ucha Abigail. - Albo że grzejesz się przy kominku Owena.

- Zasługuję... na śmierć.

- To nieprawda. Zostań ze mną, Mattie.

Zalała ich duża fala. Zimna, słona woda dostała się Abigail do nosa i ust. Plując i kaszląc, Abigail próbowała utrzymać stopy na podwodnej skale. Przez cały czas obejmowała Mattiego, który nie stawiał falom prawie żadnego oporu. Gdyby go puściła, utonąłby. Czuła jego żebra pod mokrym ubraniem. Jak dawno przestał dbać o siebie?

Próbował podnieść ciężkie powieki.

- Przepraszam. Nie chciałem cię skrzywdzić.

- Nie możesz pić, Mattie. Po prostu. - Abigail starała się mówić pogodnym tonem. - Kiedy nas stąd wyciągną, zrobię ci gorącą kawę. Cholera, kolejna fala! Trzymaj się!

Fala była zbyt duża, by próbować stawiać jej opór. Trzymając Mattiego pod pachami, Abigail dała się porwać żywiołowi i już po chwili uderzyła plecami o skalną ścianę.

W oddali rozległ się grom.

- Świetnie - powiedziała Abigail, przyciągając do siebie Mattiego. - Brakuje tylko szarańczy.

- Abigail... Chris... Ja nie...

- Wiem, że go nie zabiłeś. Ellis go zabił. - Zauważyła, że Mattie szlocha. - Och, Mattie. Chris nie zginął przez ciebie. Ellis i tak znalazłby sposób, żeby go zabić.

- Byłem wściekły... Grace...

- Kochała Chrisa.

- Był dla niej nieosiągalny, ja tak.

- Ty, Mattie? - Abigail uśmiechnęła się do niego, próbując dodać mu otuchy, chociaż sama się trzęsła i zaczęły jej dzwonić zęby. - Ty i Grace? No proszę!

Kiedy myślał o Grace, był nieco bardziej skoncentrowany.

- Ona się stara. Kocha swojego brata. Nie mogłem... - Osunął się niżej i znów zamknął oczy. - Nie mogłem konkurować z duchem.

- Chris wiedział o was?

Mattie nie odpowiedział. Był zbyt senny, bliski utraty przytomności.

Zalała ich kolejna fala, ściągając z powrotem na głębszą wodę. Abigail poczuła, że Mattie wyślizguje jej się z rąk. Wypłynęła na powierzchnię sama.

Nagle objęły ją silne ręce, jakby je sobie wymarzyła.

*Ręce Owena.*

- Trzymam cię, Abigail.

- Mattie...

- Jest bezpieczny. Ocaliłaś mu życie.

- Linc...

- Cały i zdrowy. Ratownicy są w drodze.

- Ellis... Uderzyłam go, ale żyje...

- Doyle i Lou go mają. Możesz się odprężyć.

- Cholerna woda. Walczyłam nie tylko ze skałami, ale także z kostkami lodu. - Abigail próbowała powstrzymać dzwoniące zęby. - Nie skoczyłeś z urwiska, prawda?

Przytulił ją mocniej.

- Nie. Lou miał linę.

- Batman. - Uśmiechnęła się do niego, zastanawiając się, czy nie ma omamów. - Mój Batman.

Nie pamiętała, co było potem.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Ellis Cooper - choć zakrwawiony i pobity - rzucił się z kamieniem na jednego z policjantów Doyle'a Aldena i wyszarpnął mu z kabury pistolet. Wtedy strzelił do niego Lou Beeler.

To był celny strzał. Ellis umarł natychmiast.

- Wybrał osobliwe samobójstwo - skwitował sprawę Lou.

Abigail, która siedziała owinięta kocem przy kominku Owena, pokręciła głową.

- Do ostatniej chwili wierzył, że mu się uda. Nie chciał się poddać.

Przysunęła się bliżej ognia. Na zewnątrz szalała burza. Wszyscy chodzili w szortach, bo było gorąco, ale Abigail myślała, że nigdy się nie rozgrzeje. Mattie był w szpitalu, ale wyglądało na to, że wyzdrowieje. Rozmawiał z policją, zanim zabrała go karetka. Linc - w dobrej formie - wrócił już do rodziny.

Udało im się przeżyć.

- Kiedy obezwładniłam Ellisa, jego pistolet wpadł do wody.

- Znaleźliśmy go.
  - To na pewno ten sam pistolet, z którego zabił Chrisa - powiedziała Abigail. - Miał do niego sentyment. Poza tym był zbyt zuchwały, żeby się go pozbyć. - Owinęła się szczelniej kocem. - Z tych samych powodów zostawił w ogrodzie huśtawkę Doe.
  - Nigdy go nie podejrzewałem - rzekł Lou.
  - Ja też. Całe szczęście, że nie zabił nikogo więcej.
  - Nie powodowała nim miłość, ale nienawiść. Wiecie o tym, prawda? - Lou spojrział na Abigail, a potem na Owena. - Oboje.
- Owen kiwnął głową.
- Zrozumiałem to, kiedy wyważyłem drzwi do pokoju Doe.
  - Nienawidził Jasona za to, że był taki bogaty i miał nad nim władzę - powiedziała Abigail. - Czuł się Cooperem drugiej kategorii. Ale jego skrywana obsesja na punkcie Doe dawała mu poczucie siły. Owen wpatrywał się w ogień.
  - Doe nic nie powiedziała. Nie wyjawiała, co jej zrobił.
  - Wiem, że to żadna pociecha - rzekł Lou - ale zazwyczaj tak jest.
- Abigail była tego samego zdania.
- Chris odkrył, że Ellis ma obsesję na punkcie Dorothy Garrison. Dlatego Ellis go zabił. Obaj wiedzieli, że Linc włamywał się do domów. Mattie był zły na Chrisa, że zrezygnował z niego jako informatora. Ellis zmanipulował ich i wykorzystał... Grace również. Liczyła się tylko jego obsesja.
  - Mattie nie spodziewał się, że będziesz w domu tamtego popołudnia - powiedział Owen.
- Lou potwierdził kiwnięciem głowy.
- Już nam to powiedział. Ellis napomknął mu, że

nie ma cię w domu. Kiedy Mattie zorientował się, że jest inaczej, spanikował. Uderzył cię i wziął naszyjnik, wiedząc, że podejrzenie padnie na włamywacza. Bał się, że zostanie złapany z naszyjnikiem, i dlatego ukrył go w ścianie.

- A Ellis skorzystał z okazji. - Abigail pomyślała z szacunkiem o człowieku, za którego wyszła. - Chris próbował ochronić tych, którym groziło niebezpieczeństwo. Ellis się tego spodziewał. Liczył na to.

- Twój mąż był dobrym człowiekiem - powiedział Lou. - Żałuję, że go nie znałem.

Abigail z trudem powstrzymała łzy.

- A co z Grace? Rozmawialiście z nią?

- Okłamała nas wtedy, ale nie pomogła świadomie swojemu stryjowi w zabiciu twojego męża. Nie mogłaby... - Lou powstrzymał się przed dokończeniem ostatniego zdania. Potem wstał. - Cooperowie muszą sobie sporo wyjaśnić. Nie zazdroszczę im.

Jeśli detektyw z Maine choć trochę czuł się nieswojo z powodu zabicia Ellisa Coopera, nie dał tego po sobie poznać.

Wychodząc z domu Owena, zatrzymał się w drzwiach.

- Coś mi się przypomniało a propos hipotermii. Najlepszym lekarstwem na nią jest - wyszczerzył zęby

- przytulenie się do kogoś.

- Dobranoc, Lou - warknęła Abigail.

Kiedy detektyw wyszedł, Owen usiadł obok niej przy kominku.

- On ma rację - powiedział.

- Chętnie spędzę tę noc w twoich ramionach. Poszedł po dodatkowe koce i poduszki. Potem położył się na podłodze obok Abigail.

- Zostaniemy tutaj, przy kominku.

Linc zasnął na sofie w bibliotece, ale po jakimś czasie obudził się z przerażeniem. Jego serce waliło jak oszalałe.

- Wszystko w porządku, synu - powiedział Jason, biorąc go w półmroku za rękę. - Jestem tutaj.

- Tata?

- Nie ruszę się stąd na krok. Nie martw się. Do pokoju weszła Grace.

- Myślałam, że śpicie. Zaparzyłam herbatę z rumianku. - Jej głos był zaskakująco spokojny. Może z powodu szoku, pomyślał Linc. - Jak będziecie mieli na nią ochotę, dajcie znać.

Jason siedział na podłodze obok Linca.

- Ellis dokonał spustoszenia w życiu naszej rodziny. Miał tajemnice, których nie byliśmy w stanie odkryć. Zagubił się. Nie wiedział, jak z tego wybrnąć.

- Jasonowi załamał się głos. - Nie wiedziałem, że to zaszło tak daleko.

- Och, tato. Tak mi przykro. - Linc był zbyt wyczerpany, żeby płakać. - To twój brat.

- Nienawidził nas.

- Nie wiedzieliśmy o tym - powiedziała Grace.

- Kochaliśmy go.

- Kochaliśmy człowieka, którego przed nami udawał.

- Chris był bardzo szczęśliwy w tych ostatnich dniach z Abigail. Czy ja kiedykolwiek będę taka szczęśliwa...?

- Będiesz, Grace. Zrób wszystko, co w twojej mocy, by osiągnąć szczęście.

Linc zauważył zaskoczenie na twarzy siostry, wywołane słowami ojca.

Kiedy Linc znów zasypiał, widział ojca leżącego obok na podłodze i siostrę, która siedziała po drugiej

stronie pokoju, z dzbanuszkim herbaty rumiankowej w dłoniach.

Kiedy Mattie się obudził - naszprycowany środkami przeciwbólowymi i Bóg wie, czym jeszcze - bardzo się zdziwił, widząc przy swoim łóżku szpitalnym Doyle'a. Wciąż był podłączony do kroplówki. Spróbował usiąść.

- Abigail? Linc? Co z nimi?

- W porządku - odparł gburowaty jak zawsze Doyle. - Ty ucierpiałeś najbardziej. Masz połamane żebra i miliony siniaków, ale płuco nie zostało przebite. Żadnych obrażeń wewnętrznych.

- Zasługiwałem na śmierć.

- To nieprawda. Teraz musisz się zastanowić, co dalej.

- Nie mogę pić. Doyle kiwnął głową.

- Ale wiesz, co to znaczy? Ani kropelki. - Nagle szeryf jakby się speszył. - Rozmawiałem dziś rano z Katie. Zobaczmy, co postanowi prokuratura, ale jeśli nie trafisz za kratki, możesz mieszkać w naszym pokoju gościnnym, dopóki nie dojdiesz do siebie. Jedna kropla alkoholu i do widzenia. Poza tym nie będziesz mógł zostawać sam z chłopcami.

- Doyle, nie zasługuję...

- Nieważne, czy zasługujesz, czy nie. Katie i ja możemy i chcemy to dla ciebie zrobić. Nie próbujemy cię ratować. Wiemy, że twój los nie leży w naszych rękach. Tylko ty sam możesz sobie pomóc.

- Kiedy byłem w wodzie - szepnął Mattie - jeszcze bez Abigail, był przy mnie Chris. Podtrzymał mnie

na duchu. Musiałem przeżyć, żeby powiedzieć ludziom o Ellisie. Słyszałem głos Chrisa. Przysięgam, Doyle. On tam był... Mówił, że to moja ostatnia szansa...

Jeśli Doyle mu uwierzył, nigdy tego nie powiedział.

- Masz przed sobą długą drogę, Mattie. Katie i ja przejdziemy kawałek tej drogi z tobą, ale jeśli się potkniesz, jeśli pokpisz sprawę, zostaniesz sam.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Wystarczy „dziękuję”.

- Dziękuję.

Sean i Ian Aldenowie kucali przy kałuży morskiej wody na skałach za domem Owena, który siedział z Doyle'em na tarasie i patrzył, jak chłopcy przykładają do uszu ślimaki przybrzeżki.

- Słyszałeś kiedyś śpiewającego przybrzeżka? - spytał Doyle. - Boja nigdy. Katie mówi, że ciągle je słyszy.

Owen oparł nogę o balustradę tarasu.

- Rzadko przysłuchuję się przybrzeżkom.

- Bo nie mieszkasz na wyspie na stałe. - Doyle uśmiechnął się. Owen przyjął to z zadowoleniem, ponieważ od śmierci Ellisa Coopera minęło dopiero czterdzieści osiem godzin i sytuacja wciąż była napięta. - Nie skomentujesz tego? - Owen uśmiechnął się szerzej. - Oszalałbyś tutaj.

- Będę bywał częściej, kiedy ruszą kursy w szkole ratownictwa.

- Spuszczanie się na linie ze skał. Wędrówki z kursantami po górach. Nurkowanie z łodzi. Nie będziesz słuchał przybrzeżków.

- Może czasem będę.

- Katie jest podekscytowana, że będzie dyrektorem tej szkoły. Gdybyś ją słyszał... - Doyle odchylił się na krześle. - To dobrze. Ja też się cieszę.

Owen skierował wzrok w stronę stojącego na skale domu Abigail. Zaraz po wydarzeniach sprzed dwóch dni zjechali się tłumnie dziennikarze. Ludzie Doyle'a nie mieli ani chwili spokoju. Agenci specjaliści Capozza i Steele czuwali pod domem Abigail. John March zadzwonił do córki z Waszyngtonu. Ustalili, że się spotkają, gdy wrzawa ucichnie. Poprzedniego wieczoru większość dziennikarzy wyjechała.

Doyle kiwnął głową w stronę domu Abigail.

- Przyjechali jej koledzy z Bostonu. Bob O'Reilly i ten drugi... Scoop Wisdom. Widziałeś go? Sprawia wrażenie, jakby był gotów wykopać Ellisa z ziemi i wpakować mu jeszcze parę kulek, tak dla pewności. Ale Abigail twierdzi, że Scoop ma koty...

- Koty?

- Ona uważa, że ktoś, kto ma koty, nie może być brutalem. Powiedziałem jej, że niejeden posiadacz kota okazał się mordercą. Przyznała, że są wyjątki, ale nadal się upierała, że Scoop nie jest taki straszny, na jakiego wygląda. I chyba trzeba się z nią zgodzić, bo teraz pomaga jej z O'Reillym mocować płyty ściennie i malować dom.

- Doyle - odezwał się Owen. - Co z tobą? Szeryfowi napłynęły do oczu łzy, ale nie oderwał wzroku od synów.

- Ciągle myślę o tym, co mogłem zrobić. Siedem lat temu, kiedy doszło do włamania, byłem oficerem dyżurnym. Gdybym domyślił się, że to Mattie... Gdybym wiedział, że Chris rozpracowuje Ellisa...

- Ellis zmanipulował Mattiego. Siedem lat temu i w tym tygodniu.

- Mattie ponosi odpowiedzialność za swoje decyzje.
  - Ale Ellis wykorzystał jego słabości. Chris to wiedział. Nie miał jednak pojęcia, że jest tak dobrym strzelcem. Policja znalazła miejsca, w których Ellis doskonalił umiejętności strzeleckie. Jedno jest tutaj, w lesie za jego domem. Drugie to prywatna strzelnica niedaleko jego rezydencji w Waszyngtonie. Nikomu się nie chwalił, że umie strzelać. Chris domyślił się, że Ellis biernie się przyglądał, kiedy tonęła moja siostra, ale nie przypuszczał, że może urządzić zasadzkę.
  - Gdyby mnie poprosił, żebym z nim pojechał...
  - Wtedy obaj byście zginęli. Doyle milczał przez chwilę.
  - Możliwe. - Pokazał na bezchmurne niebo.
  - Patrz, czapla!
- Owen zobaczył ją - wielką, niebieską czapłę, niezgrabną, ale jakże uroczą, kiedy szybowała w stronę wysokiego urwiska.
- Czaple należały do ulubionych ptaków Chrisa
  - powiedział Doyle.
  - I Doe. - Kiedy ptak zniknął, Owen wstał. - Czas na mnie. Możesz zostać tu z chłopcami tak długo, jak chcesz.
  - A ty dokąd?
  - Do Gwatemali. Zeszła tam ogromna lawina błotna.
  - Zdaje się, że miałeś odpoczywać. Owen wzruszył ramionami.
  - Odpocznę kiedy indziej.
  - Jak się dostaniesz do Gwatemali?
  - Polecę do Austin, zabiorę stamtąd swoją ekipę i dalej polecimy razem.
- Doyle spojrzał na niego, mrużąc powieki.

- Czy Abigail wie, że podróżujesz własnym samolotem?  
- Abigail zgromadziła obszerne akta na temat nas wszystkich, Doyle. - Owen uśmiechnął się i poklepał przyjaciela po ramieniu. - Wie o nas więcej niż my sami.  
Bob i Scoop przygotowywali w kuchni kolację - gotowali homary - kiedy Abigail zobaczyła Mattiego kuśtykającego w stronę tylnej werandy. Był chudy i blady, ale włosy miał czyste, spięte w schludny kucyk, a fioletowożółte sińce na jego rękach wyraźnie się goiły.  
- Nie wstawaj - powiedział Mattie. - Chcę ci tylko coś zostawić. - Położył małą, srebrną torebkę na najniższym stopniu schodów werandy. - Wiem, że nigdy nie będę w stanie zadośćuczynić krzywdzie, którą ci wyrządziłem.  
- Nie proszę o to.  
- W każdym razie przepraszam.  
Zaczął się oddalać. Abigail zeszła po schodach.  
- Nie idź, zaczekaj.  
Mattie patrzył w napięciu, jak Abigail wyjmuje z torebki prostokątne pudełko. Zdjęła pokrywkę. W środku - na bawełnianej wacie - leżał jej naszyjnik z naprawionym łańcuszkiem i nanizanymi ponownie perłami.  
- Powiedziałem jubilerowi, że był też wisiołek z kameą.  
- Mam go.  
- Kiedy sięgnąłem piłą po naszyjnik, łańcuszek się rozerwał - wyjaśnił Mattie. - Znalazłem plastikową

torbę w garażu Doyle'a i włożyłem do niej perły i kawałki porwanego łańcuszka. To jedyna dobra rzecz, jaką zrobiłem, bo gdybym miał to wszystko luzem w kieszeni, kiedy Ellis zepchnął mnie ze skały... - Nie dokończył. - Cóż, po prostu chciałem oddać ci naszyjnik.

- Dużo ryzykowałeś, wracając tu po naszyjnik. Bałeś się, że go znajdę podczas remontu?

- To nie był jedyny powód. Potrzebowałem naszyjnika, żeby wyrzucić większą presję na Linca.

Chciałem więcej pieniędzy. Wmawiałem sobie, że Linc ponosi winę za to, co spotkało Chrisa, bo nie włamałbym się do waszego domu, gdyby nie jego wcześniejsze włamanie. Stałem się okropnym człowiekiem.

- A co z pieniędzmi, które dostałeś od Linca?

- Zwróciłem je. Linc powiedział... - Mattie wydawał się zakłopotany. - Powiedział, że będzie się upierał przy tym, że pożyczył mi te pieniądze, a ja byłem zbyt głupi i pijany, by zdać sobie z tego sprawę.

Abigail wstała.

- Mattie... zdjęcia...

- Ja zrobiłem te u Ellisa. Nie wiedziałem, że je ma. Pstryknąłem je jednorazowym aparatem wkrótce po włamaniu. - Zarumienił się. - Próbowałem stworzyć sobie alibi.

- Policja znalazła te zdjęcia w komputerze Ellisa. Ale co ze zdjęciem zrobionym tego ranka, gdy Owen natrafił na ciało Chrisa...

- Tamto zdjęcie zrobił Ellis.

- A więc był tam. Obserwował nas. - Abigail wiedziała, że nieprędko oswoi się z tą myślą. - Dziękuję za oddanie naszyjnika.

Mattie kiwnął głową w stronę torebki.

- Jest tam coś jeszcze.

Znów sięgnęła do torby i wyjęła z niej fotografię w prostej, czarnej ramce.

Zdjęcie przedstawiało Chrisa w wieku chłopięcym, był z dziadkiem w łodzi do połowu homarów - roześmiany, kochający życie. Mattie - równie wtedy młody - zrobił to zdjęcie z brzegu.

- Dziękuję.

Mattiego już jednak nie było. Na werandzie zjawili się z półmiskiem homarów Scoop i Bob. Ten drugi westchnął.

- Próbujesz odwieść policję stanową od postawienia mu zarzutów, prawda?

Domyślając się, że Bob mówi o Mattiem, kiwnęła głową.

Scoop skrzywił się.

- Gdyby mnie ktoś potraktował piłą, chciałbym, żeby zgnił za kratkami.

- Spójrz na to z innej strony, Scoop - zaproponował Bob, szczerząc zęby. - Gdyby nie ten przykry incydent, to kto wie, czy Abigail i Batman byłiby teraz razem?

- No tak. - Scoop puścił oko do Abigail. - Racja.

- Dajcie spokój. Owen wyjechał do Gwatemali. Bob objął przyjaciółkę jedną ręką.

- Nie na zawsze.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Abigail przytknęła zapaloną zapalną do polanego rozpaloną węglą drzewnego i w ostatniej chwili odskoczyła do tyłu. Mało brakowało, a wysoki na pół metra płomień spaliłby jej brwi.

Pomyślała, że kiedyś nabierze wprawy w rozpalaniu grilla.

Wróciła do pracy przed miesiącem. Dobrze się w niej czuła.

Znacznie gorzej - w pustym łóżku.

Jednak w ostatnich tygodniach potrzebowała samotności. Dzięki temu, że rzuciła się w wir pracy, łatwiej jej było pożegnać się z przeszłością. Spędziła z Bobem i Scoopem niejedną wieczór na analizowaniu sprawy zabójstwa Chrisa. Ułożyli tę układankę tyle razy, że w końcu Abigail potrafiła to zrobić z zawiązanymi oczami.

Znała już odpowiedzi na wiele pytań. Ale zdawała sobie sprawę, że tego, co się stało, nigdy nie zrozumie. Nie chciała żyć w świecie, w którym można zrozumieć kogoś takiego jak Ellis Cooper.

- Nie powinnaś robić tego boso. Wiesz, rozżarzone węgle i tak dalej.
- Owen.* Obróciła się na pięcie i uśmiechnęła do niego, próbując jednak ukryć swoje zaskoczenie i szaloną radość.
- Jejku, w mieście wyglądasz jeszcze bardziej męsko niż pośród granitowych skał Maine.
- Czy to znaczy, że mogę zostać?
- Piekę kiełbaski. Rzadko je jadam, ale ostatnio drużyna Red Sox wygrywa mecz za meczem. Uśmiechnął się.
- Typowe bostońskie myślenie.
- Bob robi sałatkę ziemniaczaną, Scoop sałatkę z fasoli. W zamrażarce mamy lody Ben & Jerry. Zbierzemy wszystko do kupy i zobaczymy, co kto wybierze. - Zarzuciła mu ramiona na szyję. - Tak, możesz zostać.
- Cieszę się, bo ty z kolei jesteś zaproszona na przyjęcie u Polly Garrison.
- Och!
- „Och” to właściwa reakcja. Masz sukienkę?
- Oczywiście.
- A suknię wieczorową?
- Co takiego?
- To oficjalne przyjęcie. Bostońska kwesta na rzecz Fast Rescue. Polly chce, żeby jej zamożni przyjaciele wsparli trochę naszą działalność. Jest tutaj...
- Nie przypuszczam, by miała ochotę na kiełbaski z grilla.
- Znając ją, nie zdziwiłbym się. Ale nie powiem jej, że jest zaproszona.
- Kiedy jest ta kwesta?
- Jutro. - Objął ją. - A to znaczy, że ten wieczór mamy dla siebie.

- Moje mieszkanie... jest mniejsze nawet od domku w Maine.
- Jest w nim łóżko?
- Podwójne, ale nie za duże.
- Najważniejsze, że jest. Jakoś sobie poradzimy.

Abigail zrobiła na przyjęciu furorę. Owen spodziewał się tego. Następnego ranka siedział w jej małym ogródku i pił niedobłą kawę, podczas gdy ona przypinała pas z pistoletem, pagerem i innymi gadżetami, które musiała nosić jako bostoński detektyw.

- Austin, Boston, Maine, moje życie, twoje życie. - Uśmiechnęła się do niego. - Jakoś się z tym uporamy, prawda?

- Prawda.

- Kocham cię.

Puścił do niej oko. Ile razy w ciągu dwóch ostatnich dni powiedział Abigail, że ją kocha? Dużo, ale wciąż za mało.

- Ja ciebie też.

- Lubię, jak to mówisz. Co będziesz robił, kiedy pójde polować na bandziorów?

- Kupię ci zestaw kina domowego. Łóżko, jak wiesz, jest bez zarzutu. - Wypił jeszcze trochę kawy, która smakowała tak, jakby ją zaparzano na grillu. - Ale telewizor trzeba wymienić. To antyk.

- Przesadzasz.

- Wcale nie! - krzyknęli równocześnie ze swoich balkonów Bob i Scoop.

Abigail zaczęła się z nimi kłócić, a Owen wyciągnął przed siebie długie nogi i uśmiechnął się szeroko. Czuł się jak w domu.